



Amerykane na Księżycu
Szokujące kulisy kosmicznego
wyścigu między USA a ZSRS

Z Sejmu na Łubiankę
Sensacyjna afera szpiegowska,
która wstrząsnęła II RP

Romanse Kiepury
Burzliwe życie erotyczne
słynnego polskiego tenora

NR 9(91)/2020 WRZESIEŃ 2020

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
RZECZY
MIESIĘCZNIK LIŚCIKOWY



ISSN 2299-9515

DO RZECZY HISTORIA

Nr indeksu 296 031



1939

BECK KONTRA STUDNICKI

**CZY POLSKA
MOGŁA WYGRAĆ?**

Kiedyś to były epidemie!
Kiedyś to były spiski!



Premiera
30.09.2020

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
Prowadzący: Piotr Włoczyk

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: Maciej Rosalik, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (szef studia), Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska
Okładka: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”)

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA: Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione. © © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 27 sierpnia 1939 r.

Losowanie stron boiska przed ostatnim meczem piłkarskim (Polska – Węgry) przed wybuchem drugiej wojny światowej



FOT. NAC

Od redaktora /  Piotr Zychowicz

Przestroga Piłsudskiego

Stara anglosaska maksyma głosi, że uprawianie polityki należy zacząć od spojrzenia na mapę. To bowiem geografia decyduje o losach narodów i państw. Mało jest przykładów tak dobitnie potwierdzających tę regułę jak Polska.

Ojczyzna nasza znajduje się między Niemcami a Rosją, w europejskiej strefie zgniotu. Za swoje fatalne położenie geopolityczne wielokrotnie płaciliśmy straszliwą cenę. Najwyższą 17 września 1939 r., gdy toczące beznadziejne zmagania z Niemcami Wojsko Polskie otrzymało cios w plecy ze strony bolszewików.

„My na dwa fronty wojny prowadzić nie możemy – przestrzegał Józef Piłsudski – więc ja was wojny na dwa fronty uczyć nie będę. Wojna na dwa fronty to znaczy ginąć tu na placu Saskim z szablami w dłoni w obronie honoru narodowego”.

Marszałek – w przeciwieństwie do swoich następców – rozumiał, że celem wojny nie jest „ginąć w obronie honoru”. Celem wojny jest zwycięstwo. Polska – czy nam się to podoba, czy nie – wojny z Niemcami i ze Związkiem Sowieckim wygrać nie mogła. Sojusze z Francją i Wielką Brytanią okazały się zaś warte mniej niż papier, na którym je spisano.

W tym numerze „Historii Do Rzeczy” wracamy do jednej z najważniejszych debat polskiej historii. Czy w 1939 r. Polska powinna była iść na frontalne zderzenie z Hitlerem, czy zejść z linii strzału i przyjąć sojusz oferowany jej przez Niemcy? Symbolem tego dylematu są dwie postacie historyczne. Józef Beck – ostatni minister spraw zagranicznych II RP – oraz Władysław Studnicki, polski germanofil, który opowiadał się za ugodą z zachodnim sąsiadem.

Który z nich miał rację? To już muszą ocenić czytelnicy. My przedstawiamy argumenty obu stron tego fascynującego sporu. Jest to spór nie tylko o przeszłość, lecz także o teraźniejszość i przyszłość. Położenie Polski się bowiem nie zmieniło.

Obawiam się, że rację miał słynny historyk niemiecki Golo Mann, gdy pisał, że w Europie Wschodniej możliwe są tylko trzy scenariusze.

- Polska z Niemcami przeciwko Rosji.
- Polska z Rosją przeciwko Niemcom.
- Rosja i Niemcy przeciwko Polsce.

Scenariusza numer trzy, jak uczył nas marszałek Piłsudski, należy unikać za WSZELKĄ cenę. Nigdy więcej klęski. ©



/ TEMAT NUMERU

.06 PIOTR ZYCHOWICZ

Studnicki miał rację!

.12 PROF. STANISŁAW ŻERKO
Beck miał rację!

.16 PIOTR ZYCHOWICZ
Angielska pułapka

.20 JAN SADKIEWICZ
Polscy germanofile

.24 ANNA HERBICH
Jadwiga Beck: pierwsza dama Europy

.28 MACIEJ ROSALAK
Wrzesień '39: Klęska nie tylko z własnej winy

.32 MICHAŁ MACKIEWICZ
Pancerny pojedynek:
7TP vs. PzKpfw II

.69 PIOTR SEMKA
Białoruś przez Boga zapomniana

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Rok 1920 i rok 1980

/ KRESY

.72 TOMASZ STAŃCZYK

Zadwórze – walka do końca

/ BATALIE I WODZOWIE



.76 MACIEJ ROSALAK
Nokaut nad Niemnem

/ KOMIKS



.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI

Bohater od radiostacji

/ CZASY I LUDZIE

.34 CHARLES FISHMAN

Jak NASA pokonała Kreml

.38 MIKOŁAJ IWANOW
Szmugiel dzinsów
do Kraju Rad

.41 PIOTR SEMKA
Okrutny najemnik
z Infant

.44 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Włoska wojna domowa

.48 JAKUB OSTROMĘCKI
Psy wojny

.51 SŁAWOMIR KOPER
Kiepora od kulis

.54 TOMASZ STAŃCZYK
Tajemnice Sylwestra
Wojewódzkiego

.57 MAREK GAŁĘZOWSKI
Powstanie na Litwie

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Klimatyzacja

/ CO CZYTAĆ

.60 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Głowa

/ FELIETONY

.68 JACEK BARTOSIAK
Niemeński bastion

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Podzwonne dla „Fantastyki”



Już 7 września w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

1939 r.

/ Spór o polską politykę zagraniczną

Władysław Studnicki z Krzyżem
Niepodległości. Lata 30. FOT. NAC

Studnicki miał rację!

Polska w 1939 r. poniosła największą katastrofę w swoich długich, tragicznych dziejach. Zaatakowana przez Niemców i Związek Sowiecki, została zmiażdżona i rozerwana na strzępy. W trakcie okupacji niemiecko-sowieckiej zginęły miliony obywateli II RP. Polska utraciła połowę terytorium, olbrzymią część swoich elit i niepodległość na pół wieku. Konsekwencje tej klęski odczuwamy do dziś i będą je odczuwać kolejne pokolenia Polaków.



Piotr Zychowicz

/ Sojusz z Wielką Brytanią i Francją zawiódł. Polska konała w samotności. Władysław Studnicki uważał, że jedyną szansą na ratunek był antysowiecki pakt z Niemcami

To prowokuje do zadania pytania: Czy tak rzeczywiście musiało się wydarzyć? Czy Polska była skazana na katastrofę?

Czy była jakaś inna droga, która pozwoliłaby uniknąć klęski. Dzisiaj – ponad 80 lat po katastrofie – należy odpowiedzieć



na to pytanie twierdząco. Tak, była inna droga. Wskazywał ją genialny polityk i publicysta Władysław Studnicki. Człowiek, który w 1939 r. podjął desperacką, samotną próbę uratowania Polski od katastrofy.

Współcześni obrońcy ostatniego ministra spraw zagranicznych II RP Józefa Becka twierdzą, że nie można po latach wymagać od niego, żeby był prorokiem. Dowodzą, że dramatu, który stał się udziałem Polski, nie dało się przewidzieć. A co za tym idzie – Beck nie ponosi odpowiedzialności za swoje czyny. Jest

to absurd, o czym dowodzi historia Studnickiego. On bowiem bezbłędnie przewidział wszystko.

Kłeskę w wojnie z Niemcami. Sowiecki cios w plecy. Brak pomocy ze strony Wielkiej Brytanii i Francji. A nawet to, że Anglicy na koniec wojny sprzedadzą Polskę bolszewikom.

W tej sytuacji – dowodził – opieranie bezpieczeństwa Polski na papierowych angielsko-francuskich „gwarancjach” jest szaleństwem. Polska, jeżeli chce przetrwać, to musi zagryźć zęby i przyjąć ofertę sojuszniczą złożoną jej przez

Niemcy. Obróć kurs antysowiecki, a nie antyniemiecki.

Według Studnickiego jedynym ratunkiem była oś Warszawa – Berlin – Tokio – Rzym.

Silni, zwarci, (nie)gotowi

Kim był Studnicki? Sędziwym (rocznik 1867) polskim politykiem i publicystą. Ultrapatriotą i niepodległościowcem, który od lat 80. XIX w. niestrudzenie walczył o wyzwolenie Rzeczypospolitej spod władzy Imperium Rosyjskiego. Tropiony przez agentów ochrony, został osadzony w carskim więzieniu. Kilka lat spędził na zesłaniu na Syberii.

W trakcie pierwszej wojny światowej Studnicki opowiadał się za sojuszem Polski z Niemcami. Był jednym z ojców Aktu 5 listopada 1916 r., manifestu dwóch cesarzy, który wskrzesił państwo polskie. Stanisław Cat-Mackiewicz nazywał go jednym z „ojców polskiej niepodległości”. Z powodu proniemieckich poglądów do Studnickiego przylgnęło przezwisko „czołowy polski germanofil”.

Germanofilia Studnickiego nie wpływała jednak z miłości do Niemiec. Była skutkiem chłodnej analizy sytuacji międzynarodowej i realizmu politycznego. Studnicki uważał, że Polska nie może sobie pozwolić na konflikt na dwa fronty. Musi porozumieć się z jednym z potężnych sąsiadów. Ponieważ kompromis ze Związkiem Sowieckim (wrogiem numer jeden Rzeczypospolitej) był wykluczony, jedyną realną opcją była opcja niemiecka.

Chociaż jako młody człowiek był socjalistą, to poglądy Studnickiego przeszły ewolucję. W latach 30. był jedną z najważniejszych postaci polskiego obozu konserwatywnego. Nestorem środowiska skupionego wokół wileńskiego „Słowa” i „Buntu Młodych”. Do jego uczniów zaliczali się Stanisław Cat-Mackiewicz i Adolf Bocheński. Obaj otaczali swojego mistrza niemal nabożnym kultem.

Studnicki był twórcą polskiej geopolityki. Człowiekiem obdarzonym niezwykłym zmysłem politycznym i darem przewidywania. A także bezkompromisowością, nonkonformizmem i olbrzymią odwagą osobistą. Przez całe życie szedł pod prąd. Pod koniec lat 30. nie bał się sprzeciwić własnemu rządowi ani



Ministrowie spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop i Józef Beck, Warszawa, styczeń 1939 r. FOT. NAC

■ opinii własnego społeczeństwa, które – jak pisał – „mazurkowym krokiem” szło ku przepaści.

W przededniu drugiej wojny Polacy – odurzeni rządową propagandą sukcesu – nastawieni byli bowiem hurraoptymistycznie. Wiara w zwycięstwo była niewzruszona. W kraju panowało powszechne przekonanie, że dzielne Wojsko Polskie – wraz z kochaną francuską sojuszniczką – szybko i bez trudu pokona Wehrmacht.

Prasa rozpisywała się o rzekomo panującym w Niemczech głodzie, o tym, że niemieckie czołgi są z tektury. Jednocześnie wyolbrzymiano siły własne. Pompowano mocarstwowy balonik. Symbolem tych nastrojów było słynne hasło: „Silni, zwarci i gotowi”. A także fanfaronada marszałka Śmigłego-Rydza, który zapowiadał, że Polska nie odda ani guzika.

Uczucia patriotyczne zostały doprowadzone do takiego wrzenia, że każdy, kto śmiał wątpić w błyskawiczne zwycięstwo nad Niemcami lub podważał „wiarę w sojusz”, nazywany był zdrajcą. Realizm uznawano za defetyzm. Mówienie oczywistej prawdy – za brak patriotyzmu.

Przeciwko tym prądom patriotycznej, buńczucznej, gotowej do najwyższych poświęceń, lecz pozbawionej poczucia rzeczywistości opinii polskiej – wspominał prof. Stanisław Swianiewicz – szedł, jak to już niejednokrotnie w okresie polskich dziejów się zdarzało, jeden człowiek małego wzrostu, lecz przenikliwego umysłu, wielkiego serca i nieprzebranej odwagi: Władysław Studnicki.

Rządową propagandę Studnicki uważał za skrajnie nieodpowiedzialną. Rozpalała ona bowiem nadzieje, które musiały zakończyć się wielkim rozczarowaniem.

Nastąpiło w Polsce wielkie podniecenie, nieuzasadnione nadzieje na zwycięstwo – wspominał Studnicki. – Okłaskiwano oddziały wojska. Uważano, że stanowią potęgę. Widziałem naszą słabość. Byłem przekonany, że musimy przegrać wojnę w ciągu paru tygodni. Można było być pewnym, że Rosja Sowiecka wystąpi – czy to w charakterze sprzymierzeńca, czy przeciwnika Niemiec – i zabierze nam Ziemię Wschodnie.

Studnicki podkreślał, że Wojsko Polskie jest zacofane, bardzo słabo zmotoryzowane. Miało przestarzałe samoloty, które nie dorównywały maszynom Luftwaffe nowej generacji. Patriotyczny zapał i duch bojowy nie mogły zniwelować technicznej supremacji nieprzyjaciela.

Kłęski dzisiaj przeżywałem 3 maja 1939 roku – wspominał Studnicki. – Defilada wojska budząca zachwyt publiczności rozdzierała serce moje. Armia, która ze szkodą dla Polski będzie się krwawić w wojnie niepotrzebnej. Przejechało kilka czołgów, pokazano kilkaset karabinów maszynowych, dzielnie przemarszowała piechota. Na pięknych koniach siedzieli dzielni kawalerzyści. Zachwyt był ogromny. Była to jednak armia od parady.

Studnicki pisał memoriały, spotykał się z politykami, generałami i innymi wpływowymi osobistościami. Zaklinał, tłumaczył, apelował. Stała się ostrzeżenie przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. Przestrzegał przed pochopnym działaniem. Bardzo łatwo jest utracić niepodległość, ale jej odzyskanie w przy-

szłości będzie piekielnie trudne. Nie można lekkomyślnie narażać państwa na upadek, a obywateli na okupację i związane z nią cierpienia.

Niestety – nie słuchano go. Jego argumenty uznano za „krakanie” i „czarnowidztwo”. Robiono z niego „szalonego staruszka”. Dopiero po latach wielu ówczesnych rozmówców Studnickiego przypomniawszy sobie te przedwojenne spotkania. I zrozumiało, jak bardzo się mylili.

Siwy i jak powiadano „postrzelony” profesor dopadł mnie tu już po złożeniu swego głośnego memoriału – wspominał pisarz Ferdynand Goettel. – Bardzo podniecony, niemal zrozpaczony, rysował w czarnych barwach przebieg wojny i jej następstwa. Usiłował znaleźć we mnie sojusznika w przeciwstawieniu się „obłądowi”, który opanował naród od góry do dołu...

– Tę wojnę wygra Rosja! – przekonywał. – Czy pan naprawdę nie widzi, co nas czeka? Pan przecież umie samodzielnie myśleć.

Nie podzielałem jego zdania. Zrobił na mnie wrażenie maniaka.

Po latach Goettel oczywiście zmienił zdanie. Jerzy Giedroyc wspominał zaś:

Przypominam sobie pewien dramatyczny epizod. Jeden z pułkowników mówił o przygotowaniach na wypadek wojny. Po wysłuchaniu go Studnicki powiedział: „Przecież jak będzie wojna, to musimy przegrać”. Zrobiła się martwa cisza pełna napięcia, które jakoś się jednak rozładowało. Ale ta martwa cisza utkwiła mi w pamięci.

Oferta Hitlera

Studnicki dowodził, że układy sojusznicze z Francją i Wielką Brytanią są warte mniej niż papier, na których je spisano. Nie miał wątpliwości, że Francuzi – których morale zostało złamane podczas pierwszej wojny – nie wynurzą nosa spoza Linii Maginota. A Brytyjczycy nie mają armii lądowej, którą mogliby przysłać z odsieczą.

Przestrzegał, że polskie nadzieje na wielką ofensywę na Zachodzie i pomoc demokracji zachodnich to dziecinne mrzonki. Polska, jeżeli zdecyduje się na skok w przepaść i konfrontację z Niemcami, będzie konać w samotności. Nikt, ale to nikt jej nie pomoże.

W tej sytuacji Rzeczpospolita nie miała wyboru i musiała przyjąć sojuszniczą propozycję Niemiec. A więc podążać dalej drogą, jaką wyznaczył dla niej Józef Piłsudski, zawierając z Hitlerem układ o nieagresji 26 stycznia 1934 r.

Hitler w latach 1934–1938 prowadził konsekwentną politykę odprężenia z Polską. Wynikało to z dalekosiężnych planów niemieckiego dyktatora, w których Polska odgrywała rolę kluczowego, strategicznego sojusznika. Zgodnie z projektami niemieckiego kanclerza udział Polski w wojnie miał zostać podzielony na dwie fazy.

Etap 1. Niemcy atakują Francję. Polska zapewnia im „bezpieczne plecy” przez zobowiązanie do nieprzyjścia na pomoc Francji i nieprzepuszczenie Armii Czerwonej przez swoje terytorium.

Etap 2. Niemcy – wraz z Polską – atakują Związek Sowiecki.

Aby mieć pewność, że Rzeczpospolita zgodzi się na ten plan, Hitler w październiku 1938 r. wystąpił z propozycją ostatecznego zamknięcia wszystkich kwestii spornych między Berlinem a Warszawą. Propozycja zakładała polską zgodę na włączenie Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy oraz budowę autostrady eksterytorialnej przez Pomorze.

W zamian za to Niemcy gotowi byli rzec się pretensji do ziem byłego zaboru pruskiego i przedłużyć pakt polsko-niemiecki o 25 lat.

Beck tę propozycję odrzucił. Poinformował o tym Joachima Ribbentropa w styczniu 1939 r. podczas wizyty szefa niemieckiej dyplomacji w Warszawie. Na początku kwietnia zawarł zaś sojusz z Wielką Brytanią. I tym samym opowiedział się po stronie Londynu i Paryża. A przeciwko Berlinowi.

Konsekwencje tej decyzji były apokaliptyczne. Polska z pozycji najbliższego sojusznika Niemiec przeszła na pozycję wroga i pierwszej ofiary. Rozwścieczony Hitler wydał swoim generałom rozkaz przygotowania wojny z Rzeczpospolitą. A po tym, gdy dostał „kosza” od Józefa Becka, postanowił zaproponować przymierze Józefowi Stalinowi.

Przerażony wolą Becka Studnicki próbował wpłynąć na ministra, aby zawrócił z drogi prowadzącej ku przepaści. W liście do Becka z 13 kwietnia 1939 r. ostrzegał, że od kiedy Niemcy podporządkowali sobie Czechosłowację, wojna polsko-niemiecka stała się niemożliwością.

Polska może być zaatakowana z północy, z zachodu i z południa – pisał. – Rzeki nie oddzielają nas od Niemiec, ale łączą nas z nimi. Granice nasze nie są tak umocnione jak granice Francji i Niemiec na zachodzie. Wojna na zachodzie będzie wojną pozycyjną, w naszym

zaś wypadku wojną ruchomą. Armia nasza będzie otoczona i zmuszona do kapitulacji przez armię idącą z południa i z zachodu oraz dysponującą jednostkami zmotoryzowanymi. Wojna polsko-niemiecka, jako wojna regularna, trwać może najwyżej 6 tygodni, po czym nastąpi zajęcie przez Niemcy całego kraju.

Studnicki tłumaczył, że lepiej jest zapewnić Niemcom „życzliwą neutralność” w trakcie ich konfliktu z Francją. Lepiej wejść do wojny w jej kolejnej fazie, niż dać się pobić i wykrwawić już na początku. „Niemcy mogą na nas uderzyć – dowodził – likwidując słabszego przeciwnika z chwilą, gdy stanie się jasne, że w tej wojnie będziemy przeciwko nim”.

Studnicki uważał, że aby ratować sytuację, Polska powinna „w drodze przyjaznych negocjacji” zgodzić się na włączenie Gdańska do Rzeszy. Aby powetować sobie tę prestiżową stratę, mogłaby

Podobny list Studnicki wysłał do Joachima von Ribbentropa. Wzywał go do opamiętania i kompromisowego rozwiązania sporu z Polską. Na oba listy Studnicki nie dostał żadnej odpowiedzi. 5 maja 1939 r. poszedł więc za ciosem i rozesłał członkom rządu, wybitnym osobistościom oraz przedstawicielom generalicji „Memoriał w sprawie sytuacji politycznej”.

Studnicki ostrzegał, że Wielka Brytania nie przyjdzie Polsce z pomocą. A po upadku Polski zrobi wszystko, żeby wciągnąć do koalicji antyniemieckiej Związek Sowiecki. To zaś będzie oznaczało dla nas śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jeżeli Niemcy zostaną zwyciężeni przy kooperacji koalicji z Rosją sowiecką – ostrzegał – musi ona być wynagrodzona, a może być wynagrodzona tylko naszym kosztem. Wielka Brytania w swej prasie, wystęпах parlamentu stale uważa osiągnięcie przez nas Ziemi Wschodnich za jakiś imperializm. Karygodny, jak wszystkie imperializmy nieangielskie. Idea granicy Curzona jest w wysokim stopniu zakorzeniona w Anglii. Z czystym sumieniem będą oddawali nasze wschodnie dzielnice.

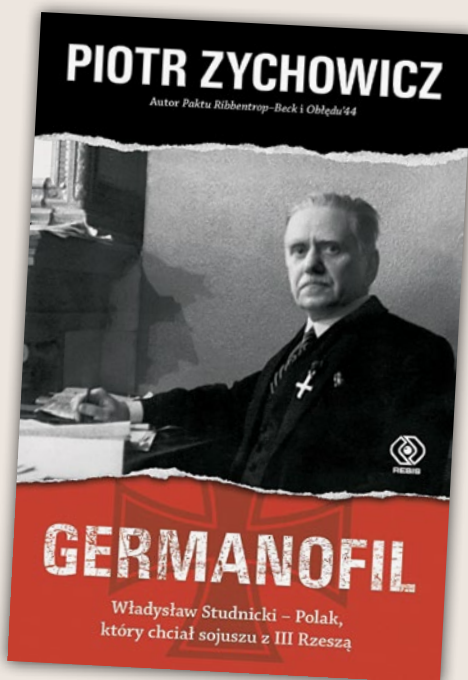
Tak, to nie pomyłka. Ten cytat naprawdę pochodzi z 5 maja 1939 r. Studnicki już wówczas bezbłędnie przewidział nie tylko klęskę Polski w starciu z Niemcami, lecz także Jałtę. Oderwanie od Polski Wilna i Lwowa, oddanie naszego kraju pod „opiekę” Stalina przez wiarołomnych Brytyjczyków.

Wojna pozycyjna, wojna do wyczerpania przeciwnika, będzie trwała na Zachodzie lat kilka – pisał Studnicki w memoriale. – Będziemy mieli kilkuletnią okupację niemiecką. Okupacja ta będzie bardziej wyczerpująca pod względem gospodarczym, bardziej bezwzględna, niż była okupacja podczas wojny światowej. Groźących nam katastrof można uniknąć przez porozumienie się z Niemcami.

Reakcją rządu znowu było milczenie – memoriał nie odniósł żadnego skutku.

Skonfiskowana książka

W czerwcu 1939 r. Władysław Studnicki napisał książkę „Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej”. Nie ma żadnych wątpliwości, że jest to najbardziej prorocza książka polityczna, jaka kiedykolwiek została napisana w Polsce. Trafność i dalekosiężność przewidywań Studnickiego robi na czytelniku wręcz piorunujące wrażenie.



WIĘCEJ O TRAGICZNYCH LOSACH
WŁADYSŁAWA STUDNICKIEGO W NOWEJ KSIĄŻCE
PIOTRA ZYCHOWICZA „GERMANOFIL” (WYD. REBIS)
PREMIERA 1 WRZEŚNIA!

wydzierżawić łotewski port w Libawie. Poza tym mogła objąć protektorat nad Słowacją. W ten sposób otrzymałaby prestiżową rekompensatę.

Uchronienie Polski przed samobójczym uczestnictwem w wojnie – kończy list Władysław Studnicki – historia poczytywać będzie Panu, Panie Ministrze, za zasługę.

■ Nie niepokój, nie odruchy – pisał – lecz analiza naszego położenia, naszej racji stanu oraz zrozumienie obecnej sytuacji politycznej może nas uchronić od kroków fałszywych, które mścić się mogą na nas, na naszych dzieciach, na szeregu późniejszych pokoleń.

I dalej:

Największe niebezpieczeństwo ze strony Anglii – podkreślał – polega na tym, że pragnie udziału Rosji sowieckiej w koalicji. Czym jednak za ten udział może Rosji zapłacić? Tylko ziemiami polskimi, tylko naszym wschodem, to jest województwami leżącymi za Bugiem i Sanem. Nie ulega wątpliwości, że będzie to klauzula tajna, Polsce nieznana.

Studnicki dowodził, że Polska armia w konfrontacji z Wehrmachtem nie ma szans. Natomiast walcząc u boku Wehrmachtu w wojnie prowadzonej przeciwko Armii Czerwonej, może odegrać kluczową rolę. Jego zdaniem wszystkie kluczowe względy – geografia, gospodarka i polityka – nakazywały, aby Polska weszła w skład bloku państw Osi.

Dziś nie sprawa Gdańska i autostrady jest czynnikiem decydującym o wojnie lub pokoju – pisał – lecz tylko to, czy Niemcy będą przekonane, że Polska w razie wojny na zachodzie wystąpi czynnie przeciwko nim. Mocarstwa zachodnie dla oszczędzenia własnej krwi będą prowadziły wojnę przewlekłą, na wyczerpanie zasobów przeciwnika. Polska będzie musiała prowadzić wojnę ruchomą i niezależnie od powodzenia wojny na zachodzie może przeżywać okupację niemiecką i sowiecką. Pierwsza zniszczyłaby nas materialnie, druga zniszczyłaby narodowo i politycznie.

Dopiero po tym, gdy Studnicki napisał książkę, władze sanacyjne przystąpiły do działania. Nie były to jednak działania, jakich oczekiwał polski germanofil. Zamiast rozważenia jego argumentów i przemyślenia przyjętej linii politycznej polski rząd zastosował wariant siłowy.

21 czerwca 1939 r. do drukarni wtargnęła policja i skonfiskowała cały nakład książki Studnickiego. Beck postanowił zamknąć usta odważnemu polskiemu publicyście i posunąć się do aktu bezwzględnej cenzury. Było to działanie haniebne. Władysław Studnicki zdecydował się na zaskarżenie decyzji o konfiskacie w sądzie. Rozprawa odbyła się przy drzwiach zamkniętych.

Wykazywałem, że Polska jest niepodległa, lecz dla zachowania swej niepodległości winna być wolna, winna korzystać ze swobody dyskusji, w sprawach



Adolf Hitler na mszy żałobnej w Berlinie po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego. FOT. NAC

zasadniczych, w sprawach polityki zagranicznej – wspominał Studnicki. – Gdy mówiłem o niebezpieczeństwie sowieckim, o losie ziem wschodnich w razie wojny, a co zatem idzie o opanowaniu ich przez Sowietów, nie wytrzymały mi nerwy. Rozpłakałem się. Wiem, że moja mowa sprawiła duże wrażenie, prokurator nie przytaczał żadnych argumentów contra, tylko twierdził, że podtrzymuje konfiskatę.

Po kilku latach młody prawnik, który praktykował wówczas w sądzie, ujawnił Studnickiemu, że jego przemówienie wstrząsnęło sędzią. „Czuję, że Studnicki ma rację – powiedział sędzia po zakończeniu rozprawy – ale miałem związane ręce – polecenie konfiskaty było bezpośrednim nakazem premiera”.

Felicjan Sławoj-Składkowski chciał iść jeszcze dalej i planował osadzić sędziwego Studnickiego w obozie koncentracyjnym w Berezie Kartuskiej. Zamysł ten wywołał jednak oburzenie wśród przyzwyczajonych przedstawicieli obozu władzy i na szczęście został zablokowany.

Byłem w roku 1939 przeciwnikiem wojny na dwa fronty – wspominał Stanisław Cat-Mackiewicz. – Wiedziałem, czego nie rozumiał Beck, Składkowski czy Rydz, że inwazja niemiecka pociągnie za sobą inwazję rosyjską. Od czasu do czasu komuś to prywatnie błąknęło, ale poza tym, widząc, że nastrój narodu idzie w zupełnie innym kierunku, wzruszałem tylko ramionami i rozkładałem ręce.

Studnicki był wtedy nie tylko większym ode mnie obywatelem, ale o ileż bardziej przewidującym politykiem. Studnickiemu zagrożono wówczas, że zostanie

osadzony w szpitalu wariatów, jeśli zacznie osłabiać hasło „Silni, zwaźci, gotowi”. Ano – było to logiczne. W społeczeństwie ogarniętym powszechną wariacją miejsce jedynego człowieka przytomnego było w szpitalu wariatów.

Trudno wyobrazić sobie, w jakiej rozpacz musiał znajdować się w tych tragicznych miesiącach Studnicki. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jego ojczyzna przeżyje najstraszliwszemu nieszczęściu w swych dziejach, a on nie był w stanie tego powstrzymać. Był całkowicie bezradny.

Był to chyba najcięższy okres w moim życiu – pisał Studnicki. – Gdy nocą docierał do mnie odgłos maszerujących oddziałów, ścisnęło mi się serce, gdyż boleśnie odczuwałem zbliżającą się katastrofę.

W mojej wyobraźni przesuwali się obrazy oczekującej nas klęski. Muszę jednak przyznać, że rzeczywistość przerosła wszystko, co mogła sugerować najbujniejsza wyobraźnia.

1 września 1939 r. Niemcy zaatakowały Polskę. 17 września Armia Czerwona zadała nam cios w plecy. Józef Beck uciekł z kraju, porzucając ginącą w nierównej walce naród. Rzeczypospolita spowiła się dymami pożarów. Spłynęła krew, obróciła się w gruzy. Straszliwe proroctwa Władysława Studnickiego wypełniły się co do joty.

Alternatywa

Na koniec warto się zastanowić, jak potoczyłaby się historia, gdyby Beck posłuchał Studnickiego i przyjął niemiecką ofertę. Wówczas wojna – zgodnie z pierwotnymi planami Hitlera – zaczęłaby się od Francji. A więc tysiąc kilometrów od granic Rzeczypospolitej. Polsce zaoszczędzona zostałaby klęska 1939 r. A Polakom Katyń, Auschwitz i Palmiry. Decyzja taka ocalałaby więc życie setkom tysięcy naszych rodaków. Nie doszłoby do rozbioru ani niemiecko-sowieckiej okupacji naszej ojczyzny.

Polska weszłaby do drugiej wojny światowej dopiero w jej drugiej fazie. Wówczas dywizje Wojska Polskiego u boku Wehrmachtu i innych państw Osi

zaatakowałyby Związek Sowiecki. Udział Polaków w krucjacie antybolszewickiej najprawdopodobniej przypieczętowałby los krwawego imperium Stalina. Tyran zostałby obalony, a bolszewizm – zmieciony z powierzchni ziemi.

Z całą, największą odpowiedzialnością – mówił prof. Paweł Wieczorkiewicz – jako człowiek, który bada od kilkudziesięciu lat wojskowość sowiecką tej doby, twierdząc: Armia Czerwona w wojnie z koalicją niemiecko-polską (plus Rumuni itd.) nie miałaby żadnych szans ani w roku 1940, ani w 1941. Pod Moskwą w grudniu 1941 roku Niemcom zabrakło jednej, dwóch dywizji. Myśły ich dawali do sześćdziesięciu... A więc gen. Stanisław Maczek na czele 1. Dywizji Pancerniej zdobywcą sowieckiej stolicy.

Podobnego zdania był inny wybitny historyk, prof. Jerzy Łojek, syn polskiego oficera zgładzonego w Katyniu.

Z perspektywy historycznej jest oczywiste – pisał – że lepiej było wtedy uderzyć na ZSRS w sojuszu z Niemcami, niż doczekać się w końcu (i rychło) wspólnego uderzenia na Polskę Niemców i ZSRS. Jest prawdopodobne, że w sytuacji roku 1939 lub 1940 uderzenie niemiecko-polskie (i z drugiej strony japońskie) na Związek Sowiecki zdruzgotałoby kompletnie imperium Józefa Stalina.

Polska znalazłaby się więc nie w gronie przegranych, ale w gronie zwycięzców. A co potem? Czy między Niemcami a Polakami w przyszłości nie doszłoby do konfliktu? Czy Niemcy nie próbowaliby zniszczyć sojuszu dotychczasowego sojusznika?

Oczywiście nie da się tego wykluczyć. Wówczas Polska – tak jak zrobiły to Finlandia, Włochy czy Rumunia – w ostatniej fazie drugiej wojny światowej musiałaby przejść na stronę aliantów. Tym razem byłoby to jednak bezpieczne. Wcześniej z gry wyeliminowany zostałby Związek Sowiecki. A więc Jałta byłaby już niemożliwa.

Polska, idąc drogą wskazaną przez Studnickiego, nie tylko uniknęłaby więc klęski w pierwszej fazie wojny, lecz także zachowała cały wachlarz możliwości działania na przyszłość. Byłaby to bez wątpienia sytuacja znacznie lepsza niż totalna anihilacja państwa i hekatomba jego obywateli, która rozpoczęła się w roku 1939.

Gdybyśmy stanęli przeciwko Rosji w wojnie, którą Hitler planował – pisał Studnicki po wojnie na emigracji w Londynie – nie moglibyśmy wyjść gorzej niż obecnie, gdy

Polska jest przeobrażona w sowiecką republikę, a polski naród w sowiecki naród. Przeciwnie, moglibyśmy mieć znaczne osiągnięcia.

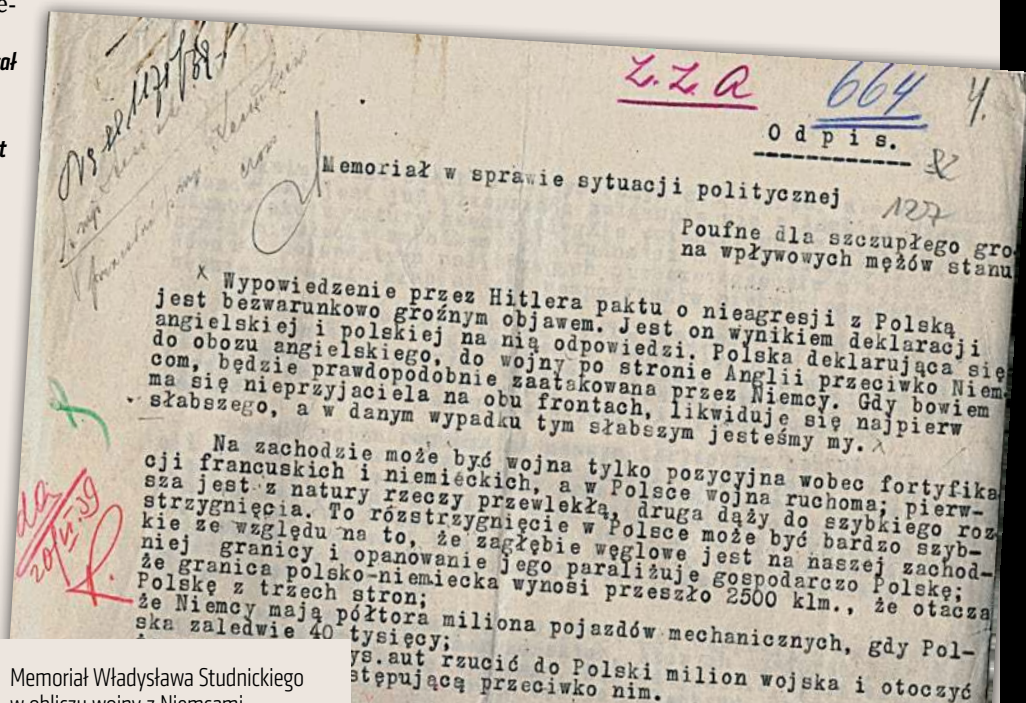
Odpowiedź na ofertę sojuszniczą, którą Niemcy złożyły Polsce, była więc jedną z najważniejszych decyzji w jej dziejach. Zależało od niej „być albo nie być” narodu polskiego. Aby udzielić na tę ofertę prawidłowej odpowiedzi, potrzebny był głęboki namysł i chłód, pozbawiona emocji analiza sytuacji międzynarodowej. Prawidłowa ocena czterech czynników:

1. Siły własnej.
2. Siły Niemiec.
3. Gotowości Wielkiej Brytanii i Francji do przyścia Polsce z pomocą.
4. Postawy Związku Sowieckiego.

Józef Beck wszystkie te czynniki ocenił fałszywie. Przecenił siły własne, nie docenił sił Niemiec, wierzył w anglo-francuskie gwarancje, uznał, że sowiecki cios w plecy jest niemożliwy. Cztery pudła na cztery strzały.

Władysław Studnicki wszystkie te czynniki ocenił zaś prawidłowo. Na tym właśnie polega różnica między Beckiem, który wepchnął własną ojczyznę w otchłań klęski, a Studnickim, który starał się ją przed klęską ocalić. Sztyderstwa i obelgi rzucane na Studnickiego w PRL – ale niestety również w III RP – nie są w stanie zmienić tego, że to on miał rację.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Memoriał Władysława Studnickiego w obliczu wojny z Niemcami FOT. WGB

Niemcy muszą walczyć na dwa fronty przeciwko Francji, która może zniewolona będzie walczyć na 3 fronty: Co się stanie z Polską, gdy będziemy robili blokadę Niemiec, do której Niemcy są bardziej przygotowani niż do blokady 1914-1918 r., a Francja będzie usiłowała przełamać olbrzymie fortyfikacje.

Gdyby wojna nastąpiła jutro, nie moglibyśmy posłać ani jednego batalionu do Polski, Francja też nie mogłaby. Miałaby przed sobą fortyfikacje bardziej potężniejsze od linii Hindenburga, które wymagały 4 lat, aby być przerwane, wymagały też milionów ofiar ludzkich.

Pomoc Rosji sowieckiej uważał Lloyd George za rzecz niebezpieczną i bez zapewnienia tej pomocy twierdził, że "wpadniemy w pułapkę". Pomoc Rosji sowieckiej jest jedynym żądaniem Anglii. Marszałka Piłsudskiego uznawała pobyt wojsk sowieckich w Polsce jako sprzymierzeńców lub ich przemarsz na rzecz dla naszego państwa najbardziej groźny. Armia sowiecka w Polsce miałaby na celu przeobrażenie Polski w jedną z sowieckich republik.

Rozmowa / Z prof. Stanisławem Żerką, autorem książki „Stosunki polsko-niemieckie 1938–1939”



rozmawia Piotr Włoczyk

Józef Beck w mowie wygłoszonej przed Sejmem odrzucił niemieckie żądania, maj 1939 r. FOT. NAC



Beck miał rację!

/ – Gdyby wówczas na czele polskiego MSZ stali Metternich i Talleyrand, to nie znaleźliby lepszego rozwiązania. Przyjęcie oferty niemieckiej oznaczałoby skok w przepaść – mówi prof. Stanisław Żerko

PIOTR WŁOCZYK: Czy Władysław Studnicki nie przewidział w zdumiewający wręcz sposób rozwoju wypadków w czasie drugiej wojny światowej?

PROF. STANISŁAW ŻERKO: Jestem zdziwiony dzisiejszą popularnością broszury Władysława Studnickiego pt. „Wobec nadchodzącej II wojny światowej”. To przecież lektura wybitnie... ekstrawa-

gancka. Zresztą Studnicki zaproponował w niej nie tyle sojusz z Niemcami, ile zachowanie neutralności Polski w wojnie III Rzeszy z Francją i Wielką Brytanią. Polska miała wycofać swoje siły z zachodniej części kraju i zabezpieczać Niemcy od strony wschodniej. Co więcej, jest to książka wybitnie antysemicka.

Cały rozdział poświęcił autor uzasadnianiu tezy, jakoby do wojny dążyli Żydzi, dla których każda wojna to ogromne zyski.

Z perspektywy lat pewnego uroku dodaje tej książce to, że została ona natychmiast skonfiskowana przez sanacyjne władze.

Trudno się temu dziwić, ponieważ podważała ona morale polskiego społeczeństwa. Pamiętajmy przy tym, że Studnicki był wówczas powszechnie uważany za germanofila wręcz maniakalnego. Co ciekawe, nie był on traktowany poważnie nawet przez niemieckich dyplomatów pracujących w Warszawie. Czytałem w archiwum niemieckiego MSZ

niepublikowane dokumenty z ambasady Rzeszy w Warszawie, w których wspomniano o Studnickim. Traktowali go jako całkowity margines.

Jednak scenariusz, który nakreślił w swojej broszurze Studnicki, nietrudno nazwać proroczym...

Politycznym szaleńcom zdarzają się przebłyśki geniuszu. I to widać w tej książce. Tylko że stało się to jasne dopiero po zakończeniu wojny. My dziś jesteśmy bardzo mądrzy, dajemy ówczesnemu kierownictwu Polski przeróżne rady, dzięki którym II RP mogła uniknąć katastrofy. W PRL niektórzy polscy historycy zajmujący się stosunkami międzynarodowymi „radzili” Beckowi, by wszedł w sojusz ze Związkiem Sowieckim, korzystając z szansy, jaką dawać miała pomoc Armii Czerwonej. Z kolei w ostatnich latach pojawiają się „rady” polegające na przedstawianiu rzekomej alternatywy, którą miało być skorzystanie z niemieckiej oferty.

Dlaczego uważa ją pan za „rzekomą alternatywę”? To nie była dla Polaków realna opcja leżąca na stole negocjacyjnym?

Ten wariant nie wchodził w grę. Ówczesne polskie władze nie były w stanie podjąć takiej decyzji ze względów mentalnych. Ci ludzie jeszcze 20 lat wcześniej brali udział w tworzeniu zrębów niepodległego państwa polskiego. W 1939 r. nie byłiby w stanie podjąć decyzji, która – jak to później określał Beck – prowadziła by Polskę „na równię pochyłą kończącą się utratą niezależności i rolą wasala Niemiec”.

Załóżmy jednak na chwilę, że rządzący Polską stwierdzają, iż nie ma innego wyjścia...

Nawet gdyby taka decyzja została podjęta, to nie zaakceptowałyby jej polskie elity ani społeczeństwo, od lewicy do prawicy. Sanacja nie byłaby w stanie przystać na taki scenariusz. Wśród generalicji, w korpusie oficerskim polityka Becka wobec Niemiec była krytykowana. Nie jestem przeciwnikiem historii alternatywnej, więc zaryzykuję tezę, że polski rząd, który przystałby na ofertę Berlina, nie przetrwałby u władzy nawet tygodnia. Zostałby obalony – czy to przez ulicę, czy przez wojsko. Mamy tu zresztą doskonały przykład. Co się stało z jugosłowiańskim rządem, który wbrew opinii publicznej przystąpił w 1941 r. do

paktu trzech? Został obalony w wyniku wojskowego przewrotu przy entuzjazmie ulicy.

Z drugiej strony tego sporu o politykę Becka słysząc jednak argument, że II RP była właściwie dyktaturą, więc władza mogła po prostu zdusić wszelki opór społeczny wobec zmiany linii w polityce zagranicznej.

II RP była w 1939 r. półdyktaturą. Istniały partie opozycyjne, które miały miliony zwolenników. Przypomnijmy jednak, że także w obozie sanacji organizacje prorządowe w lutym 1939 r. brały udział w demonstracjach antyniemieckich w związku z antypolskim incydem w Gdańsku. Podczas jednej z nich demonstranci tłukli szyby w gmachu ambasady Rzeszy. Policjanci strzegący tego gmachu wykazywali bierność. Ambasadorem Niemiec skarżył się potem w polskim MSZ, że w obozie władzy pozytywnie nastawieni są do Rzeszy tylko Beck i jego zastępca.

Czyli Beck dokonał tu najlepszego wyboru spośród dwóch złych opcji?

On także miał niekiedy wątpliwości, czy Londyn i Paryż porzuciły politykę appeasementu, ale moim zdaniem rozumował racjonalnie. Uznał, że Niemcy prowadzą wojnę nerwów i Polska musi wytrzymać presję. Uważał, że Hitler blefuje, więc sam sięgnął po blef.

Zdawał sobie sprawę z tego, że Wielka Brytania była w 1939 r. kompletnie nieprzygotowana do wojny?

Tak, ale zakładał, że politycy nad Tamizą i Sekwaną będą postępować zgodnie ze swym żywotnym interesem. Zakładał też, że również w Niemczech u władzy są ludzie racjonalni. Zasadność tych kalkulacji potwierdzają studia nad niemiecką polityką zagraniczną w 1939 r. Pamiętajmy, że po udzieleniu przez Wielką Brytanię gwarancji zdecydowana większość niemieckiego kierownictwa, oprócz Hitlera i – być może – Josepha Goebbelsa – uważała, że w tej sytuacji nie wolno ryzykować wojny. Hermann Göring jeszcze 29 sierpnia zwrócił Hitlerowi uwagę, że ryzyko jest wielkie. „Całe życie grałem va banque” – usłyszał w odpowiedzi.

Nawet Joachim von Ribbentrop, który uchodził za jastrzębia, spośród wszystkich raportów, które trafiały na jego biurko, Hitlerowi przedstawiał tylko te,

które świadczyły o zdecydowanej postawie Francji i Wielkiej Brytanii. Zastępca Ribbentropa, Ernst von Weizsäcker, był wówczas zdania, że atak na Polskę, który równałby się rozpętaniu wojny światowej, oznaczałby „Finis Germaniae”. Jego zdaniem Niemcy takiej wojny nie byli w stanie wygrać. Takie samo nastawienie panowało w niemieckim korpusie oficerskim. Panował lęk przed wojną na dwa fronty.

Czyli polska polityka zagraniczna wiosną i latem 1939 r. opierała się na racjonalnym w gruncie rzeczy założeniu, że atak Niemiec na Polskę, wobec porozumień z Francją i Wielką Brytanią, byłby czystym szaleństwem?

Tak. Dopiero później się okazało, że Niemcami rządził dyktator, który przejawiał objawy szaleństwa. W tym kontekście ciekawie wygląda list Józefa Becka do jego przyjaciela, polskiego ambasadora w Rzymie, gen. Bolesława Wieniawy-Długoszyńskiego z 10 maja 1939 r. Beck przyznaje w nim, że uważał Hitlera przez długi czas za przykład rozsądnego i trzeźwego polityka. Dodał, że podczas ich ostatniej rozmowy, w początkach stycznia 1939 r. w Berchtesgaden, odniósł wrażenie, że wódz III Rzeszy doznał zawrotu głowy od sukcesów i w związku z tym stanowcze polskie „nie” oraz pozyskanie obietnicy z Zachodu zablokują dalszą ekspansję Niemiec.

To było szukanie wyjścia z sytuacji bez wyjścia. Dzisiaj bowiem wiemy, że w roku 1939 r., odwrotnie niż w 1918 czy w 1989, koniunktura międzynarodowa była dla Polski fatalna. Jestem gotów postawić tezę, że gdyby wówczas na czele polskiego MSZ stali Metternich i Talleyrand, to nie znaleźliby lepszego rozwiązania. Przyjęcie oferty niemieckiej oznaczałoby skok w przepaść. Studnicki nie zauważył, że zniszczenie resztek Czechosłowacji przez Hitlera pokazało, ile jest warte słowo kanclerza. Hitler podeptał bowiem podpisany przez siebie zaledwie pół roku wcześniej układ monachijski.

Chociaż zwrócił uwagę w swojej broszurze, że wysunięcie niemieckich żądań w sprawie Gdańska i autostrady trzy tygodnie po zajęciu Czechosłowacji i tydzień po aneksji Kłajpedy było „fatalnym błędem”.

Studnicki nie wiedział, że ten pakiet niemieckich propozycji, nazwany później przez Ribbentropa „wspaniałomyślną ofertą Hitlera”, został po raz pierwszy



Spotkanie Hitler-Beck, styczeń 1939 r.

FOT. ARCHIWUM

■ wysunięty wobec Polski już 24 października 1938 r., miesiąc po Monachium. Powtórzony został przez Hitlera osobiście w początkach stycznia w Berchtesgaden w rozmowie z Beckiem. Niemcy kilka razy wracali do tego tematu. Heinrich Himmler, w czasie wizyty w Polsce w lutym 1939 r., tłumaczył gospodarzom, że Niemcy pogodzili się z tym, iż ujście Renu nie jest w Niemczech i Polacy też mogliby zaakceptować to, że ujście Wisły znalazłoby się na terenie III Rzeszy. Te propozycje nie były jeszcze znane polskiemu społeczeństwu, więc Studnicki też o nich nie słyszał. Początkowo były one składane w przyjaznym tonie, ale rozmowy prowadzone od drugiej połowy marca odbywały się już w zupełnie innej atmosferze. Przybrały ton niemal ultymatywny.

Powiedział pan, że przyjęcie niemieckiej oferty oznaczałoby dla Polski skok w przepaść. Dlaczego?

Potraktujmy próbę zarysowania takiego scenariusza jako ćwiczenie intelektualne. Znając wojenną politykę Hitlera, można postawić tezę, że zdanie wówczas państwa polskiego na łaskę i niełaskę III Rzeszy mogło się okazać gorsze niż scenariusz, który rozegrał się w rzeczywistości. Po pierwsze, nietrudno sobie wyobrazić, że polska armia wykrwawiłaby się na froncie wschodnim na dużo większą skalę niż w czasie kampanii wrześniowej. Możemy zakładać, że po pokonaniu ZSRS Hitler uznałby w końcu, iż

Słowianie nie zasługują na traktowanie jako równoprawnych partnerów, i po pewnym czasie zredukowałby swojego polskiego wasala do tworu nazywającego się np. Protektorat Mazowsza i Małopolski. Pamiętajmy, że w grę wchodził też skrajnie nienawistny stosunek do ludności żydowskiej, której żyło w Polsce ponad 3,5 mln. Nie sądzę, by Hitler zmienił zdanie na temat losu tych ludzi.

Jeżeli już bawimy się w historię alternatywną, to możemy też snuć scenariusz, w którym Niemcy wojnę przegrywają, a Polacy traktowani są przez zwycięzców jako wasal Hitlera. Państwo polskie mogłoby zostać wówczas na długie lata zredukowane do rozmiarów dawnego Księstwa Warszawskiego.



STANISŁAW ŻERKO „NIEMIECKA POLITYKA ZAGRANICZNA 1933-1939”

INSTYTUT ZACHODNI



STANISŁAW ŻERKO „STOSUNKI POLSKO- -NIEMIECKIE 1938-1939”

INSTYTUT ZACHODNI

Jednakże nie wszyscy sojusznicy Hitlera zostali potraktowani po wojnie bardzo surowo przez zwycięzców.

Tak, ale Finlandia, Bułgaria czy Rumunia były jednak położone peryferyjnie. Polska leżała w strategicznie ważnym miejscu. To duża różnica.

Jestem bodaj najbardziej krytyczny wobec Józefa Becka spośród polskich historyków zajmujących się polityką zagraniczną II RP. Beck wypada bardzo niekorzystnie zwłaszcza jesienią 1938 r. Był wówczas kompletnie zdeorientowany, wydawało mu się, że jako naród „jesteśmy w dobrym punkcie politycznym”. Kryzys sudecki miał jego zdaniem dowiedzieć tego, że „lwy nie są takie groźne”. Beck miał nadzieję, że będzie potrafił wodzić Hitlera za nos jeszcze przez długi czas. Była to skrajnie naiwna postawa.

Jednak już wiosną 1939 r., moim zdaniem, w tej fatalnej sytuacji Beck podjął najbardziej racjonalną decyzję. Zresztą po swym słynnym przemówieniu w sejmie 5 maja nie prezentował ślepego uporu – próbował odnowić kontakty z Hitlerem. Wykorzystywał do tego pośrednictwo Włochów, Rumunów, Węgrów, Bułgarów, ale przede wszystkim Japończyków. Ważną rolę odegrał tu japoński ambasador w Warszawie Shūichi Sakō. Beck uważał, że Hitler zagrożony wojną na dwa fronty wycofa się i przyjmie proponowane przez Warszawę rozwiązanie kompromisowe.

Na czym miało ono polegać?

Na ułatwieniach w tranzycie przez Pomorze Gdańskie i na zmianie formy ustrojowej Gdańska. To były wszystkie ustępstwa, na jakie Polacy byli gotowi pójść. Pamiętajmy jednak, że Hitlerowi tak naprawdę nie chodziło o autostradę ani o Gdańsk, tylko o podporządkowanie sobie Warszawy.

Wśród osób wspierających koncepcję Studnickiego dosyć powszechnie słychać opinię, że w 1939 r. Piłsudski musiał się przewracać w grobie, widząc to, w jakim kierunku Beck prowadzi Polskę.

Pamiętajmy, że kilka miesięcy przed śmiercią Piłsudski przyjął Hermana Göringa, który był swego rodzaju emisariuszem Hitlera. Usłyszał od niego propozycję polsko-niemieckiej współpracy wojskowej wymierzonej w ZSRS. Piłsudski w ogóle nie chciał na ten temat rozmawiać. Uciął rozmowę i stwierdził,

że Polska nie może sobie na coś takiego pozwolić. Bardzo wątpię, czy Piłsudski zgodziłby się na zredukowanie roli II RP do państwa wasalnego. To chyba nie był ten typ charakteru.

Nawiasem mówiąc, wątpię również, czy samobójstwo płk. Walerego Sławka w kwietniu 1939 r. była faktycznie protestem przeciwko przyjęciu gwarancji brytyjskich. To moim zdaniem bardzo naciągana teza.

Władysław Studnicki przekonywał w swojej książce, że gwarancje Londynu dla Polski były „angielską pułapką”. Zgadza się pan z tą opinią?

Ostatnio teza o „angielskiej pułapce” robi coraz większą karierę. Tymczasem upowszechniać ją zaczęła sowiecka historiografia pod koniec lat 40. Nie znam żadnego historyka zajmującego się zawodowo tym tematem, który twierdziłby, że była to pułapka mająca zwrócić niemiecką agresję na wschód, by dać Francji i Wielkiej Brytanii czas na przygotowanie się do wojny. Protokoły z posiedzeń rządu brytyjskiego są jawne od przełomu lat 60. i 70. Wynika z nich jasno, że gwarancje były blefem, mają-

cym na celu powstrzymanie niemieckiej ekspansji w Europie. Chodziło o pokazanie Niemcom, że odtąd będą musiały się liczyć z wojną na dwa fronty i że czasy polityki ustępstw minęły.

Na koniec wypadałoby przypomnieć, że Władysław Studnicki nie był jedynym polskim intelektualistą, któremu marzył się sojusz z Hitlerem przeciw Stalinowi...

Władysław Studnicki, z nielicznego grona polskich germanofilów, pozostał w 1939 r. sam. Mało znanym faktem jest to, że Stanisław Cat-Mackiewicz głosił w 1939 r. na łamach wileńskiego „Słowa” zupełnie co innego, niż później twierdził. Pisał on mianowicie, że nie powinniśmy zachować się jak Czesi – nie możemy przyjmować żądań Hitlera. Dopiero później ukuł swoją fałszywą legendę człowieka, który od początku wiedział, że należało podjąć współpracę z Niemcami. Podobnie Adolf Maria Bocheński porzucił swoje wcześniejsze koncepcje w obliczu niemieckich żądań. Bocheński zginął zresztą w 1944 r., bohatersko walcząc z Niemcami. Władysław Studnicki był wierny swoim szaleńczym koncepcjom

do końca. Jeszcze w marcu 1945 r. przedłożył niemieckim władzom memoriał proponujący tworzenie polskich formacji na froncie wschodnim, które miałyby walczyć u boku Wehrmachtu z Armią Czerwoną. To już był kompletny obłęd.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Stanisław Zerkow

jest historykiem, pracownikiem naukowym Instytutu Zachodniego w Poznaniu i Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni, specjalistą w zakresie relacji polsko-niemieckich w dwudziestolecu międzywojennym. Autor wielu prac na ten temat, m.in.: „Stosunki polsko-niemieckie 1938–1939” oraz „Niemiecka polityka zagraniczna 1933–1939”.

REKLAMA

Unikatowy album Polskiego Radia w 100. rocznicę Bitwy Warszawskiej

Relacje świadków • Co pisała prasa • Plakaty i zdjęcia • Pieśni patriotyczne

1920 BITWA, KTÓRA OCALIŁA EUROPE

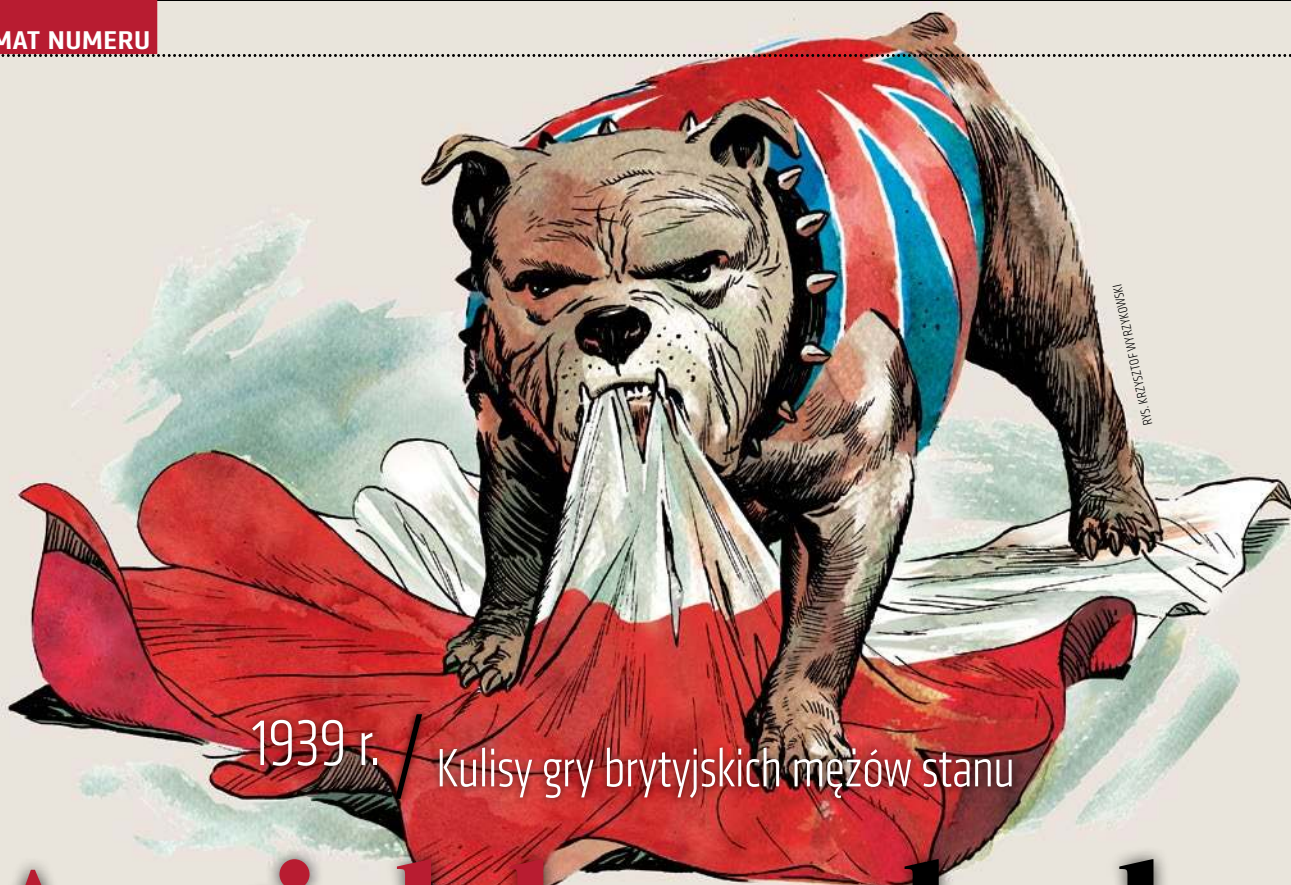


Więcej na: polskieradio.pl

Album dostępny na:
sklep.polskieradio.pl



Patronat Honorowy:
Rada Mediów Narodowych



Angielska pułapka



Piotr Zychowicz

/ To Wielka Brytania wciągnęła do wojny Polskę. A nie odwrotnie. Chodziło o zyskanie na czasie i odsunięcie pierwszego ataku Hitlera od Zachodu

Dlaczego Wielka Brytania przystąpiła do wojny z Hitlerem? Brytyjska wojenna propaganda miała na to prostą odpowiedź: Hitler to był bardzo zły człowiek. Dyktator, antysemita i nacjonalista. Wielka Brytania wystąpiła więc zbrojnie w obronie wolności ludów, praw człowieka i demokracji. Działała z pobudek moralnych.

Tyle brytyjska propaganda, która – niestety – do dziś jest brana na poważnie przez część opinii publicznej świata. Szczególnie dotyczy to wielu Polaków, których charakteryzuje wręcz dziecinna naiwność w podejściu do wielkiej polityki. Brak zrozumienia mechanizmów

i motywów, którymi kierują się wielkie mocarstwa.

Jaka więc była prawda? Taka, że Wielka Brytania, występując przeciwko Niemcom, nie kierowała się pobudkami moralnymi, tylko własnymi egoistycznymi interesami narodowymi. Taka jest żelazna reguła wszystkich mężów stanu imperium brytyjskiego i wszystkich odpowiedzialnych polityków na świecie. Polityka nie ma nic wspólnego z moralnością.

Wielka Brytania od wieków stoi zaś na straży zasady „równowagi sił”. Nakazuje ona zniszczenie tego mocarstwa lądowego, które staje się na tyle potężne, że może osiągnąć pozycję europejskiego hegemonu. Wielka Brytania na począt-

ku XIX w. rzuciła na kolana Napoleona Bonaparte. W latach 1914–1918 złamała potęgę cesarza Wilhelma II. Teraz zaś zamierzała powstrzymać Adolfa Hitlera.

Zdobycie przez Niemcy kontynentalnej dominacji stanowiło śmiertelne zagrożenie dla brytyjskich interesów. Przede wszystkim handlu na rynkach światowych. Politycy z Londynu obawiali się, że Berlinowi uda się stanąć na czele ekonomicznego bloku w Europie Środkowej i na Bałkanach. Rozpocząć ekspansję w basenie Morza Śródziemnego i na Bliskim Wschodzie. Zagrozić brytyjskim szlakom morskimi.

Londyn chciał temu przeciwdziałać za wszelką cenę. Nawet za cenę wojny. W całej sprawie był tylko jeden szkopuł. Brytyjczycy pod koniec lat 30. byli do konfrontacji zbrojnej całkowicie nieprzygotowani. Ich armia lądowa właściwie nie istniała, również flota i lotnictwo potrzebowały poważnych inwestycji. Wielka Brytania potrzebowała więc czasu, czasu i jeszcze raz czasu.

Dlatego właśnie najpierw stosowała politykę appeasementu, starając się zrobić wszystko, aby odsunąć starcie zbroj-

ne. Po rozkawałkowaniu i zniszczeniu Czechosłowacji w latach 1938–1939 taktyka ta jednak wyczerpała się i należało sięgnąć po nowe środki. Z każdym dniem i tygodniem rosło bowiem niebezpieczeństwo, że Hitler uderzy pierwszy i – zgodnie ze swoimi pierwotnymi planami – zaatakuje Europę Zachodnią.

Wielka Brytania postanowiła więc skierować agresję Niemiec w innym kierunku. Na wschód Europy. Jak najdalej od granic Wielkiej Brytanii.

„Eksplodują Niemiec może nastąpić w bardzo bliskiej przyszłości – stwierdzono na posiedzeniu rządu Jego Królewskiej Mości 25 stycznia 1939 r. – Jest dla nas koniecznością podjęcie bezpośrednich środków przeciwko możliwości bezpośredniego skierowania jej wobec nas”.

Klucz do sytuacji

Wielka Brytania najwięcej zyskałaby oczywiście na wojnie między Niemcami a Polską. Polska była bowiem najsilniejszym państwem Europy Środkowo-Wschodniej. To, po czyjej stronie opowie się to państwo podczas nadchodzącej wojny, było więc, z perspektywy brytyjskich mężów stanu, kluczowe.

W Londynie doskonale zdawano sobie sprawę z awansów i propozycji, które Adolf Hitler składał rządowi w Warszawie. Brytyjczycy z przeżeniem myśleli o tym, że Polska mogłaby przyjąć ofertę Rzeszy i zapewnić Niemcom „bezpieczne plecy” podczas ataku Wehrmachtu na Europę Zachodnią. Polska – gdyby znalazła się w gronie państw Osi – znacznie powiększyłaby również potencjał tego bloku.

Premier Neville Chamberlain wiosną 1939 r. ujął to krótko i treściwie: „Polska jest kluczem do sytuacji”. Dlatego właśnie, gdy Brytyjczycy dowiedzieli się o narastającym napięciu na linii Berlin-Warszawa w sprawie Wolnego Miasta Gdańska, desperacko uchwycili się tej deski ratunku. I postanowili zrobić wszystko, by nie dopuścić do jakiegoś kompromisu między Niemcami a Polską.

31 marca 1939 r. premier Neville Chamberlain, przemawiając w Izbie Gmin, zaoferował Polsce gwarancje niepodległości. Czyli de facto sojusz wymierzony w Niemcy. Zadeklarował przy tym, że jest to również stanowisko Francji.

Oczywiście gwarancja ta była całkowicie pusta. Wielka Brytania,

nawet gdyby chciała, nie miała żadnych możliwości, żeby przyjąć Polskę z realną pomocą w przypadku ataku Niemiec. Nie posiadała właściwie armii lądowej, a nawet gdyby ją miała, nie byłaby w stanie przerzucić jej do Polski. Brytyjska marynarka wojenna nie mogła operować na Bałtyku, a lotnictwo dolecieć nad Polskę. Wielka ofensywa na Zachodzie, w obliczu bojaźliwego nastawienia Francji, była oczywiście mrzonką.

Brytyjscy mężowie mówili zresztą o tym zupełnie otwarcie. 14 marca na spotkaniu na wysokim szczeblu u ministra spraw zagranicznych lorda Halifaxa ustalono, że „nie będziemy walczyć o Gdańsk”. Szef brytyjskiej dyplomacji – jak pisał brytyjski historyk Simon Newman – wyrażał przekonanie, że „zobowiązania wobec Polski nie mogłyby być wypełnione”.

Po co Wielka Brytania udzieliła więc Polsce gwarancji bez pokrycia? Aby usztywnić stanowisko Polski w negocjacjach z Niemcami w sprawie Gdańska, a co za tym idzie – pogłębić konflikt między tymi państwami. Polacy, mając za sobą gwarancje Anglii i Francji, mieli poczuć się na tyle pewnie, aby odrzucić ofertę Niemiec.

To zaś miało doprowadzić do wojny niemiecko-polskiej. Kampania ta – według brytyjskich strategów – miała

zaangażować Niemcy co najmniej na kilka miesięcy, co dawało Wielkiej Brytanii niezbędny czas na dozbrojenie.

„W początkowej fazie wojny – napisali w lutym 1939 r. szefowie brytyjskiego sztabu – jest wysoce nieprawdopodobne, aby Niemcy podjęły ofensywę na wielką skalę równocześnie na Wschodzie i na Zachodzie. Jeśliby [rozpoczęli] i kontynuowali ofensywę w Polsce, całkowite wyeliminowanie Polski z wojny byłoby tylko kwestią czasu. Prawdopodobnie paru miesięcy. Jednakże nawet po pobiciu Polski liczba wojsk potrzebnych do utrzymania okupowanych obszarów oraz ich zabezpieczenia przed możliwym atakiem Związku Sowieckiego byłaby zapewne nie mniejsza lub niewiele mniejsza od liczby wojska użytego do pokonania Polski. Ponadto podczas ofensywy przeciwko Polsce Niemcy poniosłyby znaczne straty”.

A to jeszcze nie koniec zysków. Wojna polsko-niemiecka uniemożliwiała oczywiście przystąpienie Polski do bloku państw Osi. A co za tym idzie – potencjalna potęga tego bloku państw i strategiczna pozycja Niemiec w Europie Środkowo-Wschodniej znacznie się pogarszały.

Wreszcie trzeci i ostatni zysk – zniszczenie Polski oznaczało, że na jej trupie powstanie granica niemiecko-sowiecka. To zaś zwiększyło możliwość pojawienia



Generał Edmund Ironside w Warszawie, lipiec 1939 r. FOT. NAC

■ się tarć i wybuchu wojny między Związkiem Sowieckim a III Rzeszą. Generałowie brytyjskiego sztabu od samego początku stali bowiem na stanowisku, że front wschodni, który powali Niemcy, może stworzyć tylko potężna Armia Czerwona. A nie słabe Wojsko Polskie.

„Wartość Polski jako alianta – pisał Simon Newman – nie polegała na jej zdolności podjęcia ofensywy przeciwko Niemcom, dysproporcja sił była bowiem zbyt wielka, lecz na związaniu na froncie wschodnim pewnej ilości dywizji niemieckich. Przede wszystkim jednak Wielka Brytania nie chciała dopuścić do tego, aby Polska, podporządkowując swą politykę woli Hitlera, spotęgowała siły niemieckie lub pozostała im, zachowując postawę życzliwej neutralności, wolną ręką na Zachodzie”.

To, że przyjęcie „gwarancji” brytyjskich spowoduje zdruzgotanie Polski, straszliwe cierpienia milionów jej obywateli, pożogę i śmierć, nie miało dla Brytyjczyków żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że pierwsze uderzenie Hitlera nie pójdzie na Zachód, tylko na Wschód. Na tym właśnie polega brutalna gra, którą jest polityka międzynarodowa. Brytyjczycy są w niej mistrzami. Zero sentymentów.

Zyskać na czasie

„Metoda polegała na przerzuceniu początkowej fazy wojny na kogoś innego – pisał Newman. – Brytyjczycy bowiem byli nadal świadomi swej słabości militarnej. Jak to w parę dni później minister Edward Halifax powiedział swemu sekretarzowi: »Chcemy zyskać na czasie, gdyż każdy miesiąc przysparza nam 600 samolotów więcej«. Czyż najlepszym sposobem zyskania na czasie nie było skierowanie niemieckiej maszyny wojennej na Polskę?».

Dokładnie tego samego zdania był bohater tego numer „Historii Do Rzeczy” Władysław Studnicki. „Gwarancja brytyjska – pisał – miała na celu zajęcie Niemiec kilkumiesięczną wojną z Polską, podczas których Anglia uczyniłaby



Niemiecki plakat propagandowy, wydany po kampanii wrześniowej 1939 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

znaczące postępy w przygotowaniu wojennym”.

Wszystko, co wyżej napisałem, nie ma na celu wywołania w czytelniku „oburzenia” na Wielką Brytanię. Wprost przeciwnie – jej polityka w przededniu drugiej wojny światowej była majstersztykiem. Modelowym przykładem realizowania interesów narodowych. Nie da się tego niestety powiedzieć o polityce Polski, która naiwnie dała się wciągnąć w wojnę.

Niestety, minister Józef Beck dał się nabrać na tę grę jak dziecko. I wprowadził Polskę w śmiertelną, brytyjską pułapkę. Ku zdumieniu nie tylko Studnickiego, lecz także samych Brytyjczyków ową „gwarancję” przyjął. Mało tego, pojechał do Londynu i 6 kwietnia 1939 r. sam udzielił gwarancji Wielkiej Brytanii!

Tym samym Rzeczpospolita dokonała gwałtownej zmiany sojuszy. Jeszcze jesienią 1938 r., w trakcie rozbioru Czechosłowacji, była sprzymierzeńcem Niemiec, wiosną znalazła się w systemie sojuszków Wielkiej Brytanii i Francji. A to oznaczało zagładę państwa. „Od deklaracji Chamberlaina – pisał Studnicki – nie znałem spokoju. Rozumiałem bowiem, że idziemy do katastrofy”.

Adolf Hitler, kiedy dowiedział się o układzie polsko-brytyjskim, oczywiście wpadł w szal. Cały jego misterny plan – którego podstawowym elementem była Polska – został pokrzyżowany. To się mogło skończyć tylko w jeden sposób. Z pozycji pożądanego sojusznika Polska została przesunięta na pozycję wroga i pierwszej ofiary.

Hitler, w odpowiedzi na decyzję Józefa Becka, wydał szefowi Naczelnego Do-

wództwa Wehrmachtu gen. Wilhelmowi Keitelowi polecenie, aby rozpoczął przygotowanie planu operacji wojennej o kryptonimie Fall Weiss. Planu wojny z Polską.

„Dopiero latem 1939 r. dowiedziałem się o dyrektywie dotyczącej planu Weiss, czyli opraco-

wanego na rozkaz Hitlera planu ataku na Polskę – wspominał feldmarszałek Erich von Manstein. – Do wiosny tego roku nie istniał żaden taki dokument. Można wręcz powiedzieć, że na naszej wschodniej granicy nie planowano jakichkolwiek działań wojskowych”.

Führer aż do przyjęcia brytyjskich gwarancji przez Becka nie brał pod uwagę zbrojnej konfrontacji z Polską. Do tej pory w niemieckich sztabach opracowywano tylko plany ataku na Francję i Związek Sowiecki. Teraz wszystko to zostało zarzucone i generałowie zajęli się opracowywaniem nowej, błyskawicznej kampanii. Tym razem przeciwko Rzeczypospolitej.

Druga konsekwencja wolty Józefa Becka była jeszcze bardziej przerażająca. Hitler nie zamierzał rezygnować ze swoich wojennych planów – na co liczył Józef Beck – i postanowił poszukać na wschodzie innego partnera. Skoro Polska nie chce się z nim sprzymierzyć, może zrobi to Związek Sowiecki. Hitler nakazał swoim dyplomatom, aby złożyli ofertę Stalinowi. Wkrótce oba totalitarne molochy zaatakowały i zmiażdżyły Polskę. Nasz kraj konał w osamotnieniu. Brytyjczycy oczywiście nie kiwnęli w naszej obronie palcem.

Według obiegowej opinii drugą wojnę światową rozpętał Adolf Hitler, który dążył do ekspansji terytorialnej. Cytowany często w tym artykule brytyjski historyk Simon Newman na podstawie drobiazgowej analizy brytyjskich archiwaliów doszedł do wniosku, że prawda była zupełnie inna. Według niego „wojna wynikła z rywalizacji pomiędzy Wielką Brytanią a Niemcami o potęgę i wpływ”.

Polska została wykorzystana przez Wielką Brytanię w tej rozgrywce. A gdy narzędzie wypełniło swoją rolę, zostało wyrzucone na (sowiecki) śmietnik.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020



1939 r. / Uczniowie Władysława Studnickiego

Niemieccy oficerowie
na polskim poligonie
Centrum Wyszkożenia
Piechoty, styczeń 1938 r.

FOT. NAC

Germanofile



Jan Sadkiewicz

**/ Polscy zwolennicy
sojuszu z Niemcami
uważali, że Hitlera
trzeba użyć jako tarana
do zniszczenia Związku
Sowieckiego**

W dzisiejszych sporach o politykę zagraniczną II RP orientację proniemiecką próbuje się często zdezwuować, wskazując na szczupłą liczbę jej zwolenników. Stwarza się wręcz czasami wrażenie, że Władysław Studnicki był jedynym jej orędownikiem. To nie była prawda. Chociaż idea porozumienia z Niemcami nie zyskała masowego poparcia, to do

dziś imponować może jakością swojego intelektualnego zaplecza. W połowie lat 30. XX w. Studnicki – jak wspominał Józef Mackiewicz – „nie był bynajmniej w swoich koncepcjach odosobniony, jak to się dziś tchórzliwie udaje. Był wtedy jeszcze wielkim autorytetem, uwielbiany przez zwolenników, poważany przez przeciwników”. „Znałem licznych intelektualistów – dodawał w swoich wspomnieniach Stanisław Swianiewicz – których stosunek do Studnickiego graniczył z uwielbieniem [...]. Niektórzy nazywali siebie uczniami Władysława Studnickiego”.

Na pierwszym miejscu wśród nich trzeba wymienić Stanisława Cata-Mackiewicza. U progu niepodległości, gdy Studnicki – konsekwentny zwolennik opcji niemieckiej mimo załamania cesarstwa Hohenzollernów – pozostawał w rzeczywistej izolacji, Mackiewicz udostępnił mu łamy wileńskiego „Słowa”, choć sam nie podzielał wtedy jego koncepcji. Dopiero rozczarowanie funkcjonowaniem sojuszu z Francją i obawy o jego

rzeczywistą wartość skłoniły „Cata” do poszukiwań nowej doktryny bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. Pod wpływem Studnickiego zaczął dostrzegać zalety potencjalnej współpracy z Berlinem, a przewyższając swego mistrza talentem pisarskim i publicystyczną werwą, na przełomie lat 20. i 30. stał się chorążym idei porozumienia polsko-niemieckiego.

Dobrej koniunktury dla odprężenia relacji z Berlinem Mackiewicz upatrywał w ówczesnej słabości i izolacji Niemiec na arenie międzynarodowej. Przewidywał jednocześnie, że zachodni sąsiad będzie z czasem rósł w siłę i stopniowo zrzucał z siebie wersalskie ograniczenia, a Polska nie jest w stanie nic zrobić, aby ten proces powstrzymać. „Polityka zagraniczna udaje się dobrze dopiero wtedy – pisał – gdy płynie z prądem wydarzeń politycznych”. Lepiej – argumentował – sprzedać Niemcom swoje poparcie dla niektórych ich postulatów, które i tak prędzej czy później zrealizują (np. równouprawnienia w zbrojeniach czy anszlusu), a w zamian uzyskać korzyści

w stosunkach dwustronnych i pomoc Berlina w realizacji polskich interesów wobec Litwy, Czechosłowacji czy ZSRS. Proponował politykę transakcyjną – wymiany konkretnych usług, a nie gestów.

Zdaniem „Cata” współpraca polsko-niemiecka powinna zacząć się od uregulowania wszelkich spraw spornych, które w przyszłości mogłyby stanowić źródło zadrzańień – przede wszystkim statusu Gdańska i tranzytu przez Pomorze. Naciskał, by postawić te sprawy w miarę szybko, gdy Niemcy są stosunkowo słabe, co pozwoli więcej od nich uzyskać (zwracał też jednak uwagę, że kompromisy będą wymagały ustępstw także z polskiej strony). Podkreślał, że antagonizm z Polską nie jest najważniejszym, a już na pewno nie jedynym problemem Rzeszy i Berlin zachowanie dobrych stosunków z Warszawą może zaliczyć do wytycznych swojej polityki.

Mackiewicz liczył na to, że zbliżenie z Niemcami zwiększy znaczenie Polski w Paryżu i będzie wstępem do trójp porozumienia francusko-niemiecko-polskiego. Taki triumwirat byłby, jego zdaniem, zdolny zapewnić pokój w Europie, a swoim członkom także możliwość ekspansji na zewnątrz. Kiedy jednak okazało się, że Francja nie jest zainteresowana takim systemem, „Cat” był już przekonany o autonomicznej wartości sojuszu z Niemcami, szczególnie wobec zagrożenia sowieckiego. Możemy iść z Francją i z Niemcami – pisał w 1936 r. – ale nie z Francją przeciw Niemcom. Przekonanie o porozumieniu Warszawa-Berlin jako fundament skutecznej polityki polskiej zachował do końca II RP, choć po pobycie w Berezie na przełomie marca i kwietnia 1939 r. broił go już tylko w zawołany sposób.

Linia „Słowa”

Proniemieckiej linii „Słowa” ton nadawali „Cat” i Studnicki, ale za nimi poszli inni publicyści dziennika. Ksawery Pruszyński zwracał uwagę, że jeśli chce się odsunąć zagrożenie od Śląska

Tytuły prasowe ostrzegające przed konfrontacją z Niemcami

FOT. ZBIORY AUTORA



i Pomorza, to nie należy stawiać Niemcom na drodze w każdej sprawie, ale przeciwnie – szukać z nimi zgody, kompleksowego uregulowania spraw spornych i pchnąć ich ekspansję (nieuniknioną wobec ich dynamizmu) w innych kierunkach. Jedną z przeszkód upatrywał w nastawieniu psychicznym narodu polskiego. Są w Polsce ludzie – pisał w 1934 r. – dla których „dobre stosunki polsko-niemieckie są równoznaczne z pojęciem jakiegoś zbroczenia”. Jego brat Mieczysław przypominał incydent w Faszodzie z 1898 r. oraz osiągnięte parę lat później porozumienie brytyjsko-francuskie jako dowód na możliwość skutecznego przeprowadzenia koncepcji idącej początkowo wbrew opinii publicznej.

O możliwości trwałego porozumienia Warszawa-Berlin był też przekonany jeden z fundatorów pisma, książę Eustachy Sapieha, który w 1933 r. kwestionował rzekome nieprzejednanie Niemiec wobec

Polski. Już jesienią 1925 r. wysuwał on zresztą postulat antysowieckiego porozumienia z Niemcami, otwierającego przed obu państwami możliwości ekspansji na wschód i zabezpieczającego polską granicę zachodnią.

Poparcia dla politycznej współpracy z III Rzeszą „Słowo” nie łączyło z zachwalaniem jej ustroju. Odraza do ruchu hitlerowskiego – przekonywał np. Adam Romer w 1932 r. – w metodach i polityce wewnętrznej barbarzyńskiego oraz wstrętnego, nie powinna przesłaniać realizmu politycznego ani odwozić od porozumienia z tym państwem, gdy odprężenie leży w interesie Polski. Ubolewał przy tym, że z nienawiści do Niemców (do Rosjan zresztą też) zrobiono w Polsce patriotyczną quasi-religię.

„Słowo” zabiegało o poprawę stosunków polsko-niemieckich nie tylko na poziomie rządów, lecz także społeczeństw. Zwalczało przejawy antyniemieckości w Polsce (tonowało np. konfrontacyjne nastroje przed meczem piłkarskim Polska-Niemcy), chętnie informowało o wszelkich pozytywnych inicjatywach (np. udziale młodych Niemców w obozach z polskimi rówieśnikami). Ubolewało, że Polacy nie są

informowani, poza odosobnioną działalnością Kazimierza Smogorzewskiego, o propolskiej kampanii kulturalnej, którą po odprężeniu stosunków politycznych w 1934 r. zainicjowano w Niemczech.

„Słowo” pozostało sztandarowym pismem „germanofilów”, ale w połowie lat 30. przybył mu ważny sojusznik: redagowany przez Jerzego Giedroycia „Bunt Młodych” (w 1937 r. przemianowany na „Politykę”). Stało się to dzięki uczniowi tak Studnickiego, jak Mackiewicz, Adolfowi Bocheńskiemu, odpowiedzialnemu za ukształtowanie doktryny polityki zagranicznej środowiska „Buntu...”, do którego należeli m.in. tacy politycy i publicyści jak Piotr Dunin-Borkowski, Kazimierz Studentowicz oraz Stanisław Stomma.

Czerpiąc od obu starszych kolegów, Adolf Bocheński uzupełnił ideę porozumienia polsko-niemieckiego o bodaj



Adolf Bocheński (z lewej) i Stanisław Cat-Mackiewicz oraz mapa z książki „Między Niemcami a Rosją” FOT. NAC, ZBIORY AUTORA



■ najważniejsze, strategiczne jej założenia. Podnosił przede wszystkim, że pierwszym przykazaniem polskiej polityki zagranicznej powinno być zapobieżenie koalicji Berlina i Moskwy, a to najlepiej osiągnąć właśnie przez zbliżenie z Niemcami, które pod władzą Adolfa Hitlera odeszły od pomysłów okrojenia Rzeczypospolitej do spółki z ZSRS. Bocheński ostrzegał, że zbliżenie Polski do bloku antyniemieckiego grozi powrotem Niemiec do linii Rapalla, a żadne różnice ideologiczne nie przeszkadzają sojuszowi III Rzeszy z Sowietami, jeśli oba państwa uznają go za korzystny z punktu widzenia racji stanu.

Co więcej, Bocheński dostrzegał w antysowieckich planach Hitlera szansę na trwałe odsunięcie widma nowego rozbioru. Rozbicie ZSRS poprawi pozycję geostrategiczną Rzeczypospolitej w dwójnasób. Po pierwsze, pozbawi Niemcy partnera do nowych koalicji antypolskich; po drugie, podniesie znaczenie Warszawy w oczach mocarstw Zachodu, które wszystkie nadzieje na drugi front w ewentualnym konflikcie z Rzeszą będą musiały położyć w Polsce. Dopóki ZSRS nie zostanie pozbawiony statusu mocarstwa – przestrzegał Bocheński – nad Polską będzie wisiała groźba, że Zachód poświęci ją na ołtarzu sojuszu z Moskwą.

Argumentację Bocheńskiego uzupełniano w „Słowie”. Zwracano uwagę, że Polska, położona między Niemcami i Rosją, nie stanowi atrakcyjnego partnera dla państw słabych bądź odległych, musi więc dążyć do zmiany sił w regionie. Utrzymywanie status quo to za mało, bo w chwili odwrócenia koniunktury Polska się nie obroni. Wybór między Berlinem a Moskwą uważano za nieunikniony, a wszystko przemawiało za tym, by postawić na Niemcy.

Adolf Bocheński czasami stwierdzał, by przynajmniej nie przeszkadzać Niemcom w rozprawie z ZSRS. Jego brat Aleksander natomiast nie owijał w bawełnę. „Czy większe szanse zwycięstwa są – pytał retorycznie – jeśli będziemy walczyć z Niemcami, czy Rosją, oraz czy większe szanse zwycięstwa w walce z Rosją będą, jeśli pozwolimy na zebranie sił i wybór dogodnego momentu Rosji,

czy też jeśli moment starcia wybierzemy sami?”. „Czy pozycja »buforu koleczastego« między Niemcami a Rosją nie spowoduje prędzej lub później nowego Rapalla i nieuchronnej koalicji przeciw nam? Czy nie lepiej skorzystać z tak rzadkich w historii chwil walki niemiecko-rosyjskiej, by definitywnie, raz na zawsze pozbyć się jednego z groźnych sąsiadów, tak jak Włochy pozbyły się Austrii?”.

Książka Bocheńskiego

Kulminacyjnym punktem zabiegów o porozumienie polsko-niemieckie była publikacja książki „Między Niemcami a Rosją” Adolfa Bocheńskiego w 1937 r. Jej założenia poparł m.in. Stanisław Swianiewicz. Studnicki miał prawo sądzić, że jego wieloletnia praca przyniosła efekty, a jego idea jest o krok od realizacji. Jak się jednak wkrótce okazało, argumenty „germanofilów” nie trafiały do rządzących II RP, których wyobrażenie o miejscu Polski w systemie międzynarodowym było odległe od tego postulowanego przez Studnickiego i jego uczniów.

„Studnicki przegrał. Zgoda – podsumowywał po latach Józef Mackiewicz. – Ale jego polityczni adwersarze też

przegrali. Stawką była przegrana Polska”.

Ani wojna, ani śmierć jednych i drugich nie zakończyły tego starcia. Dorobek „germanofilów” wciąż może być konfrontowany z teoretycznymi założeniami polityki Becka i z tej konfrontacji ci pierwsi mogą wychodzić

z podniesionym czołem.

Co pozostało po ich adwersarzach? Frazesy o honorze, rejtanowskie gesty, jakimi nieraz maskowano w naszej historii brak politycznej wyobraźni i brak politycznej odpowiedzialności. Deklamacje o „walce aż do zwycięstwa”, którą potem toczono kosztem cywili i dzieci. Przestroga, jak polityki robić nie należy.

„Germanofile” pozostawili natomiast dorobek imponujący.

O jego wartości decyduje m.in. jego wielowymiarowość. Fakt, że

złożyli się na niego ludzie wybitni, różniący się jednak wykształceniem, doświadczeniami, wyobraźnią i wrażliwością intelektualną, co sprawia, że ich dokonania nawzajem się uzupełniały, składając się na znakomicie uargumentowaną koncepcję polityczną. Studnicki dał jej fundamenty ekonomiczne, Bocheński założenia strategiczne, Mackiewicz celował w wytycznych taktycznych. „Germanofile” dostrzegli niebezpieczeństwa wynikające z antyniemieckości opinii publicznej i niezłatwienia spraw spornych z Niemcami i starali się, w miarę swoich możliwości, im przeciwdziałać. W „Słowie” i „Buncie Młodych” trafniej niż gdzie indziej oceniono potencjał państwa, sojuszniczą wartość mocarstw Zachodu i niebezpieczeństwo sowieckie, wskazano ścieżki prowadzące do paktu Ribbentrop-Mołotow i Jałty.

„Germanofile” nie ustrzegli się błędów. Czasami wchodzili ze sobą w spory, czy sprzeniewierzali się sformułowanym przez siebie samych regułom politycznym. To w tych ostatnich tkwi jednak zasadnicza wartość ich dorobku i to dzięki nim przetrwał on próbę czasu. Ich myśli są przypominane, dyskutowane, dostarczają inspiracji, uderzają czasami swą aktualnością. Potrafili uchwycić to, co w polityce uniwersalne, potrafili diagnozować też niektóre z typowo polskich przywar. Są i pozostaną szkołą politycznego myślenia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Już 21 września w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

Jadwiga i Józef Beckowie,
1934 r. FOT. NAC

Kobięce spojrzenie / Druga połowa szefa dyplomacji II RP

Pierwsza dama Europy



Anna Herbich

/ Była piękna, pewna siebie i inteligentna. Jadwiga Beck brylowała na dyplomatycznych salonach

Elegancki mercedes kabriolet z prywatnym kierowcą, królewski apartament usłany kwiatami oraz kalendarz wypełniony zaproszeniami na wystawne kolacje. W taki sposób w 1935 r. Jadwigę Beck w górskim uzdrowisku Bad Reichenhall przyjął... kanclerz Adolf Hitler.

Na nic zdały się protesty i nalegania pięknej Polki, że przecież przyjechała do Niemiec z córką prywatnie, w celach kuracyjnych. Cały ten blizn i zainteresowanie zupełnie jej się nie należały i ją krępują. Hitler pozostał nieugięty. Był to szczyt odprężenia między Warszawą a Berlinem i żona szefa polskiej dyplomacji miała być goszczona jak królowa.

Rozpoczął się więc korowód wizyt w willach Führera, Göringa i innych dygnitarzy III Rzeszy. W domu Göringa Jadwiga Beck, ku swojemu zdumieniu, została przywitana przez prawdziwe małe lwiątka. Gospodarze zorganizowali dla niej górskie przejażdżki i obsypali ją prezentami. Podarowali jej nawet wspomnianego mercedesa!

I tyle wyszło z prywatnej kuracji w Bad Reichenhall. Pani Beck wkrótce miała dość i postanowiła... uciec nadopiekuńczemu Hitlerowi! Pozostawał tylko jeden problem: Jak wyrwać się spod kurateli kierowcy mercedesa, który nie pozwalał jej samej poruszać się po okolicy? Tutaj konieczny był fortel.

Jadwiga Beck poprosiła, żeby kierowca zatrzymał się przy dworcu kolejowym

w Monachium. Prosto z peronu wskoczyła – wraz z córką – do pociągu. Kiedy kierowca zobaczył, że panie odjeżdżają, osłupiał. Pociąg dojechał do Pragi, gdzie przy pomocy ambasadora w Czechosłowacji pani Beck pojechała do domu, do Warszawy.

„Zaliłam się i złościłam, że często nie jest mi łatwo ani przyjemnie być Ekscelencją – pisała w swoich pamiętnikach. – W raporcie kierowcy wyszłam pewnie na osobę o podejrzanym stanie umysłu. Trudno. Nie przekroczyłam jednak zakazu męża ani polskiej granicy, w naprawdę ślicznym mercedesie”.

Była to tylko jedna z wielu niesamowitych przygód żony Józefa Becka na dyplomatycznych salonach Europy.

Ślub pod palmą

Przyszła „pani ministrowa” przyszła na świat w Lublinie w 1896 r. jako Jadwiga Salkowska, córka renomowanego prawnika Wacława Salkowskiego. Przed pierwszą wojną światową skończyła prywatne warszawskie gimnazjum, skąd wyniosła umiejętność posługiwania się



trzema językami: francuskim, włoskim i niemieckim, co bardzo przydało jej się w późniejszych latach.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Józefa Becka, od razu wiedziała, że to miłość jej życia. Był jednak pewien problem, a właściwie dwa. Ona miała męża, a on miał żonę. Jadwiga była żoną gen. Stanisława Burhardt-Bukackiego. Józef był w związku małżeńskim z Marią z domu Słomińską.

Kto by się jednak przejmował takimi drobnostkami! Ponieważ w II RP nie istniała możliwość cywilnego rozwodu, aby móc zmienić małżonka, trzeba było zmienić wyznanie. Jadwiga i Józef postanowili przejść na protestantyzm i w 1927 r. wzięli słynny „ślub pod palmą” w Wilnie. Tak pisał o tej praktyce Michał K. Pawlikowski:

„Nawrócenie na kalwinizm, rozwód i ślub w pięknej klasycystycznej świątyni na Zawalnej, na której widniał napis »Dajcie cześć Panu«, odbywały się szybko, sprawnie i bezboleśnie. Spisanie protokołu ślubnego odbywało się w biurze superintendenta zboru kalwińskiego pod wielką palmą w wazonie”.

Przykład rozwodów szedł z góry. Nie było dnia, aby oko rdzennego wilnianina nie zauważyło w sali „Żorża” jakiejś nowej obcej twarzy: samotnego mężczyzny lub samotnej, zazwyczaj przystojnej kobiety przy jednym ze stolików. Od razu wiadomo było, że to przyjezdni, którzy zjechali do Wilna, aby brać ślub „pod palmą”. Niemal wszyscy dygnitarze pomajowi lub kandydaci na takich dygnitarzy byli rozwodnikami.

Jeden z pierwszych zjawił się Józef Beck, wtedy jeszcze pułkownik. Jednocześnie przyjechał generał Burhardt-Bukacki z żoną, z którą się rozwodził, aby ją oddać Beckowi. Po zakończeniu rozwodu i po ślubie całe towarzystwo w najlepszej komitywie poszło do „Żorża” na obiad.”

Oboje mieli dzieci z poprzednich związków. Córka Jadwigi, Joanna, piśmiotliwie zwana Bubą, zamieszkała razem z matką i ojczymem w Warszawie. Syn Józefa Becka z pierwszego małżeństwa pozostał przy matce. Wszyscy żyli w dobrej komitywie, dzisiaj złośliwi stwierdziliby pewnie, że tworzą „rodzinę stwardkowską”.

„Uroczą jasnowłosa żona ministra miała manię mówienia, zawsze na stojąco, o swoich psach, a następnie o dwóch kolejnych mężach – wspominała Luciana

Frassati-Gawrońska, która często bywała u Beckowej na tak zwanych fajfach. – Czyniła to w taki sposób, że nieszczerzy słuchacz często już po kilku minutach czuł się zagubiony, nie potrafiąc odróżnić, która część wypowiedzi odnosi się do psów, która zaś dotyczy mężów”.

Na salonach

Jadwiga Beck posiadała wszystkie przymioty, które powinny cechować idealną żonę ministra spraw zagranicznych. Była piękna, inteligentna, ambitna, rezolutna. Potrafiła odnaleźć się w każdej sytuacji, nie dawała się łatwo zbić z tropu. Świetnie tańczyła i posługiwała się biegle kilkoma językami. Miała jednak również zdolność do wpadania w niebywałe tarapaty.

Pewnego razu angielski premier Baldwin wydał w słynnym Guildhall bankiet, na który zaproszono Józefa Becka wraz z małżonką. Przy wykwinie zastawionym stole między Beckami siedział ambasador Edward Raczyński. Lokaje uwijali się wokół setek gości, w jednym ręku trzymając półmiski z mięsem, a w drugim sosjerki z gęstym pomidorem w sosie.

„Poczułam coś lepkiego lejącego mi się obficie w dekolt na plecach, od szyi poczynając – wspominała Jadwiga Beck. – Zachowując zimną krew i mokre plecy, poprosiłam ambasadora, aby wytarł mnie prędko serwetką. Skromny Raczyński delikatnie i dyskretnie dotykał – jak tamponem – szyi. Błagałam, aby tarł porządnie i koniecznie wsunął rękę z serwetką za dekolt, bo suknię miałam zupełnie przemoczoną, a sosu było na kilkanaście osób. Mąż widział – nieprzewidziane w żadnym protokole – manipulacje ambasadora, pewnie się zdziwił, ale o nic nie pytał. Raczyński działał w moim dekolcie na plecach, a ja – nie znając jeszcze angielskiej natury – byłam zażenowana. Anglików – naturalnie – nic

to nie obchodziło i nie zwracali na nas uwagi. Ktoś wtedy przemawiał – słuchali, solili, pieprzyli i jedli dalej. Sos przylepił się jednak do mnie, suknia do sosu, ale że miała kolor mosiężnordzawy, więc tylko wykończenia z „vieux rose” weluru zmieniły barwę. Nie powiem, że ta przygoda ułatwiła mi zwiedzanie Guildhallu po bankiecie. Staralam się chodzić pod ścianami, bokiem jak rzeźba egipska i niezwykle chętnie siadałam”.

Inna anegdota. Rok 1936, pani Beckowa przebywa z wizytą w Rzymie. Mimo że przyjechała tam prywatnie, nie obyło się bez kilku oficjalnych spotkań. Na przykład prywatnego czteroosobowego śniadania z ambasadorstwem Skrzyńskiemi w Watykanie. W charakterze czwartej osoby – hiszpański król Alfons XIII.

„Nawet z mymi protokółarnymi buntami i usterkami wiedziałam, że odmówić nie mogę – pisała Jadwiga Beck. – Może kto inny szalałby z radości. Ja, owszem, nic mi przecież nie szkodziło poznać jeszcze jednego króla. Tylko że byłam na krótkim urlopie, a rzecz dziać się będzie w urzędowych salonach. Król – a więc pewnie dużo chodzenia jak rak. Zachwyciła się nim co prawda moja matka, ale na fotografii i dawno temu. A mogły być »spaghetti« na tarasie...”

Poranek z królem, mimo obaw pani ministrowej, okazał się bardzo udany i przyjemniejszy niż makaron jedzony w samotności. Pani Beck oczywiście oczarowała monarchę. Traf chciał, że kilka dni później miała umówioną wizytę u fryzjera Alfonso, u którego czesała się za każdym razem, kiedy była w Watykanie. Nagle w jej pokoju hotelowym zadzwonił telefon.

„– Kto tam? – relacjonuje pani Beck w swoich pamiętnikach.

– Alfonso.

Mówię z radością, że świetnie się stało, że dzwoni, bo właśnie chciałam zmienić swoje „appuntamento” na jutro. I słyszę, że przecież nie mieliśmy żadnego „appuntamento” na dzisiaj, że właśnie dzwoni... Przerwywam, robię grzeczną wymówkę, że mógł zanotować... Druga strona drutu z trudem dochodzi do głosu, że to chyba jakieś nieporozumienie, bo tu mówi Alfonso. Właśnie Alfonso! Nie ma pomyłki, jutro przyjdę się czesać. Cisz.

– A jednak jest nieporozumienie, bo tu mówi Alfons XIII.

Jęknęłam... Natychmiast formuję przeproszenia i zwracam się z lekkim

■ wyrzutem do Majestatu, dlaczego nie dodał od razu numeru do imienia. Powiedziałam... Pomyślałam, a potem zdrętwiałam. Trzymam brzęczącą, sykającą, bulgoczącą słuchawkę. Słów nie rozumiem, bo król tak się śmieje! Rozmawialiśmy długo. Właśnie dzwonił, aby zaprosić mnie na śniadanie. Tłumaczyłam – szczerze skruszona – że pierwszy raz w życiu telefonował do mnie król, czego się nie spodziewałam i w dodatku to imię... Usłyszałam, że od bardzo dawna nie śmiał się tak jak teraz”.

Jadwiga Beck potrafiła wyjść obronną ręką z każdych tarapatów i każdą gafę przekuć na sukces. Słynęła ze znakomitej kuchni. Hermann Göring z apetytem jadł u niej indyka z borówkami, hrabia Galeazzo Ciano z małżonką Eddą, prywatnie córką Mussoliniego, często gościli na jej przyjęciach. I oczywiście świetnie się bawili.

Szara eminencja

Jadwiga Beck nie tylko świetnie wywiązywała się z salonowych obowiązków żony ministra spraw zagranicznych, lecz także była jego podporą w sprawach służbowych. Nazywana pieszczołtliwie „Dziubą”, uznawana była za szarą eminencję MSZ. Miała dużo do powiedzenia w sprawach kadrowych, mąż chętnie słuchał jej rad.

„Po objęciu przez Becka stanowiska jego żona poświęciła się z zapałem nie tylko ofiarnej opiece nad mężem, ale również roli żony szefa Ministerstwa Spraw Zagranicznych – wspominał po latach dyplomata Stanisław Schimitzek. – Umiała ułatwiać mężowi kontakty, uświetniać reprezentacyjne przyjęcia, zwłaszcza gdy stworzono dla nich odpowiednią oprawę w odbudowanym Pałacu Bruhlowskim”.

Warszawski pałac Brühla stał się w drugiej połowie lat 30. nową siedzibą Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a także nowym domem państwa Becków. Ich wspaniałe mieszkanie zaślęnęło z wielu olśniewających rautów, między innymi jednego, wydanego na cześć młodego księcia Mikołaja rumuńskiego. Pani



Józef Beck wyjeżdża na sesję Ligii Narodów. Pożegnanie z żoną na dworcu w Warszawie, 1937 r. FOT. NAC

domu, chcąc mieć wszystko dopięte na ostatni guzik, postanowiła urządzić próbę generalną. W roli księcia wystąpił pekińczyk Tajfun. Inne ważne miejsce przy stole zajął cocker-spaniel Ralf. W próbie uczestniczyli również córka Jadwigi i jej francuska nauczycielka. Ta ostatnia odgrywała rolę Becka.

„Na półmiskach herbatniki. Podają na komendę – wspominała Jadwiga Beck. – Wypróbowany lokaj balansuje półmiskiem i wysypuje herbatniki na stół. Jeszcze raz – znów to samo. Ralf nie wytrzymuje nerwowo próby, podbija pyszczkiem półmisek i chwyta najbliższy herbatnik. Śmiejemy się wszyscy. Któryś z domowych służących pogłaskał pekińczyka. Wymieniam sąsiada i biorę Tajfuna. Temu znowu zachciało się pić. Widząc płyn nalewany z butelki, wskakuje na stół, wytrąca ją służącemu z ręki i ze smakiem chłepcze wylaną na talerz wodę”.

Po przyjęciu dla ks. Mikołaja służba orzekła zgodnie, że był to dla nich najcięższy obiad w życiu, bo przypomnieli im się psy i bali się, że podając, zaczną się śmiać.

Wrzesień 1939 r. brutalnie przeciął ciąg szczęśliwych lat Jadwigi Beck. Pani „Dziuba” wraz z mężem opuściła Warszawę. 17 września w Kutach, podczas ostatniej kolacji na polskiej ziemi, Beckowie siedzieli przy stole z prezydentem Ignacym Mościckim. Wszyscy byli przynębieni wiadomością o wkroczeniu bolszewików. Panującą przy stole ciszę przerwała Jadwiga Beck. Jak zwykle bezpośrednia i bezkompromisowa. „Właściwie tośmy zmarnowali w tej chwili całe dziedzictwo Marszałka Piłsudskiego” – powiedziała.

Po przekroczeniu granicy z Rumunią państwo Beckowie zostali skierowani do Słanic-Moldova, małego kurortu wypoczynkowego. Następnego dnia minister

miał jechać do Bukaresztu, a stamtąd dalej, aż do Francji.

„Gdy jednak nadeszła godzina wyjazdu – wspominał po latach sekretarz Józefa Becka, Paweł Starzeński – urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych Dimitrescu oświadczył, że zaszła widocznie jakaś omyłka, gdyż nie ma zezwolenia

na wyjazd ministra, natomiast jest dla pani Beckowej. Wielka konsternacja i choć nikt nie użył słowa »internowanie«, to stan faktyczny był właśnie taki”.

Jadwiga sama oczywiście nie pojechała. Została u boku męża. Próbowwała poruszyć niebo i ziemię, żeby umożliwić mu wyjazd z Rumunii. Niestety, nadaremnie. Internowanie trwało długie pięć lat. Chory na gruźlicę minister spraw zagranicznych zmarł w czerwcu 1944 r. Zapomniany, rozgoryczony, konał w glińskiej chatce w pobliżu Bukaresztu.

„On nie umierał, on gasł” – pisała później na emigracji Jadwiga. Na skromnym pogrzebie, w obstawie rumuńskich szpicli i żandarmów, stawiała się zaledwie grupka najbliższych przyjaciół, Jadwiga włożyła do trumny męża wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, ampułkę ziemi z Gdyni i małą flagę Polski. Na sercu ministra położyła fotografie syna i Józefa Piłsudskiego.

Po śmierci Becka wraz z córką przeniosła się najpierw do Turcji, a potem do Egiptu. Od tamtej pory nie rozstawała się z córką ani jej mężem, z którymi najpierw zamieszkała w Rzymie, by po 10 latach przenieść się do Londynu. Jadwiga zaczęła tam chorować na serce. Aby się utrzymać, podjęła pracę w małym hoteliku jako... sprzątaczką.

Jeszcze przed śmiercią zdążyła opracować pamiętniki męża i spisać własne wspomnienia. Zmarła w 1974 r...

Jadwiga Beck, choć umierała w zapomnieniu w dalekim, zimnym Londynie, w latach 30. była niekwestionowaną pierwszą damą europejskiej dyplomacji. Oczarowani nią byli czołowi mężowie stanu, potężni dyktatorzy, koronowane głowy. Bez wątplenia jest jedna rzecz, z którą zgodzą się i krytycy, i zwolennicy polityki Becka. Żona ostatniemu ministrowi spraw zagranicznych II RP bardzo się udała.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



eprasa.pl 432fb60cd5

Militaria

/ Czy można było wygrać z III Rzeszą?

Pancernik „Schleswig-Holstein” ostrzeliwuje Westerplatte

FOT. WWDOMENA PUBLICZNA

Kłeska nie tylko z własnej winy



Maciej Rosalak

/ Na przegranej kampanii wrześniowej zaważyli: francuski pacyfizm, politycy czeszy głupszy od własnych generalów, strategiczne błędy polskiego dowództwa i dysproporcja w uzbrojeniu

Czy mogliśmy wygrać kampanię wrześniową rozpoczętą 1 września 1939 r. napaścią Niemiec? Przy takiej dysproporcji sił Wehrmachtu i Wojska Polskiego, opuszczonego w samotnej walce, nie było to możliwe. Czy jednak Polska w ogóle miała szansę pokonać III Rzeszę? Otóż duże szanse miała, tyle że nie zostały one wykorzystane przed wrześniem 1939 r. We Wrześniu '39 natomiast bić się mogliśmy dłużej, a strategiczna klęska już po upływie połowy miesiąca w sporej mierze była zawiniona przez nasze dowództwo. W jeszcze większej mierze zawiedli jednak nasi sojusznicy...

W ciągu wielu lat obowiązywania w PRL sowieckiej propagandy wpajano społeczeństwu przekonanie, że cała polityka II RP oraz płynąca z niej doktryna wojskowa absolutnie nie dostrzegały zagrożenia ze strony Niemiec. A już po objęciu władzy przez Hitlera zwłaszcza. Przeczą temu fakty.

Przeciąć wrzód!

12 lutego 1933 r. ukazał się wywiad nowo wybranego kanclerza Niemiec Adolfa Hitlera dla „Sunday Times”, w którym oświadczył, że korytarz pomorski musi być zwrócony Niemcom, a cztery dni później Senat Wolnego Miasta Gdańska

zastąpił policję portową policją podległą miastu. 6 marca marszałek Józef Piłsudski nakazał wzmocnić załogę Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte 120 żołnierzami! Zbrojna demonstracja polska przyniosła natychmiastowy skutek – 14 marca Senat cofnął swoją decyzję. Wydarzenie to utwierdziło Marszałka w przekonaniu, że Hitler działa jak zwykły chuligan, który staje się bezczelny, jeśli nie dostanie przy pierwszej agresji „w dziób”. Poza tym Führer nigdy nie krył się z chęcią podważenia porządku wersalskiego, zbrojeń i rewindykacji granic. Piłsudski uznał, że im szybciej przetnie się ten rosnący wrzód, tym lepiej.

Sposobem obalenia Hitlera i wzięcia pod kontrolę niemieckiego potencjału zbrojeniowego miała być wojna prewencyjna przeprowadzona wraz z Francją, z którą od 1921 r. łączył nas sojusz wojskowy. Francuskie poglądy w tym względzie sondował kilkakrotnie. Najpierw Jerzy Potocki rozmawiał z szefem dyplomacji francuskiej Josephem Paulem-Boncourem. Następnie Bolesław Wieniawa-Długoszowski też usyszał, że Francuzi do wojny się nie palą. Marszałek odebrał natomiast 18 kwietnia 1933 r.

w Wilnie (blisko Prus Wschodnich) wielką defiladę wojskową, w której wzięło udział więcej wojska, niż liczyły wówczas na wschodzie niemieckie siły zbrojne. Jednocześnie powstańcy śląscy urządzili paradę u siebie.

Posel niemiecki w Warszawie Hans Adolf Moltke 29 kwietnia raportował do swego MSZ o niebezpieczeństwie wojny prewencyjnej. Wywarło to takie wrażenie na Hitlerze, że publicznie wydał komunikat o pragnieniu utrzymania stosunków z Polską ściśle w ramach obowiązujących traktatów.

Oczywiście, Marszałek w traktaty nie wierzył, toteż w październiku w Paryżu przebywał Ludwik Hieronim Morstin, zaprzyjaźniony od czasów wojny 1920 r. z gen. Maxime'em Weygandem. Był to moment przełomowy. Akurat Niemcy opuściły konferencję rozbrojeniową i zapowiedziały wycofanie się z Ligi Narodów, ale nawet to nie pomogło. Na pytania Piłsudskiego o to, czy – w razie zaatakowania Niemiec przez Polskę – Francja ogłosi powszechną mobilizację i czy ustawi swe wojska nad niemiecką granicą, rada ministrów, która dwukrotnie obradowała z udziałem prezydenta Alfreda Lebruna, udzieliła znów niejednoznacznych odpowiedzi zamiast jasnego przekazu: tak lub nie.

Wyrażnie nasz sojusznik nie chciał brać udziału w wojnie prewencyjnej przeciw hitlerowskiej III Rzeszy, choć czas był jeszcze stosowny. Wojsko Polskie składało się wtedy z 30 dywizji piechoty i 40 pułków kawalerii tworzących od 12 do 15 brygad. Armia francuska mogła wystawić siły dwu-, trzykrotnie większe. Natomiast Reichswehra (od marca 1935 r. – Wehrmacht) liczyła siedem dywizji piechoty i 15 pułków kawalerii. W 1935 r. liczba dywizji piechoty wzrosła do 36, a w końcu następnego roku możliwości mobilizacyjne Wehrmachtu zwiększyły się przynajmniej trzykrotnie! Na szybką wojnę prewencyjną było już za późno...

Jeszcze przed podpisaniem z Niemcami deklaracji o niestosowaniu przemocy (26 stycznia 1934 r.) Piłsudski wrócił do kontaktów z Paryżem poprzez szefa Oddziału II Sztabu Generalnego i francu-

skiego attaché wojskowego w Warszawie. Wstrzymywał podpisanie układu z Niemcami dopóty, dopóki miał cień nadziei na wspólne wystąpienie z Francją...

O ile ów wielki plan Piłsudskiego znany był przynajmniej historykom, o tyle o możliwościach sojuszu z Czechami przeciw Niemcom napisał dopiero na początku tej dekady śp. prof. Marek K. Kamiński. W „Szkiecach z dziejów Polski i Czechosłowacji lat trzydziestych” zwłaszcza dwa rozdziały zmuszają do nowego spojrzenia na sytuację Polski w przededniu drugiej wojny światowej.

W pierwszym omawia wojenne plany Hitlera w oparciu o tzw. protokół płk. Friedricha Hossbacha, po raz pierwszy przetłumaczony w całości na język polski przez Grażynę Walugę. Otóż adiutant Hitlera z ramienia Wehrmachtu sporządził zapis tajnego spotkania wodza III Rzeszy z najwyższymi przedstawicielami niemieckiego wojska oraz

traktował Polskę nie jako wroga, ale jako państwo, które należało zwasalizować i wprząc w rydwan niemieckiej maszyny wojennej”. Dalej Kamiński uzupełnia wniosek z narady faktami potwierdzającymi takie jego nastawienie aż do końca 1938 r.

Czy z kolei istniała możliwość sojuszu z Czechosłowacją? Za naszą południową granicą istniała naprawdę liczna (po mobilizacji 45 dywizji!) i świetnie uzbrojona w czołgi, samoloty i działą armia, z którą mogliśmy błyskawicznie zająć cały Dolny Śląsk cztery lata przed konferencją w Monachium. Jednak – o czym do tej pory właściwie nic nie wiedzieliśmy – dowództwo tej armii pragnęło takiego sojuszu z Polską! Kamiński przytacza rewelacyjne dokumenty, takie jak memoriał gen. Silvestra Bláhy do ówczesnego prezydenta Republiki Czechosłowackiej Tomasza Masaryka, zalecający już w 1934 r. ścisłą współpracę wojskową z Polską. Poruszająca jest rozpacz najwyższych dowódców czechosłowackiej armii we wrześniu 1938 r., którzy uważali, że „możemy bić się tylko w sojuszu z Polską” (gen. Ludwik Krejčí, szef sztabu głównego).

Nie usłuchali ich czescy politycy, najpierw z Masarykiem, a następnie Benešem jako prezydentem na czele. Jak pisze Kamiński: „Benesz popełnił dwa podstawowe błędy, które dyskwalifikowały go jako poważnego polityka, za którego pragnął uchodzić. Po pierwsze, zignorował rady czechosłowackich wojskowych, poważnie traktujących niebezpieczeństwo grożące ze strony Niemiec Hitlera. Po drugie, nie dopuścił do sojuszu z Polską”.

Osamotnienie

Niechętny sanacji płk Marian Porwit („Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku”) analizował wytyczne polskiego dowództwa, które w marcu 1939 r. nakazywało stawić natychmiast i zdecydowanie opór zbrojnej bezpośredniej lub pośredniej agresji Niemiec, co miało doprowadzić do automatycznego, czynnego wystąpienia państw zachodnich po naszej stronie. Trafnie zauważa, że dowództwo nie brało pod uwagę ani takiego wariantu, że armie



Hełm Wojska Polskiego wz. 31 używany podczas kampanii wrześniowej. Seryjną produkcję uruchomiono w kieleckiej Hucie „Ludwików” (blachy z Huty „Baildon” w Katowicach) FOT. QWE.WIKI

rządu. Jak się okazuje, w końcu 1937 r. „Hitler nie brał pod uwagę zainicjowania zawieruchy wojennej od ataku na Polskę. Takiej perspektywy zdawał się nie przewidywać. Uderzenie niemieckie miało iść na Czechosłowację i Austrię, a następnie na Francję. Wódz Trzeciej Rzeszy



Polska armatka przeciwpancerna 37 mm wz. 36 produkowana na licencji Boforsa FOT. ARCHIWUM

■ aliantów pozostaną w defensywie, ani takiego, że choć zaatakują, to bez efektu odciągnięcia sił niemieckich z frontu wschodniego. Możliwość pozostania przez Francuzów i Brytyjczyków z założonymi rękami ocenia: „Tak obca była polskiej psychice ta hipoteza, że można usprawiedliwić wszystkich, łącznie z generalnym inspektorem sił zbrojnych, że sobie takiej ewentualności nie wyobrażali”. A może jednak powinni?

Natomiast alianckie usłowania zapobieżenia wojnie, prowadzone „za pięć dwunasta”, miały opłakane skutki dla zmobilizowania i dostarczenia na pozycje przynajmniej czwartej części naszych wojsk, które miały się tam znaleźć. Tak pisał o tym gen. Władysław Anders („Bez ostatniego rozdziału”): „Mobilizację ogólną, przygotowaną na 29 sierpnia, raptem odwołano. Trzeba zrozumieć: dosłownie na trzy dni przed rozpoczęciem wojny. Dziś wiemy, że stało się to wskutek demarche ambasadorów: brytyjskiego – Kennarda i francuskiego – Noela. Świat nie chciał wierzyć w wojnę. Polskę kosztowało to wiele, gdyż co najmniej o kilka tygodni przyspieszyło naszą klęskę”.

Ani rząd brytyjski, który w marcu udzielił gwarancji Polsce, a 25 sierpnia zawarł z nią sojusz, ani sojusznik francuski, który przyrzekał rozpoczęcie ofensywy przeciw Niemcom najpóźniej w połowie września, nie zamierzali wywiązać się z militarnych zobowiązań. Ich nieolojalność potęgowało to – o czym dowiedzieliśmy się stosunkowo niedawno – że znali treść tajnego protokołu do zawartego 23 sierpnia układu Ribbentrop-Mołotow, a nie poinformowali o tym Polaków. Czyli lękali się, że Polacy ustąpią wobec Hitlera w ostatniej chwili, co ich samych narazi na

prorowadzenie prawdziwej wojny. Jeszcze 12 września na tajnym (przed Polakami) spotkaniu w Abbeville premierzy Francji i Wielkiej Brytanii solennie zapewnili siebie nawzajem, że nie podejmą większych działań zbrojnych na froncie. Akurat wtedy trwało polskie kontruderzenie nad Bzurą, a Sowieci nie uderzyli jeszcze ze wschodu i nie wiadomo, czy na wiadomość o wielkiej ofensywie aliantów w ogóle odważyliby się uderzyć...

Szef brytyjskiego imperialnego sztabu generalnego gen. Edmund Ironside komentował latem 1939 r. w swym dzienniku: „Francuzi okłamują Polaków, mówiąc, że zamierzają przystąpić do ataku. Taka koncepcja w ogóle nie istnieje”. Toteż francuska ofensywa w Saarze przeprowadzona w końcu pierwszej dekady września została wstrzymana, gdy tylko wojska francuskie po przebyciu kilku kilometrów doszły do Linii Zygryda.

Szef francuskiej misji wojskowej w Polsce gen. Louis Faury – po rozmowie, którą 22 sierpnia przeprowadził z szefem sztabu generalnego, a od września 1939 głównodowodzącym wojsk we Francji Maurice'em Gamelinem – wspominał: „Poruszam następnie kwestię, która nie dawała mi spokoju... Jeśli Polska stanie się przedmiotem agresji, to jedynie ofensywa wojsk francuskich będzie w stanie zmusić Niemców do zelżenia ich duszącego uścisku. W jakim terminie rozpocznie się ta ofensywa? Milczenie. Następnie [uczestniczący w rozmowie] gen. Georges daje do zrozumienia, że armia francuska nie jest zdolna do podjęcia ofensywy i że nie ma możliwości określenia terminu, w którym będzie ona gotowa do działania na wielką skalę [...]. Gdy nie mogę ukryć mego rozczarowania, gen. Gamelin

dorzuca po prostu tych kilka słów: »Trzeba, aby Polska trwała«”.

No i trwała dopóty, dopóki armia zdolna była walczyć. Czy to tylko jej wina, że nie mogła dwóch miesięcy, jak przewidywano? A ile wytrzymała Francja w 1940 r.?

Wreszcie szef sztabu OKH (Wehrmacht), gen. Alfred Jodl, na procesie norymberskim stwierdził: „Do roku 1939 byliśmy oczywiście w stanie sami rozbić Polskę. Ale nigdy – ani w roku 1938, ani w 1939 – nie zdołalibyśmy naprawdę sprostać skoncentrowanemu wspólnemu atakowi tych państw [Wielkiej Brytanii, Francji, Polski]. I jeśli nie doznaliśmy klęski już w roku 1939, należy to przypisać jedynie faktowi, że podczas kampanii polskiej około 110 dywizji francuskich i brytyjskich pozostało kompletnie biernych wobec 23 dywizji niemieckich”.

Tylko te 23 dywizje były pierwszoliniowe. Pozostałe dotarły na front w drugiej połowie września, przy czym osiem było drugorzutowych i 11 rezerwowowych, a w momencie wypowiedzenia wojny przez sprzymierzonych nadal znajdowały się na poligonach. Francuzi dysponowali wtedy na tym tylko froncie w pełni zmobilizowanymi 65 dywizjami („Das Deutsche Reich und der Zweite Weltkrieg”). Od 4 września granice Belgii odsadzało poza tym 152 tys. żołnierzy Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego.

Dawid i Goliat

Hitlerowcy – po rozbiciu Czechosłowacji – mogli nas atakować od północy, zachodu i południa przez granicę o długości niemal 2,5 tys. km. Dążąc do zachowania niepodległości, Polska starała się utrzymać możliwie silną armię. Od zakończenia pierwszej wojny światowej do 1939 r. wydaliśmy na wojsko 15 mld złp., czyli 3 mld dol., co i tak było wysiłkiem ponad stan. Natomiast Niemcy wydali na wojsko w okresie międzywojennym 90 mld marek, tj. 45 mld dol. Piętnaście razy więcej i to głównie po 1935 r.

Korzystając z potężnego przemysłu, zaplecza naukowo-technicznego, kadry gospodarczych i militarnych, całego bogactwa rozwiniętego kraju, Hitler stworzył w ciągu kilku lat silną, nowoczesną armię. Wypracowała ona doktrynę wojny błyskawicznej, czym skutecznie zaskoczyła Polskę, a pokonała potem również – bo już nie zaskoczyła! – ogromne armie

Francji i ZSRS. Blitzkrieg polegał na zmasowanych bombardowaniach lotniczych paraliżujących komunikację, możliwość manewru i przeciwdziałania przeciwnika, na silnych uderzeniach wojsk pancerno-motorowych, rozrywających jego zgrupowania, na okrążaniu i niszczeniu pobitych wojsk przez jednostki polowe.

Sztab Naczelnego Wodza trafnie ocenił siłę oraz przewidział ugrupowanie wojsk nieprzyjacielskich. Nie przeprowadzono jednak dogłębnych studiów ani gier sztabowych, które wykazałyby właśnie, czym grozi armii polskiej zastosowanie doktryny blitzkriegu przez Niemców. Pochodną są wszystkie kolejne, katastrofalne błędy: brak zapewnienia odpowiedniej łączności Naczelnego Wodza z dowództwami armii; nieutworzenie ani frontów, ani korpusów; kordonowe rozmieszczenie wojsk wzdłuż granic; liczenie na to, że łączność, komunikacja, zaopatrzenie i manewry odwrotowe będą przebiegać sprawnie mimo miazdzącej przewagi przeciwnika we wszystkich rodzajach broni, a zwłaszcza w lotnictwie i szybkich jednostkach pancerno-motorowych.

1 września 1939 r. Niemcy użyli przeciw Polsce ponad 1,8 mln żołnierzy, ok. 3 tys. czołgów, 10 tys. dział i moździerzy, ponad 2 tys. samolotów. Wojska lądowe były zorganizowane w 41 dywizji piechoty (plus siły równe dalszym dziewięciu dywizjom, złożone z jednostek straży granicznej, jednostek fortecznych i in.), trzy dywizje piechoty górskiej, cztery dywizje piechoty zmotoryzowanej, cztery dywizje lekkie, siedem dywizji pancernych i brygadę kawalerii.

Polacy przeciwstawili ok. 1 mln żołnierzy, 800 czołgów (rozproszonych po całym froncie), ponad 4 tys. dział i moździerzy (artyleria przeciwlotnicza liczyła tylko 407 luf), 400 samolotów bojowych (bez koncepcji skuteczniejszego ich użycia). Wojska lądowe tworzyło 39 dywizji piechoty (tylko 21 w pełni zmobilizowanych i skoncentrowanych), 11 brygad kawalerii (osiem skoncentrowanych), trzy brygady górskie, jedna brygada kawalerii zmotoryzowanej (druga była dopiero tworzona) i mniejsze jednostki, takie jak oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza, Obrony Narodowej, morskich strzelców.

Piechota stanowiła u nas 57,2 proc. stanu kadrowego wojska, kawaleria – 10,5; lotnictwo – 2,6; łączność – 2,9; artyleria – 14,6. U Niemców: piechota – 43,5; kawaleria – 2,3; lotnictwo – 7,6;

łączność – 3,9; artyleria – 22,3. Statystycznie na polską dywizję piechoty przypadało 140 samochodów ciężarowych, a na niemiecką – 4,7 tys. (w tym czasie w ZSRS – 2,3 tys.). W polskiej dywizji było 27 dział przeciwpancernych; w niemieckiej – 75. Teoretycznie w każdym polskim plutonie piechoty był wprowadzić jeden karabin ppanc., ale tylko jeden żołnierz potrafił go obsługiwać. Dezorganizacja panująca od pierwszych dni wojny spowodowała, że wiele tych karabinów w ogóle nie wysłano do jednostek frontowych...

Dowódca 35. pp broniącego się mężnie w Borach Tucholskich – płk Jan Maliszewski – wspominał: „[...] niemiecki pułk piechoty górował (nad polskim) w możliwościach prawie trzykrotnie i czterokrotnie w artylerii piechoty, nie mówiąc o przewadze w kalibrze. Ta różnica w sile ognia dała się najdotkliwiej odczuwać w natarciu: niedostateczne obezwładnienie przeciwnika naszym ogniem prowadziło do wielkich strat własnych”.

Generał Tadeusz Kutrzeba: „Gdy z racji pertraktacji o kapitulację War-

szawy przybyłem do sztabu 8. Armii niemieckiej w Rakowie koło Okęcia i ujrzałem solidność urządzeń – będących zjawiskiem najzupełniej naturalnym – spostrzegłem naocznie kontrast między armią nowoczesną a armią archaiczną”.

Wszystko potoczyło się szybciej, niż zakładano. Uderzenia pancerne były zbyt potężne i dynamiczne jak na polską obronę, lotnictwo zaś rzeczywiście sparaliżowało transport. Szybkość klinów pancerno-motorowych i niemal bezkarnie bombardowania z powietrza udermiły koncentrację odwodów, manewr odwrotowy, wykonanie przeciuderzeń. Klęsce nie mogły zapobiec bohaterstwo ani ofiara życia licznych żołnierzy – od szeregowców do generałów. Istotę rzeczy celnie ujął Porwit, pisząc, że do zwycięstwa prowadzą tylko działania zaczepne „uwarunkowane samym faktem posiadania takich samych środków walki, jakie posiada przeciwnik. Zupełny ich brak może obudzić któregoś dnia niewiarę we własne możliwości i stać się źródłem załamania”. Nic dodać, nic ująć.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Pancerny pojedynek: 7TP vs. PzKpfw II



Michał Mackiewicz

pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

/ Oto dwa najczęściej używane we wrześniu 1939 r. czołgi: polski 7TP oraz niemiecki PzKpfw II. Który z nich miał przewagę na polu bitwy?

Lącznie Polacy mieli: 313 czołgów lekkich (132 7TP, 102 Renault FT-17, 38 Vickers-E, 49–50 Renault R-35), 574 czołgi rozpoznawcze (tankietki TK-3 i TKS) oraz 100 samochodów pancernych (Ursus i sp wz. 34) – w sumie 987 wozów bojowych.

We wrześniu 1939 r. na stanie armii niemieckiej znajdowała się następująca liczba czołgów poszczególnych typów: Panzerkampfwagen I – 1445, Panzerkampfwagen II – 1223, Panzerkampfwagen III – 98, Panzerkampfwagen VI – 211, Panzerkampfwagen 35(t) – 196, Panzerkampfwagen 38(t) – 78. Czołgi lekkie dwóch ostatnich typów zostały

przejęte po armii czechosłowackiej i nie były gorsze od niemieckich PzKpfw I i II. Natomiast PzKpfw III i VI były już czołgami średnimi.

7-tonowy polski

W Wojsku Polskim dostrzegano przebojowość i ofensywne walory czołgów jako doskonałego narzędzia do ataku ze skrzydeł i wyjścia na tyły przeciwnika. Ograniczano jednocześnie ich rolę do zadań stricte taktycznych. Broni pancernej nie traktowano u nas jako formacji przeznaczonej do wykonywania samodzielnych działań o charakterze operacyjnym, ale – podobnie jak np. we Francji – jako wsparcie dla piechoty i kawalerii. Nie dziwi więc znaczne rozproszenie naszych tanków w kampanii wrześniowej i kierowanie do boju pododdziałów w sile kompanii lub nawet plutonu. Działyły one na szerokim froncie i zazwyczaj w bardzo dużym rozproszeniu, stąd Niemcy pancerniacy rzadko mieli okazję się z nimi mierzyć.

Najbardziej wartościowym pojazdem bojowym Wojska Polskiego był czołg 7TP, stanowiący wersję rozwojową importowanego brytyjskiego sześciotonowego Vickersa-E. W Biurze Konstrukcyjnym Broni Pancernej oraz Biurze Studiów Polskich Zakładów Inżynierii (PZInż.) opracowano zmodernizowany czołg, którego produkcję uruchomiono w 1935 r. w należącej do PZInż. czechowickiej Fabryce nr 1 (do 1930 r. Zakłady Mechaniczne Ursus). Zastosowano produkowany w kraju wysokoprężny, chłodzony cieczą silnik Saurer-Diesel VBLDb – PZInż. 235 – o mocy 110 KM (prędkość do 37 km/h).

W sprawozdaniu z prób porównawczych nowego czołgu z angielskim vickersem stwierdzono:

„Czołg 7TP w porównaniu z czołgiem Vickers na drogach bitych ma prędkość maksymalną nieznacznie mniejszą, natomiast w terenie, wskutek większego stopnia przyspieszenia, łatwiej pokonuje wszelkie przeszkody naturalne”.

Zmiana silnika wymusiła oczywiście i inne; przekonstruowaniu uległy sprzęgło i skrzynia przekładniowa, tylna część kadłuba zyskała zupełnie inny kształt.

Zamiast hartowanych płyt stalowych zastosowano nowe, walcowane i utwar-



Najbardziej wartościowym pojazdem bojowym Wojska Polskiego był czołg 7TP FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO



Założeniom siania popłochu na zapleczu przeciwnika odpowiadał PzKpfw II, najliczniejszy niemiecki czołg w 1939 r. FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

dzane powierzchniowo w procesie nawęglania; zwiększyła się także ich grubość, z 13 do 17 mm. Pancerne płyty mocowano do kratownicy śrubami, a nie nitami, co było znacznie bezpieczniejszym rozwiązaniem, gdyż przy uderzeniu pocisku nity wpadały do wnętrza, raniąc członków załogi. Pierwsze 7TP produkowano w wersji dwuwieżowej (wieże zdjęte z vickersów), a ich uzbrojenie stanowiły dwa karabiny maszynowe kal. 7,92 mm.

Walory bojowe wozu zwielokrotniły się z chwilą opracowania wersji jednowieżowej, produkowanej od 1937 r., w której zasadniczym uzbrojeniem była doskonała 37-milimetrowa armata szwedzkiej firmy Bofors, produkowana licencyjnie w Polsce. Jej praktyczna szybkostrzelność sięgała 10 strz./min, a przeciwpancerny pocisk przebijał stalową płytę pancerną o grubości 30 mm z odległości kilometra. Jak na warunki początkowego okresu drugiej wojny światowej było to aż nadto. Z armatą sprzęgnięty był chłodzony wodą karabin maszynowy Browning wz. 30 kal. 7,92 mm.

Spośród wyposażenia dodatkowego wymienić trzeba przede wszystkim doskonały i rewolucyjny na owe czasy odwracalny peryskop pomysłu inż. Gundlacha, który umożliwiał obserwację pola walki w zakresie 360 stopni bez potrzeby odwracania głowy. Część 7TP posiadała radiostacje N2C – były w nie wyposażone wozy dowódców batalionu, kompanii i plutonów, przy czym w dwóch pierwszych przypadkach były to radiostacje nadawczo-odbiorcze, a w ostatnim odbiorniki radiowe.

Załogę czołgu w wersji jednowieżowej stanowiło trzech ludzi: dowódca-ładowniczy, strzelec i kierowca. Zapas amunicji do armaty wynosił 80 nabojęw. W dwóch zbiornikach paliwa znajdowało się 130 l paliwa, co pozwalało na przejechanie ok. 130 km w terenie. Masa bojowa pojazdu sięgała 10 ton.

Niemiecki PzKpfw II

Kluczem do sukcesów Wehrmachtu w początkowym okresie drugiej wojny światowej była nowatorska strategia blitzkriegu. Związki pancerne, wsparte lotnictwem i zmotoryzowaną piechotą,

atakowały w newralgicznych punktach, oskrzydlały przeciwnika i uniemożliwiały mu zorganizowanie spójnej linii obronnej. Niemcy postawili na organizację, elastyczne dowodzenie i koncentrację czołgów w ramach dywizji. „Taktyka niemieckich wojsk pancernych opierała się w większym stopniu na prędkości działań, aniżeli na sile ognia” – pisał słynny angielski teoretyk John Fuller. Czołgi Panzerwaffe nie miały walczyć z wozami przeciwnika, ale wywoływać popłoch na jego zapleczu.

Tym założeniom odpowiadał Panzerkampfwagen II (PzKpfw II), najliczniejszy niemiecki czołg w 1939 r. Jego koncepcja powstała w 1934 r., przy czym od początku uznawano go za konstrukcję przejściową, do czasu opracowania i wdrożenia do seryjnej produkcji cięższych pojazdów – lepiej uzbrojonych i opancerzonych. PzKpfw II był dziełem koncernu MAN. Dopiero w 1937 r. rozpoczęto produkcję docelowego modelu, poprzedzonego stu kilkudziesięcioma egzemplarzami testowymi.

Pojazd napędzany był gaźnikowym sześciocyndrowym silnikiem Maybach HL62TR o mocy 140 KM i zapewniającym prędkość do 40 km/h. Zasięg wynosił 200 km. Płyty pancerza o grubości 14,5 mm spawano do szkieletu zbudowanego ze stalowych profili. Uzbrojenie zamontowane w sześciokątnej obrotowej wieży składało się z chłodzonego powietrzem karabinu maszynowego MG 34 kal. 7,92 mm i automatycznego (zasilanego z magazynków) działka KwK 30 kal. 20; wystrzelone z niego pociski przebiły 14-milimetrowy pancerz ustawiony pod kątem 30 stopni. z odległości 500 m.

Układ jezdy składał się z pięciu par kół jezdnych zawieszonych na zewnętrznych resorach piórowych. Koła napędowe zain-

stalowano z przodu, tutaj także znajdowały się skrzynia biegów i układ kierowniczy.

Pośrodku znajdował przedział bojowy, z tyłu zaś chłodzony cieczą silnik. Wszystkie pojazdy wyposażono w radiostacje nadawczo-odbiorcze FuG 5. Masa PzKpfw II sięgała 9 ton, załoga składała się z trzech ludzi: dowódcy, radiooperatora i kierowcy.

Do ataku na Polskę rzucono 1151 czołgów PzKpfw kilku wersji. Podstawową ich wadą, podobnie zresztą jak polskiego 7TP, był bardzo słaby pancerz podatny na ostrzał zarówno z doskonałych boforsów kal. 37 mm, jak i polskich długolufowych karabinów przeciwpancernych wz. 35 kal. 7,92 mm. Po kampanii w Polsce „dwójkę” dopancerzono. Żle oceniono także możliwości obserwacji przedpola – w 1940 r. zaczęto montować na dachu wieży głównej tzw. wieżyczkę dowódcy wyposażoną w sześć peryskopów.

PzKpfw II ustępował polskiemu 7TP uzbrojeniem ofensywnym. Jednakże armata kal. 20 mm miała dużo większą szybkostrzelność niż 37 mm Bofors, a ponieważ nieliczne pojedynki pancerne odbywały się na kilkusetmetrowych odległościach, jej siła rażenia była wystarczająca wobec słabego pancerza 7TP. Standardowe wyposażenie w radiostacje było znaczącym atutem „niemca”.

Pozostałe charakterystyki taktyczno-techniczne były zbliżone, choć warto podkreślić nietypowe paliwo w 7TP, znacząco utrudniające (zwłaszcza w realiach września 1939 r.) zaopatrzenie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

PIOTR WŁOCZYK: W lipcu 1969 r. nie tylko Amerykanie dotarli na Księżyc. Jak wyglądało „towarzystwo” Apollo 11?

CHARLES FISHMAN: Kiedy Apollo 11 dotarł na orbitę Księżyca, Łuna 15 już tam była. Sowieci wystrzelili ją trzy dni przed misją Apollo 11. Była to misja bezzałogowa.

Co było jej celem?

Najkrócej rzecz ujmując: prześcignięcie Amerykanów. Łuna 15 miała pobrać fragmenty księżycowego gruntu i pędem wrócić na Ziemię. Byle dostarczyć cokolwiek z Księżyca przed Amerykanami! Sowieci mogliby wtedy ogłosić z dumą: „Ha! Pokonaliśmy Amerykę! Nie musieliśmy nawet wysłać na Księżyc ludzi, żeby przywieźć trochę skał!”.

Co się z nią stało?

Cóż... Łuna 15 nie przeszła do historii, ponieważ roztrzaskała się o księżycową górę, którą Sowieci kompletnie przegapili w swoich planach. Na ich usprawiedliwienie trzeba jednak powiedzieć, że wtedy jeszcze Księżyc nie był zbyt dokładnie zbadany i takie rzeczy mogły się zdarzyć. O misji Łuny 15 nie było wówczas z oczywistych powodów zbyt głośno. Jednak już rok później kolejna sowiecka misja, wykorzystująca statek kosmiczny identyczny jak w przypadku Łuny 15, wylądowała bezpiecznie na Księżycu, pobrała materiał i wróciła na Ziemię. Tak więc Sowietom udało się w końcu osiągnąć to, co zamierzali. Po lądowaniu Apollo 11 ich program misji załogowych na Księżyc kompletnie się jednak załamał.

Program Apollo narodził się na dobre w maju 1961 r., kiedy prezydent Kennedy powiedział, że Amerykanie polecą wkrótce na Księżyc. Jak ta zapowiedź brzmiała w uszach Amerykanów?

FOT. NASA

Projekt Apollo

Z Charlesem Fishmanem, autorem książki „One Giant Leap” o wyścigu na Księżyc



rozmawia Piotr Włoczyk

Jak NASA pokonała Kreml

/ Amerykanie do samego końca bali się, że Sowieci na ostatniej prostej wyprzedzą ich i jako pierwsi wyślą ludzi na Księżyc

To był elektryzujący moment. Sowieci bili Amerykanów w Kosmosie od samego początku, od 1957 r., kiedy wystrzelili Sputnika. To był dla USA cios. Ten ważący niecałe 100 kg satelita wstrząsnął światową geopolityką. Miesiąc później Sowieci zaliczyli kolejny sukces, wysyłając w Kosmos psa Łajkę. A 12 kwietnia 1961 r. wystrzelili w Kosmos pierwszego człowieka – Jurija Gagarina.

Kiedy Kennedy wygłaszał swoje przemówienie, Sowieci od czterech lat, mówiąc potocznie, spuszczały nam kosmiczne lanie. Kennedy miał tego dość. Stwierdził, że postawienie tak ambitnego celu wyzwoli w Amerykanach ogromną energię. Okazało się, że miał rację. Amerykanów czekała jednak tytaniczna praca. W 1961 r. nie było wystarczająco potężnej rakiety, odpowiedniego statku kosmicznego, komputera, skafandrow dla astronautów ani nawet właściwych spadochronów, by można było myśleć o bezpiecznym powrocie z Księżyca. Wszystko to trzeba było wymyślić od zera. Czasu było mało. Ponad 400 tys. ludzi nad tym pracowało, w projekt zaangażowane było 22 tys. firm, których prace trzeba było perfekcyjnie skoordynować. Dość powiedzieć, że przy projekcie Apollo pracowało więcej Amerykanów, niż walczyło w Wietnamie.

Kongres nie szczędził na to pieniędzy. Wysłanie ludzi na Księżyc było bardziej kosztowne od projektu Manhattan.

Pod względem finansowym Apollo był projektem trzy razy większym od programu budowy bomby atomowej i 10 razy większym od Kanału Panamskiego. Stał się wielką inspiracją dla tysięcy młodych zdolnych ludzi, którzy rozpoczęli pracę dla NASA i firm współpracujących z tą



Buzz Aldrin na Księżycu
FOT. MARS.NASA.GOV

agencją. Apollo zmienił astronomię, naukę i inżynierię.

Co było najtrudniejsze w całej tej misji?

Misja załogowa na Księżyc wymagała zbudowania najmniejszego i najszybszego komputera na świecie. Pamiętajmy, że mówimy tu o podróżowaniu z prędkością ok. 8 km/s. W związku z tym wszystko w statku kosmicznym musi się dziać w odpowiednim momencie. Inaczej bardzo łatwo „przestrzelić” i znaleźć się na złym kursie bez szans na dotarcie do Księżyca. Komputer był największym wyzwaniem stojącym przed NASA. W 1961 r., gdy Kennedy postawił przed Ameryką cel wysłania ludzi na Księżyc, najmniejszy komputer był wielkości pięciu lodówek. Mało tego – ówczesne komputery cieszyły się złą reputacją, jeżeli chodzi o niezawodność. Podczas pierwszej misji orbitalnej Johna Glenna w 1962 r. użyto komputera IBM. Lot trwał cztery godziny. Ten komputer nie działał przez cztery minuty podczas tych czterech godzin!

To rzeczywiście był tak wielki problem?

Jasne, mogli się w NASA cieszyć, że wszystko było

w porządku przez 3 godz. 56 min, a poza tym i tak Glenn latał w kółko (śmiech). Ale to nigdy nie miało prawa się zdarzyć. To był najważniejszy komputer na całym świecie, użyty do superważnej misji. I nawet on nie był w stanie działać nieprzerwanie przez cztery godziny!

Jednak już pod koniec lat 60. naukowcom pracującym dla NASA udało się zmniejszyć komputer z pięciu lodówek do walizki na kółkach, która ważyła tylko 30 kg. Był on przy okazji 100 razy szybszy od pięciu lodówek. To MIT (Massachusetts Institute of Technology) zbudował ten komputer. I to właśnie NASA i MIT jako pierwsze użyły chipów komputerowych. Wcześniejsze komputery bazowały na tranzystorach. NASA w połowie lat 60. kupowała większość chipów produkowanych na świecie. Wszystkie one używane były w programie księżycowym. NASA stworzyła wokół komputerów zupełnie nowy klimat. Kierownictwo naszej agencji kosmicznej naciskało na tworzenie bezawaryjnego, stabilnego sprzętu. I faktycznie udało się to osiągnąć. W czasie 10 misji Apollo, czyli 100 dni w Kosmosie, nie było

ani jednego problemu z komputerem. Ta technologia błyskawicznie rozlała się po świecie. Drugim kluczowym problemem było zbudowanie odpowiednio potężnej rakiety.

To chyba nie był większy problem, skoro NASA miała Wernhera von Brauna?

Oczywiście, to był geniusz, ale jednak nie był cudotwórcą. Saturn V cierpiał na bardzo tajemniczą przypadłość. Co pewien czas przepływ paliwa ulegał zaburzeniu, co kończyło się eksplozją silnika... Nawet mając w zespole Wernhera von Brauna, wyeliminowanie tego problemu zajęło NASA ponad rok! Von Braun był fenomenalnym inżynierem, ale Charles Draper z MIT, odpowiedzialny za systemy nawigacyjne, był podobnie ważny dla powodzenia tego projektu, chociaż nigdy nie stał się taką gwiazdą jak von Braun. No i nie był nazistą (śmiech). Silniki rakietowe, komputer, osłona termiczna – to wszystko była kosmicznie zaawansowana technologia. Znacznie wyprzedzała ona nasze zdolności produkcyjne.

Jak więc powstały te rzeczy?

Ręcznie! Tak powstawały komputery, spadochrony czy skafandry kosmiczne. Nawiasem mówiąc, te ostatnie też były niesamowite jak na ówczesne czasy. Dwadzieścia jeden warstw materiału dawało wystarczającą ochronę nawet przed uderzeniem małego meteorytu, co musiało być brane pod uwagę.

Spadochrony też musiały być superzaawansowane technologicznie?

Stworzenie odpowiednich spadochronów zajęło NASA lata! Musiały one być superlekkie i superwytrzymałe. Każdy miał powierzchnię przeciętnego amerykańskiego domu. W całym kraju były

■ tylko trzy osoby, które wiedziały, jak je złożyć. Wynikało to z faktu, że dla tych trzech spadochronów przewidziano bardzo małą przestrzeń w statku kosmicznym. NASA uważała tych ludzi – dwóch mężczyzn i kobietę – za tak cennych, że nie wolno było im podróżować w jednym pojeździe.

Które momenty podczas misji Apollo 11 były naprawdę niebezpieczne?

Zacznijmy od początku – trzeba było bezpiecznie wystartować. Saturn V mieścił w sobie kilka milionów litrów paliwa...

Sowieci coś o tym wiedzieli – ich rakiety N1, które zamierzali wykorzystać w misjach na Księżyc, były pod tym względem kompletną katastrofą. Jeden ze startów skończył się największą nienuklearną eksplozją spowodowaną przez człowieka.

Zgadza się. Sowieci mieli odpowiednika Saturna V, którego nigdy nie udało im się z powodzeniem wysłać w Kosmos. Wszystkie te rakiety wybuchły zaraz po starcie. To nie jest prosta technologia... Amerykanie również początkowo mieli z tym problem – straciliśmy wiele rakiet w pierwszym etapie kosmicznego wyścigu.

Wracając do pańskiego pytania. Najbardziej niebezpieczne było zejście z orbity Księżyca na jego powierzchnię. Ta podróż trwała tylko 9 min, ale zdarzyły się wówczas trzy bardzo niepokojące rzeczy. Po pierwsze miejsce, które zostało wybrane do lądowania, okazało się kraterem. Jak widać, Amerykanie również mieli problem z przygotowaniem dokładnej mapy Księżyca. Armstrong musiał wybrać inne miejsce. Po drugie, w trakcie schodzenia z orbity odezwały się alarmy sugerujące, że komputer ma trudności z zarządzaniem lądowaniem.



Jurij Gagarin FOT. SUOMEN VALOKUVATAITEEN MUSEO

Te alarmy rozbrzmiały we wnętrzu statku kosmicznego i w centrum sterowania na Ziemi. Trzeba było błyskawicznie podjąć decyzję, co robić. Okazało się jednak, że to nie komputer sprawiał problemy, tylko radar. Ale i tak było to bardzo stresujące.

Co było tym trzecim niepokojącym wydarzeniem?

Kiedy Armstrong rozglądał się za alternatywnym miejscem lądowania, właśnie kończyły im się paliwo! To był wyścig z czasem. Sukces misji przyćmiło to, że ta dziewięćminutowa podróż była mocno wyboista i kosztowała wszystkich zaangażowanych mnóstwo nerwów.

Dla astronautów mocno stresująca musiała być też myśl, że po zakończeniu przygody na Księżycu na orbitę ma ich wynieść tylko jeden silnik rakietowy. Jeżeli cokolwiek poszłoby nie tak, wówczas byłby to koniec. To było bardzo proste: albo naciśnięcie guzika uruchomi silnik, albo nie. NASA poświęciła temu problemowi dużo uwagi. Inżynierowie postanowili, że system odpalenia silnika będzie bardzo prosty – będzie

się składał z minimalnej liczby części, żeby uniknąć awarii. Jak widać, czasem najprostsze rozwiązania są najlepsze.

Kilka lat temu rozmawiałem z Walterem Cunninghamem, członkiem załogi Apollo 7. „Przed startem Apollo 7 podjęto decyzję, że jeżeli nasz lot okaże się sukcesem, to następna misja, zamiast krążyć po



wyższej orbicie Ziemi, poleciał prosto w kierunku Księżyca i wykona wokół niego okrążenie. I tak się stało. Ta decyzja została podjęta pod presją: niepokoiłoby się na samą myśl, że Sowieci mogliby nas wyprzedzić” – powiedział Cunningham. Jak wiele brakowało wówczas Sowiecom, by wyprzedzić NASA?

Wtedy faktycznie wyglądało na to, że Sowieci byli tuż za nami. Nasz wywiad nie miał zbyt precyzyjnych informacji o sowieckim programie księżycowym. Okoliczności wysłania kolejnej misji po Apollo 7 wiele mówią na temat nerwowości, jaka panowała wówczas w USA. Przypomnijmy: w 1968 r. wiadomo już było, że prace nad lądownikiem księżycowym się opóźniają. NASA tak bardzo się obawiała, że Sowieci wyślą kosmonautę, by obleciał Księżyc, że Amerykanie wystrzelili misję bez lądownika. Tylko po to, żeby dotrzeć na orbitę Księżyca! To był właśnie lot Apollo 8.

Przypomnijmy, że 1968 r. był ciężkim okresem dla Ameryki. Martin Luther King i Robert F. Kennedy zostali wówczas zabici. Był to też najbardziej krwawy rok naszej interwencji w Wietnamie. Średnio każdego dnia ginęło tam 50 Amerykanów. Jakby tego było mało, w amerykańskich miastach dochodziło do rozruchów... NASA zaplanowała tę misję na święta Bożego Narodzenia. W ten szczególny czas Apollo 8 10-krotnie okrążył Księżyc, a astronauta odczytali podczas specjalnej transmisji fragmenty Biblii. Apollo 8 było efektem politycznej decyzji – trzeba było zmienić plany projektu, żeby jak najszybciej wysłać taką misję i odhaczyć okrążenie Księżyca przez lot załogowy. Stawką było przecież pokonanie Sowietów.

Okładka magazynu „Time”, który ukazał się dwa tygodnie przed startem Apollo 8, chyba dobrze oddaje ówczesne nastroje w Ameryce...

Tak – uważano, że idziemy z ZSRS łeb w łeb. Od tego czasu wypłynęło wiele informacji, które stawiają cały wyścig na Księżyc w innym świetle. Sowieci byli bardzo daleko za nami, jeżeli chodzi o misje zało-

gowe na Księżyc. W tym przypadku atmosfera rywalizacji świetnie podzielała jednak na Amerykanów, nawet jeżeli, jak już dziś wiemy, finalnie ten wyścig był dosyć jednostronny.

W swojej książce stawia pan bardzo ciekawe pytanie: Co by się stało z misją na Księżyc, gdyby prezydent Kennedy nie został zabity? Odpowiedź, której pan udziela, brzmi wręcz sensacyjnie.

Myślę, że nie udałooby się tego dokonać tak szybko. Kto wie, czy w ogóle byśmy to zrobili? Kennedy nagrywał swoje rozmowy. Na tych taśmach słysząc, że uważał program księżycowy za sposób na pokonanie Sowietów. Tymczasem w 1963 r., dwa lata po swoim inspirującym przemówieniu i tuż przed śmiercią, próbował wytworzyć atmosferę odprężenia w relacjach z Kreml. Latem tego roku podpisał z Sowietami traktat o częściowym zakazie prób jądrowych i wyraźnie gasił antysowiecką retorykę. Dwa miesiące przed zamachem wzywał do tego, by Amerykanie i Sowietci polecili na Księżyc wspólnie!

Co na to NASA?

Fachowcy kręcili głowami, przytomnie podkreślając, że nie da się wsadzić amerykańskiego statku kosmicznego na sowiecką rakietę. Im bardziej Kennedy myślał o odprężeniu w relacjach z Kreml, tym bardziej tracił zainteresowanie programem Apollo. Z kolei jego następca Lyndon B. Johnson był wielkim entuzjastą lotu na Księżyc i parł do tego z przekonaniem.

Bardzo ciekawie opowiada pan o programie Apollo. Ale czy aby na pewno Amerykanie wylądowali na Księżycu? Wśród nieskończonej ilości teorii spiskowych chyba najbardziej popularna jest kwestia powiewającej flagi. Dlaczego, skoro na Księżycu nie ma wiatru, Amerykańska flaga wygląda tak, jakby się ruszała?

Nie mógł pan zadać prostszego pytania (śmiech). Już tłumaczę: ta flaga miała wyglądać tak, jakby powiewała. Odpowiadała za to wyjątkowo prosta „sztuczka”. Otóż poza pionowym prętem był tam jeszcze poziomy pręt, działający jak karnisz. I tylko dzięki temu flaga wyglądała tak, jakby „powiewała”. Ot, cała tajemnica (śmiech).

Ponad 400 tys. Amerykanów pracowało przy projekcie Apollo. Czy udałooby się ich wszystkich przekonać, że uczestniczyli w spektaklu? To nie była gierka. To był wyścig o panowanie nad światem. Za każdym razem, gdy Amerykanie wystrzelili rakiety, Sowietci wysyłali do wybrzeży Florydy swoje statki szpiegowskie. Te jednostki nie tylko śledziły pilnie przebieg misji, lecz także starały się przeszkodzić, wysyłając sygnały zakłócające. Gdyby tylko Sowietci mieli choć najmniejszy dowód na to, że to wszystko było jednym wielkim kłamstwem, od razu zrobiliby wielki show przed całym światem, ośmieszając USA. Dlaczego tego nie zrobili? Odpowiedź na to pytanie jest chyba dosyć oczywista (śmiech).

© Wszelkie prawa zastrzeżone

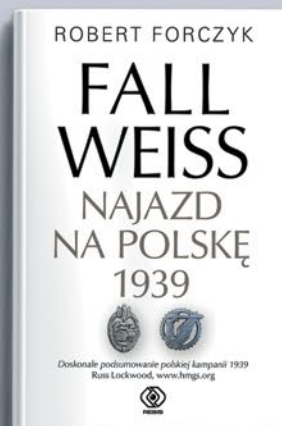


Charles Fishman jest amerykańskim reporterem, pracował m.in. w „The Washington Post”. W zeszłym roku ukazała się w USA jego ostatnia książka pt. „One Giant Leap: The Impossible Mission that Flew Us to the Moon” („Wielki skok: Niewykonalna misja, dzięki której poleciliśmy na Księżyc”).



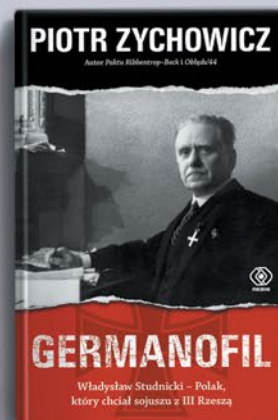
*Doskonałe
podsumowanie
polskiej kampanii
1939*

**Russ Lockwood,
hmgs.org**



**Polscy lotnicy
w bitwie
o Anglię**

**Polak, który
chciał sojuszu
z III Rzeszą.**



znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl

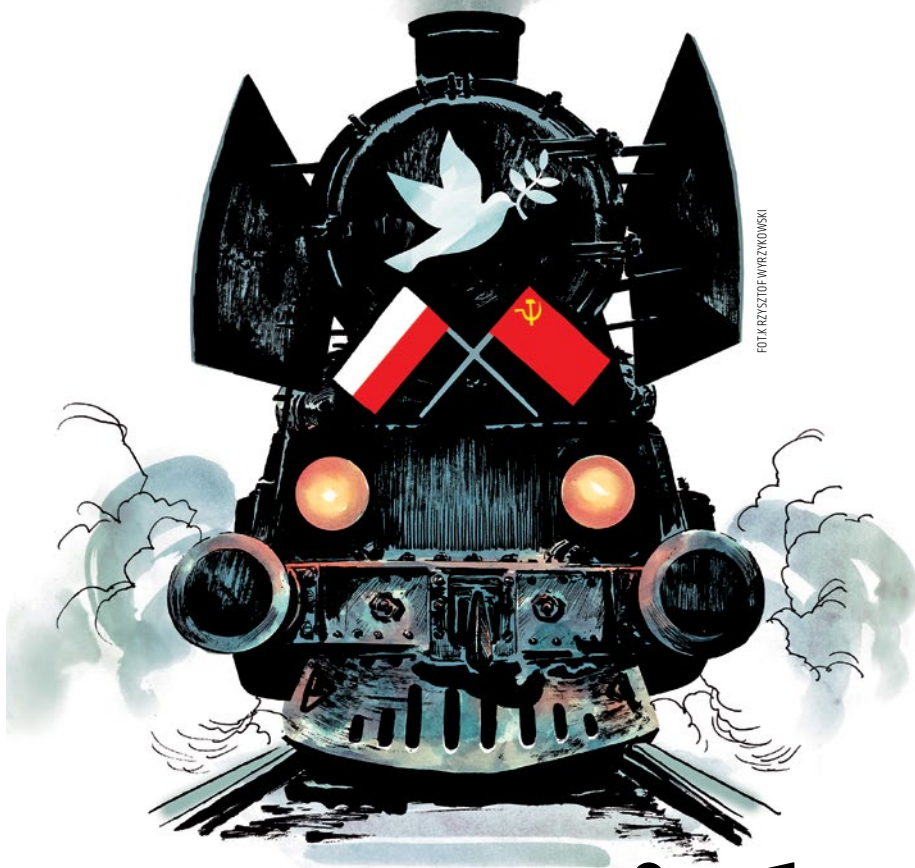


FB/REBIS



Paradoks / Druga strona „przyjaźni polsko-radzieckiej”

Do dziś za Bugiem krąży wśród ludzi opowieść o polskiej partyjnej delegacji, której kierownik przemycił przez granice kilkanaście tysięcy polskich przerwy – udanie upchnął je hurtowo miejscowym nielegalnym handlarzom. Gwoli wyjaśnienia musimy odnotować, że polskie przerwy cieszyły się dość dobra opinia obywateli sowieckich.



Szmugiel dzinsów do Kraju Rad

Prezerwatywy własnej produkcji były kiepskiej jakości i bardzo często nie wytrzymały igraszek miłosnych „budowniczych komunizmu”.

Oficjalnie seks w Związku Sowieckim nie istniał, ale jednocześnie ZSRS miał prawdopodobnie jedno z najbardziej liberalnych ustawodawstw, regulujących życie rodzinne. Rozwód można było wziąć na żądanie jednego z małżonków bez uwzględnienia opinii drugiej strony. Bardzo często jeden z małżonków, ku swemu ogromnemu zaskoczeniu (zwłaszcza kiedy rodzina nie miała dzieci), dostawał postanowienie sądowe pocztą bez uprzedzenia o toczącej się procedurze rozwodowej. Niechcianą ciężar usuwano na każde życzenie w państwowych szpitalach bez ograniczeń. Ten pobłażliwy stosunek państwa do życia rodzinnego i seksualnego swych obywateli miał dwie przyczyny. Po pierwsze, swoboda życia seksualnego i rodzinnego była swoistą rekompensatą za brak wolności osobistej i demokracji. Po drugie, państwo komunistyczne (zwłaszcza po straszliwych stratach w czasie drugiej wojny światowej, kiedy zginęło co najmniej 27 mln ludzi) było zainteresowane rozluźnieniem obyczajowości w celu odrobienia strat ludzkich. Mężczyzn praktycznie zwolniono z odpowiedzialności za własne dzieci. Kobiety tuż po wojnie nie miały szans na wystąpienie z pozwami alimentacyjnymi.

Polska Ludowa, tak jak każdy bez wyjątku kraj tzw. wspólnoty socjalistycznej, była krajem powszechnego niedoboru towarów, ale polski deficyt był niczym w porównaniu z prawie totalnym deficytem licznych produktów przemysłowych w Związku Sowieckim. Tuż po wielkim zwycięstwie w drugiej wojnie światowej i rezygnacji ZSRS z pomocy amerykańskiej w ramach planu Marshalla sytuacja w kraju była na tyle dramatyczna, że ledwo udało się zlikwidować groźbę głodu. W czasach stalinizmu głód był zjawiskiem powszechnym, towarzyszącym prawie wszystkim „genialnym” reformom partii komunistycznej. Aby zbudować potęgę militarną państwa, Stalin świadomie zaglądał na śmierć miliony obywateli własnego kraju, a za zaoszczędzone w ten przestępczy sposób środki umacniał swój ustrój totalitarny.

Wielki reformator systemu kołchozowego, za którego uchodził następca Stalina Nikita Chruszczow, zdołał to widmo

głodu oddalić, ale nakarmić sowieckich obywateli do syta nie potrafił. Za Chruszczowa i Breżniewa kraj przekształcił się w największego na świecie importera zbóż. Taka była cena reform kołchozowych Chruszczowa. Z goryczą ludzie sowieccy opowiadali sobie nawzajem kawały na ten temat: „Jaki jest najnowszy i najsukuteczniejszy sowiecki sposób, aby nakarmić własny naród? Siejemy zboże na Ukrainie, a plony zbieramy w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie”.

Znak jakości – „PRL”

Słynny antykomunista, polski szpieg w Rosji Sowieckiej lat 20., a później wybitny polski pisarz Sergiusz Piasecki, który nie gardził dorabianiem kontrabandą, opisywał swój przestępczy proceder jako sprawę niezwykle ryzykowną. Powstała na podstawie ryskiej umowy pokojowej polsko-sowiecka granica szybko przekształciła się w ożywioną drogę handlową. Do Rosji bolszewickiej szmuglowano prawie wszystko: nici, igły, leki, ubrania, perfumy, obuwie i nawet kokainę dla uzależnionych obywateli państwa zwycięskiego komunizmu. Z powrotem przywożono prawie wyłącznie złote carskie ruble i futra. Jednak droga ta była wyjątkowo niebezpieczna. Czasem polskim przemytnikom przychodziło prowadzić prawdziwe boje z sowieckimi pogranicznikami z użyciem broni palnej i granatów.

Po drugiej wojnie światowej granicę przesunięto o prawie 350 km na zachód. Za Bugiem powstało państwo całkowicie uzależnione od ZSRS, jednak przemysł przez nową granicę zwiększył się wielokrotnie i nabrał nowych kształtów. W latach 50. lista szmuglowanych towarów zmieniła się nieznacznie. Do Związku Sowieckiego przywożono prawie wszystko. Od polskich turystów handlowych kupowano nawet te towary, których było pełno w sklepach sowieckich, ale były one złej jakości. Do dziś w świadomości wielu starszych ludzi w niepodległej Rosji, na Ukrainie i Białorusi zachował się stereotyp „polskie znaczy dobrej jakości”.

Do Polski natomiast oprócz złota trafiały niektóre wyroby sowieckiego przemysłu. Przeważnie były to sowieckie telewizory kolorowe, różnorodne

narzędzia ślusarskie, piece gazowe, zegarki... Często płacono za to polskimi towarami. W ten sposób w połowie XX w. odżył handel wymienny, z którym ludność pożegnała się już w starożytności. Jednak nikt z tysięcy polskich drobnych przemytników już nie ryzykował życia jak za czasów Sergiusza Piaseckiego, groziła im najwyżej niewielka grzywna lub konfiskata przywożonego towaru. Była to nowa forma kontrabandy, odbywająca się przy huczonym akompaniamencie indoktrynacji komunistycznej, fałszywie promującej braterstwo narodów wspólnoty socjalistycznej.



Ten dziwny rozkwit kontrabandy pod płaszczykiem ideologii był spowodowany bardzo specyficznymi stosunkami polsko-sowieckimi. W okresie PRL obraz Polski i Polaków w oczach społeczeństwa sowieckiego kształtował się pod wpływem dwóch sprzecznych ze sobą czynników. Z jednej strony Polska (PRL) była pod względem świadomościowym i narodowościowym krajem najbliższym wielu obywatelom Związku Sowieckiego. Połowę przedwojennego terytorium II RP włączono w skład ZSRS. Na tym anektowanym bezprawnie obszarze pozostały liczne rodziny tzw. repatriantów, tych, którzy przesiedlili się do Polski po wojnie. Potocznie mówiono, że na terenach byłych północno-wschodnich województw II RP po wojnie trudno było znaleźć rodzinę niemającą bliższych lub dalszych krewnych w Polsce. Dotyczy to również Białorusinów i rdzennych Litwinów z Wileńszczyzny.

■ W obawie przed represjami i w poszukiwaniu lepszego życia liczni przedstawiciele tych mniejszości II Rzeczypospolitej uciekli do Polski po wojnie, udając Polaków. Z drugiej strony najbardziej liberalny w bloku wschodnim polski reżim komunistyczny był dość powściągliwie traktowany przez władze sowieckie, które robiły, co mogły, by ograniczać kontakty między obywatelami ZSRS i PRL. Jednak w okresie Chruszczowskiej destalinizacji i później, mimo oporów władz sowieckich, te kontakty uległy znacznemu poszerzeniu. Miliony mieszkańców białoruskiej, litewskiej i ukraińskiej SRS co roku odwiedzały PRL na podstawie prywatnych zaproszeń. Trwał potężny handel wymienny między obywatelami obu krajów, tolerowany z niechęcią przez władze.

Handel i solidarność

Znaczący wpływ na tzw. zdrowie psychiczno-ideologiczne ludzi sowieckich wywierały kontrolowane przez władze obu państw oficjalne wycieczki turystyczne. Te słynne „pociągi przyjaźni” kursujące na terenie prawie całego Związku Sowieckiego przypominały ogromne sklepy z towarami dla obywateli sowieckich deficytowym, a miejsca, gdzie się one zatrzymywały, prawie natychmiast przekształcały się w gigantyczne bazy. Stosunkowa tolerancja władz w stosunku do tej formy „braterskiej przyjaźni” tłumaczy się głównie traktowaniem tego handlu wymiennego jako swoistej namiastki prawdziwej demokracji. To był ten tyk ograniczonej wolności, na który władze patrzyły pobłażliwie. Są poważne podstawy do stwierdzenia, że te „pociągi przyjaźni” odegrały nie mniej ważną rolę w rozmyciu ideologii komunistycznej niż ruch Solidarność, który władze sowieckie otwarcie uznały za wroga podważającego podstawy ustroju socjalistycznego.

Po powstaniu Solidarności ruch pociągów przyjaźni początkowo nieco osłabł, a wkrótce został zakazany całkowicie. W roku 1980 zakazano również

Socrealistyczny gmach Uniwersytetu im. Łomonosowa w Moskwie

FOT. WIKIPEDIA



prywatnych podróży do Polski. Wydano rozporządzenie dopuszczające wyjazd do PRL jedynie w wypadku śmierci bliskiej osoby lub ciężkiej choroby członków rodziny. Sowiecka machina propagandowa zaczęła traktować jeszcze niedawno „bratni polski naród” jako najłatwiej ulegający wpływom propagandy zachodniej. Polskę zaczęto uznawać za słabe, a nawet najsłabsze ogniwo europejskiego systemu socjalistycznego. W powszechnym obiegu propagandowym pojawiła się teza o konieczności uświadomienia Polakom ich słabości, konieczności wyrwania znacznej części narodu polskiego z łap propagandy zachodniej i Kościoła katolickiego.

W rzeczywistości ze wszystkich krajów wspólnoty socjalistycznej Polska i Polacy odegrali najbardziej znaczącą rolę w upadku światowego komunizmu i rozpadzie Związku Sowieckiego. Tego narodu nigdy nie udało się sowietyzować w takim stopniu, aby w Moskwie byli pewni, że komunizm w Polsce zwyciężył ostatecznie. Na Kremlu doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że komunizacja kraju nad Wisłą jest powierzchowna, że przeważająca większość Polaków nadal pozostaje narodem zupełnie obcym ideologii komunistycznej, głęboko oddanym wierze katolickiej, tradycjom polskiej podległości. Dlatego system totalitarny PRL raczej przypominał system liberalnej okupacji, w którym ponad 300 tys. stacjonujących w Polsce żołnierzy armii sowieckiej było swoistym gwarantem trwałości totalitaryzmu komunistycznego. „Triumf” władzy ludowej był możliwy jedynie dzięki sowieckim bagnetom.

Dlatego również przywódcy sowieccy nie zdecydowali się na bezpośrednią interwencję zbrojną przeciwko zbuntowanym Polakom ani w czerwcu roku 1956 podczas wydarzeń poznańskich, ani w październiku tegoż roku, kiedy do władzy dochodził „komunista-liberał” Władysław Gomułka, ani w 1970 r. podczas kolejnego kryzysu polskiej władzy

komunistycznej, ani w latach 1980–1981, kiedy powstał niezależny, wyraźnie opozycyjny 10-milionowy ruch związkowy Solidarność. W Moskwie nie bez podstaw obawiano się powszechnego oporu zbrojnego Polaków, potężnego ogólnonarodowego powstania antykomunistycznego w razie bezpośredniej interwencji zbrojnej, powstania w duchu wielu bohaterskich XIX-wiecznych powstań polskich. Nie dowierzano nawet ludowej armii polskiej. Polacy w takim powstaniu nie mieliby szans zwyciężyć, ale mogli mocno nadszarpnąć autorytet światowego komunizmu i doprowadzić do jego potężnego kryzysu. Wybór Polaka na papieża w 1978 r. te obawy czy nawet strach Kremla przed Polakami jeszcze bardziej się wzmościł.

To ten strach umożliwił zbudowanie w Polsce najbardziej liberalnego reżimu komunistycznego w całej tzw. wspólnocie socjalistycznej, to ten strach spowodował wykreowanie w Moskwie nowej bardzo specyficznej polityki wobec polskiej rzeczywistości, którą umownie możemy nazwać „polityką pociągów przyjaźni”. Sowieccy mocodawcy komunistów polskich świadomie pozwolili na liberalizm polityki wewnętrznej, licząc na to, że może to zagwarantować lojalność Polaków. „Pociągi przyjaźni” i inne przejawy podobnego liberalizmu miały być swoistą opłatą za tę lojalność, za gwarancję polsko-sowieckich stosunków sojuszniczych.

W rzeczywistości „pociągi przyjaźni” stały się – niespodziewanie dla przywódców zarówno Związku Sowieckiego, jak i PRL – niezwykle skutecznym środkiem przeciwdziałania propagandzie komunistycznej, efektywnym narzędziem strącenia z piedestału mitów o wysokim poziomie życia ludności krajów socjalistycznych, o wyższości ideologii komunistycznej, o bratniej przyjaźni narodów Polski oraz ZSRS i wielu innych dogmatów komunizmu. Wbrew zamierzeniom władz właśnie w „pociągach przyjaźni”, kontaktach prostych ludzi, cierpiących w podobny sposób rodzila się ta słynna solidarność, która później zaowocowała upadkiem imperium sowieckiego, wyzwoleniem narodów i ludzi spod jarzma komunizmu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Semka

**/ Inflancki kondotier
był jedną
z najbarwniejszych
postaci swej epoki.
Słynął z odwagi
i bestialstwa**

Dzieje XVII w. pełne są wojdów, którzy służyli w obcych sobie krajach dla pieniędzy lub sławy. Niekiedy musieli szukać szczęścia u obcych, bo w ich ojczyźnie ziemia paliła im się pod stopami. Armie króla Francji Ludwika XVI, Karola XII ze Szwecji, cara Rosji Piotra I czy cesarzowej Marii Teresy chętnie przyjmowały kondotierów z zagranicy. Dzieje marszałka Francji Conrada de Rosena (1628–1715) to przypadek wojownika najmity, który przesadził z okrucieństwem i pośrednio wpłynął na klęskę planów swego przybranego władcy.

„Awanturник, rodem gdzieś z Litwy” – tak z lekceważeniem pisali angielscy historycy. Wypominanie mu pochodzenia z mało znanych na Zachodzie „dzikich ziem wschodu” będzie go prześladować całe życie. Rosen nie był jednak Litwinem, tylko bałtyckim Niemcem z Inflant, dziś północnej Łotwy. Jego rodzina „mała ojczyzna” – Liwlandia – od XIII w. była częścią zakonnego państwa niemieckiego zakonu kawalerów mieczowych. Po likwidacji Państwa Zakonnego w 1561 r. ziemie te przypadły Rzeczypospolitej, a po 1629 r. – Szwecji i nazywano je u nas Inflantami szwedzkimi.

Jednym z rycerskich gniazd na tych terenach było stare zamczysko Gross Roop (po łotewsku Straupe). Tutaj właśnie przybył na świat 28 września 1628 r. człowiek, którego nazwiskiem protestanckie matki w północnej Irlandii będą w przyszłości straszyć swoje dzieci. Był jednym z dziewięciu dzieci Fabiana von Rosena – pana na dobrach Klein i Gross Roop oraz Raiskum.

Młody Conrad von Rosen wychowywał się w kulcie wybitnego krewniaka – Reinholda von Rosena (1605–1667) – dziedzica innej linii tego samego rodu. Reinhold von Rosen należał do

czołwki najwybitniejszych dowódców szwedzkich w wojnie trzydziestoletniej. W bitwie pod Lützen w 1632 r., w której poległ król szwedzki Gustaw Adolf, dowodził pułkiem jazdy. W świecie protestanckim do legendy przeszła jego obrona w 1635 r. miasta Zweibrücken w Palatynacie przed wojskami Habsburgów, zwycięska bitwa z nimi na Kampener Heide w 1642 r. i brawurowa ucieczka z rąk bawarskich żołnierzy, którzy schwytali go w 1644 r. w Mannheim.

Po zakończeniu wojny trzydziestoletniej Szwedzi zredukowali wielkość swojej armii. Reinhold von Rosen objął dowództwo nad oddziałami szwedzkimi przeniesionymi do służby dla króla Francji Ludwika XIV. Katolicy Francuzi wiele razy współdziałali z protestanckim Szwedami przeciw wspólnemu wrogowi – Habsburgom, więc takie gesty przyjaźni nie były wtedy niczym dziwnym. Po 1650 r. Reinhold von Rosen kończy służbę wojskową i zostaje mianowany

XVII w.

Conrad von Rosen
w służbie Ludwika XIV i Jakuba II



Okrutny najemnik z Inflant

FOT. WIKIPEDIA

■ przez króla gubernatorem górnej Alzacji. Były to rejony protestanckie z ludnością niemieckojęzyczną, więc taka nominacja luteranina była ukłonem władcy wobec tamtejszej ludności.

Wpływowi krewniak we Francji okazał się z czasem wybawieniem dla młodego Conrada. Chociaż początkowo wszystko układało się nieźle, młody von Rosen w 1644 r., w wieku 16 lat, podjął służbę w armii szwedzkiej. Sześć lat potem, w 1650 r., ożenił się z córką słynnego Reinholda – Marie-Sophie de Rosen. Pokrewieństwo uznano za dostatecznie odległe, by możliwy był ożenek.

W tym samym roku doszło jednak do incydentu, który mógł na zawsze zwichnąć karierę młodego szlachcica. Gwałtowna młodzieńcza krew Conrada pchnęła go do pojedynku z jednym z oficerów. Konrad zaszlachtował przeciwnika i wybuchł skandal – jego ofiara była synem wysoko ustosunkowanego rodu.

Nie chcąc czekać na niepomysłny rozwój wydarzeń, młodzieniec musiał natychmiast zniknąć spod władzy korony szwedzkiej. I tu pomocną dłoń podał dobrze usytuowany we Francji teść. Zaproponował, by podobnie jak niegdyś on sam, Conrad, podjął służbę jako oficer w armii francuskiej. Armia Ludwika XIV prowadziła w tym czasie tyle wojen, że każdy szlachecki zuch był mile widziany. Na dodatek nazwisko von Rosen opromienione sukcesami wojennymi teścia otwierało drzwi do kariery.

Król Słońce

Powieści Alexandre Dumasa o muszkieterach oddają dość dobrze barwną epokę Ludwika XIV, w której przyszło pięć się po szczeblach kariery ambitnemu przybyszowi z Inflant. Liczne wojny dawały okazję do zdobycia młodojęzycznej sławy, a liczna i świetnie wyszkolona armia Ludwika wzbudzała respekt u jego wrogów.

Rosen był odważnym i bitnym oficerem. W warunkach długotrwałej

wojny z Niderlandami awansował dość szybko. W 1669 r. doszedł do rangi pułkownika, a w 1674 r. został dowódcą brygady królewskiej za zasługi na polu walki z Holendrami pod Seneffe (dziś na terenie Belgii).

Trzy lata później, w 1677 r., otrzymuje zaszczytny tytuł Maréchal de camp (marszałka polnego). W trakcie oblężenia bronionego przez Hiszpanów Cambrai zostaje poważnie ranny. Potem pod komendą marszałka François de Créquya pustoszy niemiecką Nadrenię. Już wtedy daje się zauważyć skłonność Conrada de Rosena – bo pod takim mianem jest teraz znany – do okrucieństwa i bezwzględności wobec cywilnej ludności.

W tym czasie Ludwik XIV coraz częściej zaczyna myśleć o odwołaniu edyktów nantejskich gwarantujących tolerancję religijną dla protestantów.

Luteranin Conrad wyczuwa zmianę klimatu i w 1681 r., cztery lata przed cofnięciem edyktu,

z własnej woli przechodzi na katolicyzm. Król Francji z sympatią zauważa taką domyślność i marszałek polny zyskuje w oczach monarchy jeszcze więcej zaufania. Zostaje wysłany do walk w Piemencie, a w 1686 r. zostaje naczelnym dowódcą w Langwedocji.

Dwa lata później dochodzi do wydarzenia, które zelektryzowało wówczas całą zachodnią Europę. W 1688 r. wybuch w Wielkiej Brytanii rewolucja, która obala króla Jakuba II Stuarta i wynosi na tron Wilhelma Orańskiego. Sprzeciw wywołało katolickie wyznanie władcy w większości protestanckim kraju. Gdy Jakub II doczekał się syna, zwolennicy reformacji nie chcieli czekać na silne usadowienie się Stuartów na tronie i wygnali króla z Wysp.

Obalony Jakub ucieka do Francji pod opiekę Ludwika XIV, który jawnie staje się jego protektorem. „Król Słońce” chce restytucji katolickich Stuartów z racji swoich geopolitycznych planów. W poparciu Ludwika dla ukoronowanego banity jest też autentyczne oburzenie podniesieniem przez „gmin” ręki na Bożego pomazańca i naruszeniem praw naturalnego porządku.

Na wygnańczym dworze Jakuba w Saint Germain-en-Laye zaczynają powstawać plany odbicia utraconego królestwa, poczynając od Irlandii. Król Francji rozkazuje Conradowi de Rosenowi, by u boku Jakuba II wraz z paroma innymi francuskimi dowódcami zdobył ojczyznę św. Patryka.

12 marca 1689 r. Jakub II wraz z de Rosensem i towarzyszącymi mu oddziałami francuskimi lądują na południowym brzegu Irlandii w okolicach Kinsale. Desant udaje się bez przeszkód, a zarządca wyspy Lord Tyrconnel pomaga jakobitom zdobyć katolicki w dużej mierze kraj. Problemem może być jedynie Ulster – wyraziście protestancka Irlandia Północna z jej kluczowymi miastami Derry i Enniskillen. Jakub wierzy, że z czasem i na północy zostanie uznany za prawowitego króla. W tym celu obiecuje, że po odzyskaniu władzy nie będzie faworyzować żadnego wyznania.

Niełatwo było jednak wcielić ten postulat w życie. Katolicycy Irlandczycy, ciemieni przez wiele dziesiątków lat przez angielskich protestantów, zaczęli mścić się na niedawnych prześladowcach. Wieści o samosądach na wyznawcach reformacji zaczynają z czasem docierać na północ i skłaniać do podjęcia oporu.

7 grudnia 1689 r. oddziały wierne Jakubowi zbliżyły się do Derry, by zająć miasto w imieniu prawowitego władcy. Tuż przed wejściem jakobitów do grodu 13 młodych praktykantów, którzy przeszli do ulsterskiej legendy jako tzw. Thirteen Appreciates, z własnej inicjatywy wykradło klucze do bram miasta i zamknęło je przed wysłannikami Jakuba. To wystąpienie przeciw „papistom” szybko znalazło powszechne poparcie w przeważająco protestanckiej ludności miasta.

„Barbarzyńca moskiewski”

Rozpoczyna się pierwsze oblężenie Derry, zakończone bez efektu. Po raz drugi, w kwietniu 1689 r., jakobici znów pojawiają się pod murami miasta i znów bez efektu. Derry staje się symbolem oporu zwolenników Wilhelma Orańskiego i umacnia wiarę Anglii w pokonanie Stuartów.

W czerwcu 1689 r. zadanie zdobycia krnąbrnego grodu otrzymuje wreszcie



Pistolet z XVII wieku

FOT. ARCHIWUM

Conrad de Rosen. Przybywa pod oblegane miasto 17 czerwca wraz z regimenterem klanu FitzGeraldów z Trim w środkowej Irlandii. Marszałek polny z zapałem podjął się tego zadania, uważając, że jego poprzednicy wykazali się nieudolnością i brakiem zdecydowania.

Tej ostatniej cechy nie brakuje wojownikowi Inflantczykowi. 21 czerwca zaczyna bombardowanie miasta przy użyciu artylerii i rozpoczyna podkopy pod jego mury.

Jak pisze Maria Niemojowska, polska badaczka epopei Stuartów: „Rosen, znany głównie z okrucieństwa, nie potrafił się uporać z tym pozornie łatwym zadaniem, zwłaszcza że w liście do obrońców Derry obiecywał obleżonym, że po zdobyciu miasta wybiję ich do nogi”.

W deklaracji Rosena wysłanej ostatniego dnia czerwca mieszkańcom twierdzy grożono: „Jeśli garnizon nie skapituje do szóstej po południu następnego dnia, to pod mury zostaną spędzeni protestanci z okolicy, zarówno ci mający dotąd gwarancje bezpieczeństwa, jak i ci, którzy ich nie mają. Jeśli do tego czasu bramy miasta nie staną otworem, to na ich szyje spadnie miecz bez zważania na wiek i płeć”. Rosen usprawiedliwiał się, że jest zmuszony podjąć takie kroki, gdyż nie widzi innego sposobu zmuszenia garnizonu do poddania się.

Biorąc pod uwagę sprzeciw Jakuba wobec takich drakońskich metod, w osobnym liście zapowiadała, że jeśli jego rozkazy zostaną zakwestionowane,

wówczas zrzecze się dowodzenia nad oblężeniem miasta.

Żołnierze jakobicy spędzili protestantów z okolicznych wsi i zamknęli ich w zimnych kościołach bez światła. Wiele kobiet i dzieci zmarło. Oburzeni mieszkańcy okolic Derry znaleźli sposób, by zaalarmować anglikańskiego biskupa Meath, Anthony'ego Doppinga, by ten powiadomił o metodach Rosena króla Jakuba.

Ten szybko zrozumiał, jak fatalne propagandowe znaczenie ma taka demonstracja, i rozwścieczony określił Rosena mianem „barbarous Muscivite” (barbarzyński Moskwicin). Jakub formalnie przedstawiał się jako prawowity władca, który jest gotowy być ojcem zarówno katolików, jak i wyznawców reformacji.

Król przeprosił bp. Doppinga i zapewnił, że natychmiast wyśle rozkazy mające zapobiec egzekucji protestantów. Przepraszając za Rosena, zaznaczył, że „takie metody są obce Irlandczykom, choć niestety nie są czymś rzadkim w innych krajach”.

Tyle że mleko już się rozlało. Wieść o groźbie masakry wyznawców reformacji pod murami Derry poszła w świat, mobilizując angielskich dowódców do jak najszybszego dotarcia z posiłkami do miasta drogą morską.

Na miejsce Rosena wysłano innego dowódcę, ale było już za późno.

28 lipca posiłki od Wilhelma dotarły do obrońców po 107 dniach oblężenia i głodu. Statki przywoziły żywność i obrońcy Derry mogli wreszcie najeść się do syta.

Widząc sukces odsieczy, jakobicy uznali swoją porażkę i w nocy z 31 lipca na 1 sierpnia opuścili po cichu przedpolą twierdzy. I tak jednak całą kampanią Jakuba II zachwiała już wcześniej rozstrzygająca porażka z siłami Wilhelma Orańskiego w bitwie pod Boyne 11 lipca 1690 r.

Chichotem losu było to, że na czele sił Wilhelma, które przedostały się do Ulsteru, stał Friedrich Hermann von Schönberg, notabene też Niemiec, luteranin i były dowódca Ludwika XIV, który jednak odszedł ze służby Francji po odwołaniu edyktu nantejskiego.

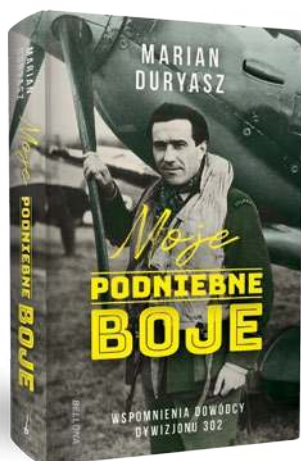
Walki trwały jeszcze do 1691 r., ale król Jakub wrócił do Francji już po klęsce pod Boyne. Niedługo potem do Francji wrócił Conrad de Rosen.

Pod rozkazami Ludwika XIV walczył w różnych wojnach do początku XVIII w. W 1703 r. otrzymał tytuł marszałka Francji. Zmarł w 1715 r. w alzackim Bollwiller, stolicy księstwa, które otrzymał za swe zasługi dla przybranej ojczyzny. Pamięć o nim szybko zbladła wśród wielu innych barwnych postaci epoki Króla Słońce.

Za to protestancki Ulster do dziś pamięta o męstwie obrony Derry. Grudniowy akt odwagi 13 praktykantów i sierpniowa data złamania blokady są czczone manifestacjami oranżystów. W 1969 r. kolejna parada z tej okazji stała się okazją do ciężkich starć między wyznawcami reformacji i katolikami. A mury dzielnic protestanckich w Derry zdobiją murale opiewające oblężenie miasta w latach 1689–1690. Ta pamięć wciąż aż kipi namiętnościami.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



WSPOMNIENIA DOWÓDCY DYWIZJONU 302

BELLONA

KSIEGARNIE Świat Książki

swiatksiazki.pl

Ciała Benito Mussoliniego i jego kochanki Clary Petacci wśród powieszonych po egzekucji; Mediolan, kwiecień 1945 r.

FOT. GETTY IMAGES



Lata 40. XX w. / Tragedia podzielonej Italii

Włoska jatka domowa

Wycofanie Królestwa Italii z wojny 9 września 1943 r. wywołało w kraju głębokie podziały wewnętrzne i doprowadziło do wybuchu we Włoszech wojny domowej. Zanim do niej doszło, 12 września 1943 r., podczas operacji o kryptonimie Eiche, niemieccy spadochroniarze mjr. Haralda Morsa z Fallschirmjäger-

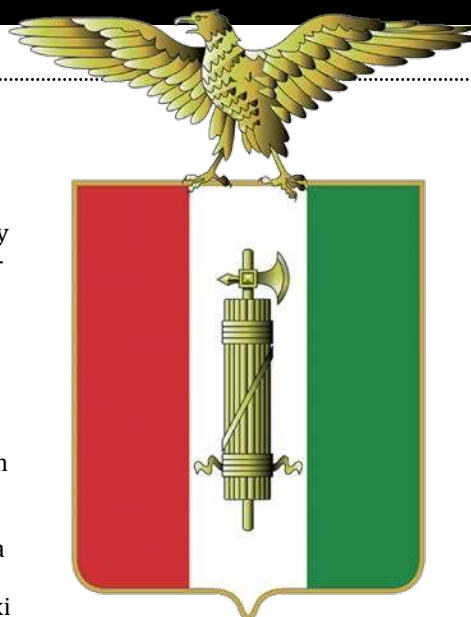


Arkadiusz Karbowski

/ Podczas komunistycznych samosądów zginęło po wojnie ponad 18 tys. Włochów

-Lehr-Bataillon (do oddziału dołączono 16 esesmanów z SS-Hauptsturmführerem Otto Skorzenym na czele, którzy

poza statystowaniem nie odegrali w operacji żadnej roli) uwolnili, przetrzymywanego w swoistym areszcie



Herb Włoskiej Republiki Socjalnej FOT. ARCHIWUM

domowym w hotelu w Gran Sasso, Benito Mussoliniego. Uczynili to strzelcy spadochronowi z 1. Kompanii dowodzonej przez por. Georga von Berlepscha.

Niedługo po odzyskaniu wolności Duce spotkał się z Adolfem Hitlerem. Oznajmił mu, że nie zamierza już uczestniczyć w życiu publicznym Włoch, i dopiero presja kanclerza spowodowała, iż zmienił zdanie. Państwo o ograniczonym statusie suwerenności, będące rodzajem protektoratu, w którym rozpoczął swe rządy, przyjęło nazwę Włoska Republika Socjalna (Repubblica Sociale Italiana), ale potocznie określano je mianem Republiki Salo (nazwa pochodziła od miejscowości, gdzie przybywał rząd). RSI zajmowała obszar północnych Włoch o wielkości 126 000 tys. km, a zamieszkiwało ją 26 mln obywateli. Terytorium państwa ulegało systematycznemu kurczeniu się, w miarę militarnych sukcesów wojsk alianckich.

W trakcie budowania zrębów nowej państwowości ważnym elementem było określenie jego ideowej tożsamości. Zaistniały konflikt między RSI a rządem Królestwa Włoch, kierowanym przez marszałka Pietra Badoglię, a wspieranym przez monarchę skłonił Mussoliniego do odwołania się do lewicowych republikańskich i antymonarchistycznych elementów ideowych, na których opierał się ruch faszystowski w pierwszych latach swego istnienia. Próby wcielenia w życie socjalistycznych konceptów gospodarczych zostały zrealizowane tylko w niewielkim zakresie. Rządy w RSI opierały się głównie na strukturach Republikańskiej Partii Faszystowskiej (Partito Fascista Repubblicano). Na jej czele stanął były minister kultury Włoch z lat 1939–1943 Alessandro Pavolini.

O ile wspomniana lewicowa ewolucja ruchu faszystowskiego okazała się w sferze praktycznej w pewnej mierze fikcją, o tyle rzeczywistością stała się zbrojna konfrontacja z włoskim ruchem oporu skupionym w ukonstytuowanym 9 września 1943 r. CLN – Komitecie Wyzwolenia Narodowego (Comitato di Liberazione Nazionale) – mającym swą siedzibę w Rzymie, oraz utworzonym nieco później w lutym 1944 r. Komitecie Wyzwolenia Narodowego Północnych Włoch (Comitato di Liberazione Nazionale Alta Italia) rezydującym w Mediolanie. Skład kierowniczych gremiów CLN/CLNI stanowili przedstawiciele Komuni-

stycznej Partii Włoch, Chrześcijańskiej Demokracji, Włoskiej Partii Socjalistycznej, Włoskiej Partii Pracy, Partii Czynu, Włoskiej Partii Liberalnej. Każda z tych struktur politycznych utworzyła w ramach CLN własne grupy bojowe i ugrupowania partyzanckie.

Komuniści kontra Niemcy

Najbardziej aktywni i radykalni prący do walki zbrojnej z RSI byli komuniści. W miastach utworzyli oni sławne GAP – Grupy Akcji Patriotycznej (Gruppi di Azione Patriottica). Gapiści rozpoczęli swą działalność, inicjując szereg akcji terrorystycznych skierowanych początkowo głównie przeciw włoskim faszystom. Pierwszą ofiarą „czerwonych” zabójców padł zamordowany 13 listopada 1943 r. na drodze pomiędzy Ferrarą a Casamarą komisarz federalny PFR w Ferrarze Igino Ghisellini. Dwa dni później w odwecie włoscy faszyci zabili w mieście 11 osób uważanych za przeciwników (wśród nich było pięciu Żydów). Spirala przemocy zaczęła stopniowo się nakręcać.

W jej tryby wpadł zabity przez komunistycznych terrorystów Aldo Resega, uczestnik Marszu na Rzym, podpułkownik armii włoskiej, służący w formacjach Ochotniczej Milicji Bezpieczeństwa Narodowego (Milizia Volontaria per la Sicurezza Nazionale). We wrześniu 1943 r. Resega mianowany został komisarzem

federalnym PFR w Mediolanie. Należał do grona umiarkowanych przywódców faszystowskich, sprzeciwiających się akcjom odwetowym, które uważał za prowadzące do eskalacji wojny domowej. 18 grudnia 1943 r. poruszającego się bez broni i ochrony Resegę zamordowało komando gapistów.

Z ich ręki śmierć poniósł również znany faszystowski intelektualista, filozof, były minister edukacji, członek Wielkiej Rady Faszystowskiej, prezes Narodowego Instytutu Kultury Faszystowskie Giovanni Gentile. Po powrocie Mussoliniego do władzy we wrześniu i powstaniu Republiki Salo Gentile poparł RSI. Publiczne zaangażowanie na rzecz Republiki Salo spowodowało, że otrzymał kilka listów z pogrózkami. Niestety, profesor odrzucił rządową propozycję przydzielenia stałej ochrony. Niedługo potem – 15 kwietnia 1944 r. – jego życie przerwały śmiertelne strzały, oddane przez członka GAP Bruno Fanciullacciego.

Poza miejskimi grupami bojowymi dużą aktywność bojową wykazywały oddziały partyzanckie. Okresem ich szczególnie intensywnego rozwoju była wiosna 1944 r. Ataki na kolumny transportowe, zamachy, zasadzki, akcje sabotażowe spowodowały, że tereny zaplecza frontowego stały się obszarami, po których trudno było bezpiecznie się poruszać. Zainicjowana przez komunistów, ale i cały CLN, wojna partyzancka zaczęła nabierać coraz większego rozmachu. Podejmowane przez ruch oporu działania wymierzone były nie tylko we włoskich faszystów, lecz także Niemców. Aby przywrócić porządek i bezpieczeństwo na terenach zaplecza, ci ostatni zdecydowali się na zastosowanie brutalnych represji. Już konsekwencje zamachu dokonanego na 11. Kompanię Pułku SS i Policji „Bozen” przez gapistów w Rzymie na Via Rassa, w postaci rozstrzelania 335 zakładników w Grotach Ardeatyńskich, świadczyła o tym, że bezwzględne reakcje na działania ruchu oporu będą raczej ze strony Niemców standardem postępowania.

Operacje antypartyzanckie prowadzone pomiędzy 4 a 11 marca 1944 r. w północno-zachodnich Alpach w dolinie Lanzo przez 15. Pułk SS i Policji doprowadziły do zabicia w walce 362 partyzantów i wzięcia do niewoli 97 (w przedstawianych meldunkach jako partyzantów traktowano najprawdopodobniej także

osoby cywilne zabite podczas operacji). Ten sam oddział wraz z włoskim oddziałem Waffen-Miliz (na podstawie tej jednostki w przyszłości powstanie złożona z Włochów 29. Dywizja Grenadierów SS „Italia”) w dolinie Pellice w ramach operacji „Sperber” prowadzonej w dniach 21–31 marca 1944 r. zlikwidował 246 partyzantów, a 143 wziął do niewoli. Z kolei podczas realizowanej w dniach 21 marca–5 kwietnia operacji „Wien” pododdziały 12. Pułku SS i Policji oraz 15. Pułku SS i Policji wraz 617. Batalionem Wschodnim (od lipca 1944 r. oficjalnie nazywany rosyjskim) unicestwiły 84 partyzantów, a 384 wzięły do niewoli. Postępujący napływ ochotników do szeregów partyzanckich uświadomił Wyższemu Dowódcy SS i Policji we Włoszech SS-Obergruppenführerowi Karlowi Wolfowi, że oddziały policyjne są za słabe do takich operacji. Dlatego do walk zaangażowano jednostki wojskowe.

17 czerwca 1944 r. dowódca Grupy Armii C we Włoszech, któremu podlegały stacjonujące jednostki Wehrmachtu, feldmarszałek Albert Kesselring wydał rozkaz nakazujący prowadzenie walk z partyzantami „wszelkimi dostępnymi środkami i z najwyższą surowością”. Te wytyczne postanowili nawet nieco przesadnie wypełnić dowódcy nie tylko wojskowi, lecz także policyjni.

W operacjach antypartyzanckich wzięły udział m.in. pododdziały 114. Dywizji Strzelców, Pancerno-Spadochronowej Dywizji „Hermann Göring” i 16. Dywizji Grenadierów Pancernych SS „Reichsführer SS”. Najbardziej dramatyczne konsekwencje, szczególnie dla włoskiej ludności cywilnej, pociągnęło za sobą użycie tej ostatniej jednostki. Żołnierze z pododdziałów dywizji, dowodzeni przez jednokrókiego Austriaka (stracił rękę na froncie wschodnim), weterana 3. Dywizji Pancernych SS „Totenkopf” SS-Sturmbannführera Waltera Redera, dopuścili się podczas operacji prowadzonej w dniach 29 września–5 października 1944 r., a skierowanej przeciwko niezależnej, aczkolwiek współpracującej z komunistami brygadzie „Stella Rosa”, jednej z największych zbrodni wojennych (Reder po wojnie skazany został za tę zbrodnię na karę dożywotniego pozbawienia wolności). W wyniku ich działań śmierć poniosło 718 osób (według włoskich obliczeń zabito 770 osób). W tej liczbie znajdowało się 216 partyzantów (część z nich została



ujęta i rozstrzelana), na czele z dowódcą brygady Mario Musolesim „Lupo”. Resztę zabitych stanowili pomordowani cywile. Straty niemieckie wyniosły zaledwie siedmiu zabitych i 29 rannych.

Faszyści obok Niemców

Tego typu operacje antypartyzanckie, połączone z pacyfikacjami, Niemcy nie zawsze przeprowadzali samodzielnie. Często uczestniczyły w nich także oddziały włoskie. Na przykład w zbrodni dokonanej w Vinca i okolicy, w dniach 24–27 sierpnia 1944 r., gdzie zginęły 174 osoby (w tym ponad 110 starców, dzieci i kobiet), brała udział 40. Brigade Nere „Vittorio Ricciarelli” dowodzona przez płk. Gulię Ludovici.

Zasadniczą strukturą, współdziałającą z Niemcami w zapewnieniu bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego RSI, była oczywiście Narodowa Armia Republikańska ENR (Esercito Nazionale Repubblicano). ENR podlegała rozkazom ministra sił zbrojnych, marszałka Rodolfo Grazianego, będącego zwolennikiem budowy aideologicznych, niepartyjnych, profesjonalnych struktur wojskowych. Trzon armii stanowiły cztery dywizje:

1. Dywizja Bersalierów „Italia” (1 Bersaglieri Divisione „Italia”), 2. Dywizja Grenadierów „Littorio” (2 Divisione Granatieri „Littorio”), 3. Dywizja Piechoty Morskiej „San Marco” (3 Divisione Fanteria di Marina „San Marco”), 4. Dywizja Alpejska „Monterosa” (4 Divisione Alpina „Monterosa”). Obok nich podobną wysoką wartością bojową charakteryzowały się oddziały autonomiczne, ale walczącej Decima MAS (Decima Flottiglia MAS). Wymienione wyżej jednostki nie tylko zwalczały partyzantkę, lecz także uczestniczyły w zmaganiach frontowych.

Siłą wspomagającą ENR w walce z rebeliantami była Narodowa Gwardia Republikańska – GNR (Guardia Nazionale Repubblicana), stanowiąca początkowo strukturę policyjną, od 14 sierpnia 1944 r. po reorganizacji włączoną do armii republikańskiej. W lipcu 1944 r. utworzona została nowa antypartyzancka formacja zbrojna „Czarne Brygady” (Brigate Nere). Ich zadaniem było umacnianie porządku i bezpieczeństwa publicznego. Mieli w nich służyć wszyscy członkowie partii od 16. do 60. roku życia. Poziom umiejętności bojowych członków „Czarnych Brygad” był na ogół bardzo mizerny, co czasami brygadowcy rekompensowali sobie udziałem w zbrodniach przeciwko ludności cywilnej. Nieco inaczej sytuacja wyglądała w Autonomicznym Legionie

Zmotoryzowanym Ettore Mutti (Legione Autonoma Mobile Ettore Muti). Jednostka ta dała się poznać jako bitna, ale i bezwzględna formacja policyjna. Jej członkowie dokonali 10 sierpnia 1944 r. na Piazzale Loreto w Mediolanie na rozkaz SS-Hauptsturmführera Theodora Savacke egzekucji odwetowej na 15 aresztowanych partyzantach.

Partyzanckie mordy

Zimą przełomu lat 1944/1945 ruch oporu ograniczył swoją aktywność. W kwietniu 1945 r., widząc nadchodzące zwycięstwo aliantów, CLNAI wezwał do ogólnonarodowego powstania. Nieuchronność nadciągającej klęski dostrzegł Mussolini, który podjął za pośrednictwem mediolańskiego kard. Alfredo Schustera rozmowy z CLNAI. Odbyte 25 kwietnia 1945 r. spotkanie się z gen. Rafaellem Cardoną, stojącym na czele delegacji komitetu, nie doprowadziło do porozumienia w sprawie bezwarunkowej kapitulacji RSI. Duce, wiedząc, że podpisując ją, znajdzie się na łasce swych przeciwników, postanowił ratować swe życie i opuścić Włochy pod osłoną jednego z oddziałów niemieckiej artylerii przeciwlotniczej.

Rano 27 kwietnia 1945 r. w miejscowości Musse przejeżdżających artylerzystów zatrzymali partyzanci z 52. Brygady Garibaldiego „Luigi Clerici”. Komuniści zdecydowali się przepuścić tylko Niemców, natomiast jadących z nimi włoskich faszystów zmuszono do poddania się. W ręce „czerwonych”, pomimo przebrania się w mundur niemieckiego kaprała, wpadł rozpoznany przez jednego z partyzantów Mussolini. Szefa państwa wraz z kochanką Clarą Petacci przewieziono do miejscowości Dongo. Stamtąd zabrano ich do Giulino di Mezzegra, gdzie przy murze budynku Villa Belmonte, 28 kwietnia 1945 r., zostali oboje o godz. 16.10 rozstrzelani na polecenie CLNAI przez płk. Waltera Audisio.

Oprócz Mussoliniego rozstrzelano w Dongo tego samego dnia 15 wysokich rangą hierarchów RSI – m.in. lidera PFR i dowódcę „Czarnych Brygad” Alessandro Pavoliniego, ministra spraw

wewnętrznych Paolo Zerbino, ministra kultury Fernando Mezzasomę, ministra komunikacji Pisanto Liveraniego oraz kpt. Pietro Calistriego, pilota sił powietrznych RSI, błędnie uważanego za osobistego pilota Mussoliniego. Zwłoki zamordowanych przewieziono do Mediolanu i położono na stacji benzynowej Piazzale Loreto, gdzie były beczeszczone, po czym ku uciesze motłochu w geście jakiegoś całkowitego zezwierzczenia powieszono je głowami w dół. Ostatni akt dramatu w okolicach wspomnianej stacji stanowiła egzekucja Achille Starce, byłego sekretarza generalnego PNF. Zabito go, choć w RSI nie pełnił żadnych funkcji publicznych. Dzień po masakrze przywódców Republiki Salò 29 kwietnia 1945 r. płk Victor von Schweinitz i SS-Sturmbannführer Eugen Wenner podpisali w Casercie, w imieniu niemieckich sił zbrojnych we Włoszech i sił zbrojnych Republiki Salò, akt kapitulacji.

Pod koniec działań wojennych i po ich zakończeniu wielu Włochów padło ofiarami samosądów, inicjowanych głównie przez włoskich komunistów. W nocy z 27 na 28 kwietnia 1945 r. na cmentarzu w Rovecie partyzanci z 53. Brygady Garibaldi „Tredici Martiri” zamordowali 43 wziętych do niewoli żołnierzy kompanii por. Roberto Pazanellego z 1. Dywizji Szturmowej M „Tagliamento”. Jednym z zabitych był syn siostry Mussoliniego Edvige, 20-letni Giuseppe Mancini. Do nie mniej tragicznych zdarzeń doszło w nocy z 6 na 7 lipca 1945 r. w Schio. Wtedy dwaj członkowie Brygady Garibaldiego „Ateo Garemi” Igino Piva i Valentino Bortoloso wdarli się na czele tłumu zwolenników do więzienia i dokonali zabójstwa 54 osób (w tym kilku kobiet). Tej samej nocy w pobliżu miejscowości Giovecca koło Raveny z rąk komunistycznych oprawców życie straciło trzech braci Manzoni: Giacomo, Luigi, Reginaldo, będących wła-

ścicielami ziemskimi. W napadzie śmierć poniosły również ich matka, Beatrice Manzoni, oraz pokojówka. Warto dodać, że w prowincji Ravena zginęło po wojnie aż 103 właścicieli ziemskich.

Kolejna makabryczna zbrodnia dokonana została nieco wcześniej, bo 4 maja 1945 r. W nocy ok. godz. 23 do więzienia w Imperii wkroczyła grupa byłych komunistycznych partyzantów, którzy wywieźli ciężarówkami 26 faszystowskich więźniów, a następnie rozstrzelali ich w Costa d'Oneglia. Wśród zamordowanych był poseł do faszystowskiego parlamentu z lat 1929–1934 Petrò Silvio. Rozpoczęty przez komunistów w Costa d'Oneglia krwawy taniec śmierci zakończył się 18 czerwca 1945 r. Tego dnia w Oliveto di Imperia zostały porwane, zgwałcone i zamordowane dwie kobiety w czasie wojny służące w faszystowskiej Pomocniczej Służbie Kobiet – SAP (Servizio Ausiliario Femminile) Giovanna Senni i Lidia Bosia. Obie były podejrzewane o posiadanie wiedzy o inicjatorach majowej masakry. Po wojnie podobny los spotkał ok. 300 weteranek z SAP (tylko 26 zginęło podczas wojny).

W ciągu dwóch lat w ramach epuracji, czyli powojennej czystki, zginęło 18 087 Włochów. Zbrodnicze mordy nie zakończyły się w 1946 r. Kontynuowano je także w latach późniejszych, choć nosiły już one znamiona terrorku indywidualnego. Nie kierowano go tylko wobec faszystów, ale wszystkich tych, którzy z różnych powodów byli nastawieni krytycznie do ruchu komunistycznego. Zabijano działaczy chadeckich, dziennikarzy, byłych niekomunistycznych partyzantów. Mordercy czasami umykali sprawiedliwości, salwując się ucieczką do krajów komunistycznych, głównie Czechosłowacji. Fala zbrodni zaczęła wygasać zasadniczo dopiero po 1948 r. Weterani RSI, którym

udało się przeżyć powojenną eksterminację, przez lata traktowani byli jako kombatan ci drugiej kategorii. A przecież – jak słusznie powiedział były uczestnik ruchu oporu i prezydent Włoch Carlo Azeglio Ciampi – „Chłopcy z Salò także kochali Włochy. [...] Jedność była wówczas uczuciem ożywiającym wielu młodych ludzi, którzy – mimo że wybrali różne drogi – również wierzyli, że służą z honorem własnej ojczyźnie”.



Niemiecki gen. Kurt Mälzer i żołnierze Włoskiej Republiki Socjalnej

FOT. BUNDESARCHIV BILD

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Kadr z filmu „Psy wojny” FOT. MAT. PRASOWE

1973 i 2004 / Film według książki Fredericka Forsyth

Psy wojny



Jakub Ostromięcki

/ Syn brytyjskiej premier Mark Thatcher, prowadzący rozległe interesy w RPA, organizował zamach stanu w Gwinei Równikowej

Książka Fredericka Forsyth, „Psy wojny”, na podstawie której John Irvin nakręcił w 1980 r. film o tym samym tytule, została uznana za swoisty podręcznik przeprowadzenia zamachu stanu w małym państewku afrykańskim. Nic dziwnego. Forsyth, autor sensacyjnych i szpiegowskich bestsellerów, a od końca

lat 60. współpracownik MI6, w 1972 r. brał udział w przygotowaniach do zamachu stanu w Gwinei Równikowej, która w powieści i filmie występuje pod fikcyjną nazwą Zangaro.

Forsythowska „instrukcja” nie zawierała jednak zaleceń, jak utajnić takie przedsięwzięcie. Prawdziwy zamach planowany na 1973 r. okazał się fiaskiem właśnie z powodu dekonspiracji wśród przygotowujących go najemników i przedsiębiorców. Niemal 30 lat później zupełnie inni ludzie spróbowali szczęścia ponownie – dokładnie w myśl planu opisanego w książce i filmie. Jednym z jego organizatorów był Mark Thatcher, syn Żelaznej Damy we własnej osobie.

Żołnierze fortuny

W filmie do nowojorskiego mieszkania Jamesa Shanona, amerykańskiego najemnika irlandzkiego pochodzenia, przychodzi przedstawiciel wielkiej firmy wydo-

bywczej. Oferuje zlecenie: ludzie Shanona mają za grube pieniądze przeprowadzić zamach stanu w Zangaro, obalić rządzącego tam dyktatora Kimbę i w ten sposób wyrąbać drogę do prezydenckiego fotela krewnemu prezydentowi, dużo bardziej skorymu do współpracy z firmami z branży wydobywczej. Shanon, udając ornitologa, jedzie do Zangaro, by rozpoznać sytuację. Jako że na jednego turystę przypada tam kilku donosicieli i agentów bezpieczeństwa, zostaje zdekonspirowany, poddany torturom i wydany z kraju. Nie rezygnuje jednak z zadania, montuje wierną sobie ekipę białych najemników i wzmocnioną elitą armii Zangaro, która ma dosyć Kimby, płynie wynajętym statkiem ku brzegom Afryki.

W filmie przedstawiciel naftowego giganta w dość obcesowy sposób wprasza się do mieszkania Shanona niczym szef mafii do swojego „żołnierza”. Jest to oczywista fabularyzacja. Kontakty takie nawiązywano w dużo bardziej cywilizowany sposób, z reguły poprzez wspólnych znajomych, gdzieś na neutralnym gruncie.

Książka i film miały osiągnąć jak największy zysk, toteż wśród głównych bohaterów przeważają Amerykanie. Żołnierze ze „złotej ery” XX-wiecznego najemnictwa rekrutowali się jednak w większości spośród białych z RPA i Rodzji, czyli z Afrykanerów lub potomków brytyjskich kolonistów. Z racji przeszłości kolonialnej sporo w tym gronie było też Belgów, Francuzów i oczywiście rodowitych Brytyjczyków oraz Irlandczyków. Władze Korony Brytyjskiej były łaskawe dla swoich obywateli służących w byłych afrykańskich koloniach. Waszyngton był w tej kwestii dużo mniej wyrozumiały.

Postać Kimby nawiązuje do dyktatora Gwinei Równikowej Francisca Macías Nguemy. Filmowy kacyk stosuje wprawdzie krwawe metody rządzenia, w kraju panują gospodarcza ruina i paraliż podstawowych służb publicznych, ale gdy Kimba zostaje osaczony w swoim pałacu przez ludzi Shanona, widzimy w nim mniej zbrodniarza, a bardziej drobnego aferzystę próbującego wykupić się grubymi plikami dolarów. Prawdziwy Nguema był postacią po stokroć straszniejszą niż fikcyjny Kimba.

Gwinea uzyskała niepodległość od Hiszpanii pod koniec 1968 r. Martin Meredith w słynnym dziele „Afryka: pół wieku niepodległości” pisze o Nguemie, że „był to polityk o skromnym wykształceniu i niezbyt bystrym umyśle”. Jeszcze „za Hiszpana” trzy razy oblevał egzamin na kolonialnego urzędnika państwowego, a za czwartym zdał tylko dzięki pomocy swoich kolonialnych opiekunów. Zrodziło to w przyszłym tyranie gigantyczne kompleksy, czyniąc z niego małą, pamiętliwą i mściwą kreaturę. Jego rządy stały się pasmem krwawych mordów motywowanych nie tyle ideologicznie, ile zwykłą chęcią szerzenia strachu i krwawą zemstą na dawnych kolonizatorach i ludziach lepiej od niego wykształconych – niezależnie od koloru skóry.

Już po kilku tygodniach od objęcia władzy przez Macías Nguemę z kraju uciekła więk-

szość mieszkających tam 7 tys. Hiszpanów – przedsiębiorców, nauczycieli, specjalistów, urzędników. Spośród kielkujących dopiero murzyńskich elit Nguema większość zgładził jako „intelektualistów”, pozostawiając kraj w rękach analfabetów i sadystów. W wyniku tych rzezi w kraju liczącym 300 tys. mieszkańców przetrwało raptem kilku absolwentów techników. Gwineę spotkała prawdziwa hekatomba – zamordowano 50 tys. ludzi.

Nawet wyżsi urzędnicy nie mogli czuć się bezpiecznie. Minister spraw zagranicznych Ndongo został na śmierć pobity kolbami karabinów za to, że chciał powstrzymać falę morderstw na Hiszpanach. Dyrektora tamtejszego GUSU pokrojono na kawałki, bo podał dane, które nie spodobały się prezydentowi.

Nguema był nieodrodnym synem swojej epoki – po dokonaniu czystek najwyższe stanowiska państwowe zarezerwowane były dla jego krewnych. Biada kobietom, które wpadły w oko dyktatorowi – nieszczęśnice zmuszone były do dzielenia z nim łoża, a ich mężowie zabijani.

Gwinejczycy drżeli przed prezydentem nie tylko z powodu jego brutalności. Wielu wierzyło, że jest potężnym czarownikiem. Nawet po jego obaleniu miejscowi żołnierze wzbraniali się przed sformowaniem plutonu egzekucyjnego, bojąc się, że zabity dyktator będzie mścił się na nich jako upiór. Egzekucję przeprowadzili więc marokańscy najemnicy w gwinejskiej armii.

Nguema zamknął biblioteki i zakazał wydawania prasy. Zwalczał wszelkie ślady kultury europejskiej. Zrazu tolerował chrześcijan pod warunkiem, że w mo-

dlitwach będą odwołania do jego osoby, co Irvin uchwycił w jednej ze scen filmu. Wkrótce jednak zakazane były nawet msze. Wypędzono też księży. Działo tylko kilka targowisk. Budżet państwa był prywatnym skarbcem Nguemy, a jako że jego rządy szybko doprowadziły kraj do ruiny, dyktator reperował finanse państwa, żądając okupu za porwanych cudzoziemców. Tyran zaczął zdradzać objawy choroby psychicznej. Prowadził „rozmowy” z dawno zlikwidowanymi przez siebie politykami i urzędnikami.

Gwinea Równikowa jest też chyba jedynym państwem w historii, którego część budżetu państwa... fizycznie zginęła. Nguema trzymał bowiem państwowe pieniądze, w gotówce, w workach, które przeciekały na tropikalnym deszczu ciśnięte koło chaty w wiosce, która stała się jego siedzibą. Tego mieli już dosyć najbliżsi poplecznicy dyktatora. Jego siostrzeniec August Obiang Nguema obalił wujka w 1979 r. – sześć lat po tym, jak próbowali tego dokonać ludzie, z którymi kontaktował się Forsyth. Obiang nie potrzebował jednak do tego europejskich najemników.

Baza w Gwinei

Inspirowanie zamachu w Gwinei Równikowej przez Forsytha jako pierwsza opisała gazeta „Sunday Times” w 1978 r. Rewelacje te opierały się w dużej części na pamiętnikach byłego najemnika Alana Murphy’ego, który w połowie lat 70. zszedł na złą drogę, a podczas policyjnej obławy w Londynie popełnił samobójstwo.

Podczas pracy dla BBC w walczącej o niepodległość Biafrze Forsyth bardzo zżył się z ludźmi, których opisywał w swoich reportażach. Secesjoniści przegrali, ale dziennikarz i autor bestsellerów chciał znaleźć dla nich bazę, skąd mogliby kontynuować swoją walkę. Stwierdził, że znakomicie nadaje się do tego Gwinea Równikowa. Trzeba by tylko dokonać tam zamachu stanu i obalić okrutnego Nguemę. Nic prostszego – Forsyth miał na ten cel wyłożyć ponad 200 tys. dol.



Francisco Macías Nguema

FOT. ARCHIWUM

Skontaktował się z byłym urzędnikiem bankowym, niejakim Alexandrem Gayem, który zatrudnił do wykonania zadania weterana wojen w Kongu i Biafrze – Alana Murphy’ego – wraz z 10 innymi białymi najemnikami. Miało ich wspierać 50 białrańskich weteranów, którzy czekali w Dahomeju (dziś Benin). Pod koniec 1972 r. Gay zamówił u czarnorynkowych handlarzy z Hamburga broń oraz wynajął mały hiszpański statek. Przedsięwzięcie stało się jednak w obliczu klęski już w Hiszpanii. Przekupiony wcześniej urzędnik mający wydać certyfikat na eksport broni dostał, jak widać, za małą łapówkę i jej wywóz był niemożliwy. Dodatkowo najemnicy w dość niefrasobliwy sposób przechadzali się po pokładzie statku w mundurach. Wszyscy zostali aresztowani na Wyspach Kanaryjskich, zanim padł pierwszy strzał w tej fatalnej operacji.

Wówczas Forsyth zaprzeczył swojemu udziałowi w zamachu, ale 18 lat później w wywiadach dla tej samej gazety był już bardziej wylewny: „Nie pamiętam już teraz, czy wpadłem na ten pomysł pierwszy i siedzący obok mnie najemnicy go podchwycili, czy też oni sami na to wpadli”.

W rozmowie z dziennikarzem Adamem Robertsem Forsyth stwierdził bardziej stanowczo: „Pierwotnie sam postawiłem sobie pytanie: Czy grupa dobrze opłaconych najemników dałaby radę obalić rządy w danym państwie? Pomyślałem o Fernando Po [część Gwinei Równikowej – przyp. J.O.] i wszystkich okropieństwach, które tam się działy. Stwierdziłem, że to mogłoby się udać. Pod warunkiem, że uderzyłbyś na pałac o świcie, miałbyś do natychmiastowej dyspozycji prezydenta – zmiennika i ogłosiłbyś, że to był zamach stanu przeprowadzony od wewnątrz [...]. Zaczęłem więc badać świat czarnorynkowego handlu bronią”.

Forsyth twierdził, że całe jego zaangażowanie było jedynie mistyfikacją, która jednak zaczęła rozwijać się w dość niebezpieczny sposób. „Jeśli o mnie chodzi, to całe pieniądze, jakie w to włożyłem, miały dać mi potrzebne informacje do

książki. Wycofałem się, jak tylko plan zaczął nabierać kształtów. Do wynajmowanego mieszkania przyniesiono nawet zdjęcia lotnicze wyspy Fernando Po, ale moja noga nigdy nie stanęła na statku, który wiozł najemników. Nigdy nie dotarli do celu i całe szczęście, bo w przeciwnym wypadku zostaliby wyróżnieni”.

Pisarz wykreował sobie legendę pochodzącego z południowej Afryki handlarza bronią. Była to wiarygodna kreacja – Forsyth znał wszak afrykańskie realia, a w Biafrze poznał wielu najemników z RPA. Rozmowy były już dość zaawansowane, ale jeden z niemieckich biznesmenów, siedząc na tylnym fotelu swojej limuzyny, zobaczył w Hamburgu poster reklamujący powieść „Dzień Szakala”, oczywiście z podobizną Forsytha. Pisarza na szczęście nie było wtedy w pobliżu, ale ktoś go uprzedził telefonicznie i Forsyth, chcąc uniknąć nieprzyjemnych sytuacji, natychmiast wyjechał z Niemiec. „Ubrałem się tylko w to, co było pod ręką, zabrałem paszport i wskoczyłem do najbliższego pociągu do

Amsterdamu” – wspomina Forsyth.

Co do rewelacji „Sunday Times” z 1978 r., stwierdzał w wywiadzie dla „Independent”: „Alan Murphy zorientował się dopiero kilka lat po próbie przewrotu, że byłem na spotkaniach w Hamburgu, gdy zobaczył moje zdjęcie na okładce książki. Zanotował ten fakt w swoim pamiętniku, a »Sunday Times« dodało 2 do 2 i wyszło im 1973”. Zamach okazał się kłapą, ale książka napisana na podstawie wiedzy z przygotowań do niego i stworzony potem film – wielkim sukcesem medialnym.

Syn Żelaznej Damy

Nie był to koniec zamieszania wokół Gwinei Równikowej. Od 1979 r. rządził tam krewny obalonego Maciasa – Obiang. Miał konkurenta w osobie żyjącego na wygnaniu w Hiszpanii Severo Moto. Człowiek ten był gotów zaoferować zyskowne kontrakty na wydobycie ropy każdemu, kto pomoże mu przejąć władzę.

Operacja miała kosztować tym razem nie 240 tys. dol., ale prawie 2 mln. Pod koniec 2003 r. Moto znalazł potężnych sprzymierzeńców.

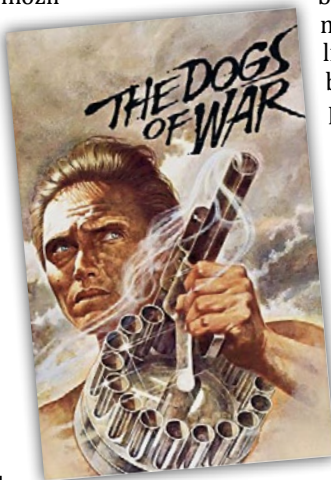
Jednym z nich był Mark Thatcher prowadzący wówczas rozległe interesy w RPA. Stał się on jednym z organizatorów zamachu. Znał dobrze weteranów sił specjalnych z Wielkiej Brytanii i RPA. Dowódcą najemników uczynił więc byłego żołnierza SAS Simona Manna. Jego prawą ręką był Nick du Toit z RPA, który wcześniej ulokował się w Gwinei Równikowej, prowadząc rozpoznanie. Początkowo wszystko szło jak po maśle, ale ktoś zaczął sypać.

Był to Nigel Morgan, były brytyjski żołnierz, przyjaciel Manna, znający sekrety operacji i jednocześnie współpracownik południowoafrykańskiej policji. Twierdził on potem, że uznał plany swojego kolegi za głęboko niemoralne i zdecydował się przekazać swoją wiedzę tamtejszym służbom. Źródłem przecieku był też James Kershaw, księgowy Manna. Zbyt długie języki miało też kilku żołnierzy z grupy du Toita. Na przełomie lat 2003 i 2004 znający ich osobiście były południowoafrykański komandos, a potem doradca Obianga Johan Smith wysłał dwa raporty do Waszyngtonu i Londynu ostrzegające przed zamachem.

Tymczasem w marcu 2004 r. nieświadomi puczyści wyładowali w Zimbabwie, oczekując na broń, którą mieli dostarczyć skorumpowani urzędnicy tamtejszego reżimu. Zamiast ładunku zastali jednak czekające na nich policje i wojsko. Wszyscy zostali aresztowani – część otrzymała status świadków koronnych. To samo spotkało grupę du Toita w Gwinei Równikowej. Mann nie zamierzał kryć swoich mocodawców – przed sąd w południowej Afryce trafił zatem i Mark Thatcher. Skończyło się tak jak zwykle w takich sytuacjach – najemni żołnierze odsiedzieli mniejszą część z wieloletnich wyroków, przy czym więziony w Gwinei du Toit był torturowany i głodzony.

Thatcher spadł zaś niemal na cztery łapy – w RPA dostał wyrok w zawieszeniu i grzywnę 3 mln randów, co wynosiło niecałe 200 tys. dol. – niewiele jak na biznesmena tego formatu. Forsyth triumfował po raz drugi. Jego zmyślony James Shanon w przeciwieństwie do Murphy’ego, Manna i Thatcher’a odniósł całkowity sukces.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Rodzice Jana Kiepury nie byli udanym małżeństwem, a ojciec pod względem wierności małżeńskiej przypominał marynarza. Wprawdzie był właścicielem piekarni i nie miał dziewczyny w każdym porcie, ale za to często odwiedzał młyny i podobno w każdym z nich czekała na niego urodziwa młynareczka. Z tego powodu życie domowe obfitowało w różne zawirowania, a dopiero międzynarodowy sukces syna spowodował ostateczne pogodzenie się jego rodziców.

Kiepura wdał się w ojca, nigdy zresztą nie narzekał na brak powodzenia u kobiet. Zamożny, przystojny, obdarzony nieprawdopodobnym głosem, sprawiał wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie. Zainteresowaniu płci pięknej nie zaszkodziło nawet to, że był dość niski (używał butów o podwyższonym obcasie) i wcześniej zaczął łysieć. Przyzwyczajony do damskich hołdów pisał ironicznie do przyjaciela, że „wszystkie panny z otwartymi rękoma i [...] rozwartymi nóżkami” czekają na niego. Inna sprawa, że uwielbienie pań czasami było niebezpieczne. W Budapeszcie w trakcie koncertu jedna z wielbicielek dostała się na scenę i boleśnie ugryzła go w łydękę.

Tenor przyznawał, że lubi towarzystwo kobiet „bez względu na rodzaj”, co oznaczało, że nie był raczej wybredny. Znajomym tłumaczył, że przy swoim trybie życia nie ma możliwości stabilizacji uczuciowej, a ożenić się może wyłącznie z Polką.

Brunetki, blondynki...

Latem 1928 r. poznał 20-letnią lwówiankę – Zofię Batycką – i zaczął snuć plany matrymonialne. Piękna córka galicyjskiego adwokata bardzo podobała się Kiepurze, a sympatię do siebie poczuł również rodzice obojga. Jednak po kilku miesiącach idylla się skończyła. Kiepura zaprosił Zofię do Krakowa, ona przyjechała wraz z rodzicami. Doktor Batycki był oburzony, że jego córkę sprowadzono do roli kobiety, która „ugania się za mężczyzną”. Coś zepsuło się również w kontaktach między młodymi, do dziewczyny dochodziły też informacje o stylu życia, jaki prowadzi jej wybranek.

XX w. / Życie prywatne sławnego śpiewaka

Jan Kiepura i Marta Eggerth

FOT. NAC



Kiepura od kulis



Sławomir Koper

Tenor przyznawał, że lubi towarzystwo kobiet „bez względu na rodzaj”. Oznaczało to, że nie był raczej wybredny

„Zrozum – pisał doktor Batycki do ojca śpiewaka – że dziewczynie, którą chronilem przez 20 lat przed tzw. światem i świadomością złego, mówi się dzisiaj o Żydówkach wiedeńskich, o muzykantkach berlińskich i rudych Amerykankach i takie obrzydliwości wstrząsają jej istotą, poznaje życie od razu od najohydniejszej strony. I jaki to może mieć wpływ na jej duszę? Kto mi zaręczy, czy ona, otrząskawszy się z takimi rzeczami, sama się zbrudzi? Dotąd jest kryształem, którego nikt nie ważył się poniżyć ani nawet ubliżyć dwuznacznym słowem, a tu teraz okazuje się jej taką nagą prawdę życiową!”

„Naga prawda życiowa” wcale jednak Zofii nie zraziła i dalej oczekiwała na jasną deklarację ze strony Kiepurę. A śpiewak zaczął jej unikać. Nie doszło do skutku spotkanie we Włoszech, Batyccy i Kiepura rozminęli się, a potem tenor odmówił przyjazdu do Wenecji.

„[...] Janek nie zna kobiet z towarzystwa – ubolewał doktor Batycki – i nie wie o tym, że kobiety się szanuje, te zaś damy, które same włożą w jego sypialnię, są ulicznicami bez względu na pochodzenie. [...] Mojem zdaniem Jasiek powinien ożenić się z osobą bardzo bogatą i ze sfer artystycznych albo przynajmniej liberalnych pojęć i przekonań pod względem miłości i traktowania w życiu codziennym, żeby jej nic nie dziwiło. [...] Zośka zaś powinna mieć męża zwykłego zjadacza chleba, ale delikatnego i kulturalnego, a poza domem miłości nieszukającego”.

Zofia Batycka w 1930 r. wygrała konkurs Miss Polonia, a jej urządowanie zakończyło się skandalem. Po roku odmówiła zwrotu korony dla najpiękniejszej, uznając, że królowa piękności może być tylko jedna, wobec czego następny konkurs się nie odbył. Podpisała angaż w USA i wraz z koroną wyjechała za ocean. Kariery w Hollywood jednak nie zrobiła, wyszła za mąż za holenderskiego dyplomata i niemal całe życie spędziła w Kalifornii. Pozostały po niej filmy nakręcone w Polsce, już po zakończeniu związku z Kiepurą. To była naprawdę piękna kobieta...

Kiepura rzeczywiście czasami nie potrafił zachować się wobec „kobiet z towarzystwa”. Zachowała się ciekawa relacja córki Adama Didura-Mary, ukazująca tenora w akcji, niezwracającego uwagi na stan cywilny kobiet ani na ich

rzeczywiste odczucia. Warto ją przytoczyć w dłuższym fragmencie:

„[...] tym razem Janek był jakoś we mnie dziwnie wpatrzony. Co prawda słynna była ta jego słabość do kobiet i to, że żadnej nie przepuści – ale cóż ja? Nigdy nie robiłam nawet najmniejszej aluzji do flirtu [...]. Nagle on zaproponował, abyśmy sobie razem coś zaśpiewali. Męża poznał z siedzącymi na sali brydżystami i zostawił przy kartach. Mnie zaś powiedział, że musimy pojechać na górę po nuty do jego gabinetu. Pojechaliśmy windą, wchodzimy do pokoju, a to nie żaden gabinet, tylko sypialnia, jak w hotelach. Poszłam do otwartego okna, ciekawa tutejszych widoków, i słyszę, że Janek zamyka drzwi na klucz. Odwracam się, a on stoi przede mną z wyciągniętymi rękami i płonącymi oczami! – No nareszcie! Tak bardzo cię pragnę... przecież masz krew



Zofia Batycka FOT. NAC

kreolską [była córką Polaka i Meksykanek – przyp. S.K.], będziesz moją...

W pierwszej chwili zgłupiałam. Ale widzę, że tu nie ma żartów. Więc mówię mu:

– Jak się tylko zbliżysz, zacznę krzyknąć i wyskoczę przez okno! – i byłam gotowa to zrobić. Widocznie ostudziłam jego zapał, bo pewnie bał się skandalu w swojej »Patrii«. Był wściekły, ale otworzył drzwi. Potem zawsze odnosił się do mnie z wielkim szacunkiem.

Ojciec mój też opowiadał, że w czasach, gdy jeździł z Kiepurą [...], też musiał

pilnować Janka, by się nagle gdzieś nie zawieruszył przed występem. Ciągłe dzwoniły telefony, a ojciec, domyślając się celu tych rozmów, czasami musiał przed koncertem trzymać Kiepurę za frak, żeby ten »nie zapomniał się«, bo taki był kochliwy”.

Marta

Kiepura prowadził życie radosnego playboya do czasu, aż trafił na właściwą kobietę. Marta Eggerth była węgierską Żydówką, początkującą aktorką. Otrzymała angaż do niemieckiej wersji jednego z filmów z Kiepurą – „Dla Ciebie śpiewam”. Tak jak wszystkie obrazy śpiewaka film kręcono w trzech wersjach językowych: niemieckiej, angielskiej i francuskiej (Kiepurze towarzyszyły różne partnerki).

„Zdjęcia rozpoczęliśmy po Nowym Roku – wspominała Marta. – Słynny tenor w wolnych chwilach stale był otoczony tłumem wielbicieli, z którymi rozmawiał w różnych językach. Po niemiecku, angielsku, po polsku, włosku i francusku. Mnie, niestety, zupełnie nie dostrzegał. Powiedział nawet, że skoro przyszedł z Opery Wiedeńskiej i La Scali, to nie będzie śpiewał w duecie z tą małą Martą Eggerth. Z tą »małą!«. Byłam wściekła na niego, tym bardziej że wyraźnie faworyzował Daniele Darrieux [aktorkę grającą we francuskiej wersji filmu – przyp. S.K.]. Oczywiście, że byłam zakochana i zazdrosna [...]”.

Kiepura zachowywał się jak wytrawny uwodziciel. Któregoś wieczoru, odprowadzając Martę do domu, wykupił od stojącej na ulicy kwiaciarki wszystkie kwiaty i podarował je dziewczynie. A potem cynicznie stwierdził, że zrobił to tylko dlatego, iż „żał mu było tej starej kobiety, która do późnej nocy nie sprzedawała towaru”. Tłumaczył zakochanej w nim Marcie, że nie może się z nią ożenić, ponieważ nie jest Polką, farbuję włosy i jest aktorką. Dziewczyna miała jednak gotową odpowiedź. Stwierdziła, że przy nim może stać się Polką, a włosy przestanie farbować. Na pewno jednak nie zamierzała porzucić zawodu.

Pobrali się w Katowicach w październiku 1936 r. Uroczystość zakłóciło roztargnienie pana młodego – zapominał obrączek. Kiedy coraz bardziej zdenerwowany przeszukiwał kiesze-

nie garnitur, Marta odłożyła bukiet i z uśmiechem na twarzy wyjęła obrączki z torebki...

Finanse i film

Kiepusa zawsze uważał, że dostarcza towar najwyższej jakości, wobec tego powinien być odpowiednio wynagradzany. A jego dochody rosły w astronomicznym tempie. Za pierwszą audycję dla Polskiego Radia otrzymał 25 zł (w 1925 r.), a cztery lata później zainkasował już 27 tys. zł (ponad 70 tys. euro). „Żądał przyniesienia mu tej sumy w gotówce – wspominał Roman Rudniewski – do apartamentu w hotelu, grożąc, że w przeciwnym wypadku nie wystąpi. Całą sumę, w odcinkach różnej wartości, starannie przeliczył”.

Za koncerty i udział w przedstawieniach operowych pobierał bajeczne honoraria. W 1929 r. płacono mu 1,8 tys. dol. za jeden występ, a dwa lata później kontrakt z Civic Opera House w Chicago opiewał na kwotę 2 tys. dol. za wieczór. Kiepusa był jednak realistą i wiedział, że średnią aktywność dla tenorów oceniano na 18–20 lat. Kiepusa miał jeszcze problemy z chronicznym nieżytem dróg oddechowych. I chociaż wyjątkowo dbał o siebie (nie pił, nie palił, unikał ról forsofnych dla głosu), to zawsze istniała groźba infekcji czy wypadku.

Dochody w branży filmowej znacznie przewyższały kontrakty sceniczne. Kiepusa trafił na właściwy czas. Rewolucja dźwiękowa zakończyła karierę wielu gwiazd kina niemego, pojawiło się zapotrzebowanie na nowych wykonawców. Nowa technologia umożliwiała powstawanie filmów muzycznych, a Kiepusa był przystojny i popularny. Nic dziwnego, że rychno zagościł w przemyśle filmowym.

„Muszę Wam donieść bardzo ważną nowinę – pisał do rodziców – podpisałem kontrakt z Tonfilmem (śpiewający film) i otrzymałem zadek 4.000 dolarów. Zdjęcia zacznę 25 marca w Neapolu, a potem w Londynie. Honorarium, jak pisałem, 45.000 z tego 35.000 gwarantowanych, a ostatnie 10 tysięcy dolarów jako minimum przy sprzedaży do Ameryki: ta suma może dojść do 20 tysięcy dolarów, bo mam 20 procent, czyli razem byłoby 55.000 dolarów”. Faktycznie, były to duże pieniądze, ówczesne 55 tys. dol. to obecnie ok. 930 tys. euro... Po latach



Pensjonat Patria w Krynicy

FOT. RAFAŁ M. SOCHA (AZYMUT)/WIKIPEDIA

filmy z Kiepusą ocenia się jako obrazy o wątpliwej jakości, słabiutkiej fabule, nstawione na zaprezentowanie kilkunastu piosenek. Taki był los innych wokalistów – wystarczy przypomnieć sobie filmy Elvisa Presleya czy Beatlesów. Natomiast niektóre piosenki filmowe Kiepusy („Ninon” czy „Brunetki, blondynki”) stały się światowymi przebojami.

Patria

Już w 1927 r. Kiepusa zakupił parcelę w modnej Krynicy, gdzie zaplanował wybudowanie luksusowego pensjonatu. Nadzór nad inwestycją i prowadzenie placówki powierzył rodzicom. Od razu umilkły kłótnie domowe państwa Kiepusów, oboje wzięli się do pracy. Projekt pensjonatu przygotował młody architekt – Bohdan Pniewski.

Ten również cenil się wysoko. Gdy podał wysokość honorarium, zszokowany tenor zauważył, że za połowę tej sumy sam zrobiłby projekt. Pniewski zachował kamienny spokój i odparł, że za połowę tej sumy to on może co najwyżej zaśnieć. A efekt będzie taki sam jak przygotowanie projektu przez Kiepusę.

Pniewski jednak uczciwie zapracował na swoje wynagrodzenie. Zaprojektował Patrię – najbardziej luksusowy pensjonat w kraju. Budynek posiadał windy, centralne ogrzewanie, luksusową restaurację, był całkowicie radiofonizowany. O resztę zadbał sam właściciel, ściągając najlepszych fachowców (kucharzy nawet z „Daru Pomorza”). O klasie Patrii doskonale świadczy to, że jednym z jej gości była następczyni tronu holenderskiego Julianna, która wraz z mężem przyjechała do Krynicy, by leczyć się z bezpłodności.

Kuracja okazała się wyjątkowo skuteczna, księżniczka urodziła czworo dzieci...

Kiedy wydawało się, że jego kariera sceniczna odchodzi powoli w zapomnienie, wraz z Martą wystawili na Broadwayu „Wesołą wdówkę” Lehara. Pomysł wydawał się karkołomny, operetki nigdy nie cieszyły się powodzeniem w USA, wyparte skutecznie przez musical. Kiepusa miał jednak rację, przedstawienie zagrano ponad 800 razy, osiągając niespotykany sukces komercyjny.

Kolejny pomysł okazał się równie skuteczny, chociaż jego wartość artystyczna była mocno dyskusyjna. Kompozytor Bronisław Kaper przygotował dla Kiepusy musical „Polonez” oparty na muzyce Chopina. „Libretto osnuło – opisywał przedstawienie Jerzy Waldorff – na dramatycznych dziejach Tadeusza Kościuszki, którego grał Kiepusa. Rzecz zaczynała się od pożegnania z Waszyngtonem, przed wyjazdem Naczelnika z USA do powstania, do Polski. [...] Trzeci akt oddano baletowi, który w przejmujących ewolucjach ukazywał klęskę pod Maciejowicami. Pobojowisko, matki i siostry opłakiwały poległych (najsmutniejsze »Nokturny« Fryderyka!), na widowni płacz i siłkanie nosami”.

Kiepusa nadal kręcił filmy (we Francji i Włoszech), grywał z Martą w „Księżniczce czardasza”. Jeszcze rok przed śmiercią z powodzeniem występował w operetkach na scenach europejskich.

Zmarł na atak serca 15 sierpnia 1966 r., a w testamencie polecił pochować się w kraju. Władze PRL odmówić nie mogły, bo groziło to międzynarodowym skandalem. Ostatecznie 4 września 1966 r., w asyście 200 tys. warszawiaków, trumna ze zwłokami Kiepusy spoczęła w Alei Zasłużonych na Powązkach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Maciej Rataj FOT. NAC



Sylwester Wojewódzki FOT. NAC

1892–1938 / Afera teczkowa II Rzeczypospolitej

Tajemnice Sylwestra Wojewódzkiego



Tomasz Stańczyk

/ Był żołnierzem Pierwszej Kompanii Kadrowej, współpracownikiem II Oddziału, związał się z komunistami i skończył w stalinowskiej katowni

Sylwester Wojewódzki, rocznik 1892, urodzony w Pskowie, w ziemiańskiej rodzinie. Należał do pokolenia młodych Polaków, którzy nie tylko marzyli o niepodległości, lecz także czynnie przygotowywali się do walki o nią. Był członkiem PPS Frakcji Rewolucyjnej, która wbrew nazwie była partią niepodległościową. A jednym z jej przywódców był Józef Piłsudski. Młody Wojewódzki wstąpił do petersburskiej organizacji Związku Strzeleckiego. Był nieprzeciętny, bo takich właśnie, najlepszych spośród członków Związku Strzeleckiego i Polskich Drużyn Strzeleckich, 3 sierpnia 1914 r. wybrał

Komendant do Pierwszej Kompanii Kadrowej. Przemawiając do jej żołnierzy, powiedział, że są kadrą armii polskiej, która powstanie. Sylwester Wojewódzki wkroczył na drogę, na której znaleźli się przyszli generałowie Wojska Polskiego.

Stan zdrowia nie pozwolił mu na długą służbę frontową w Legionach. Skierowany został do Polskiej Organizacji Wojskowej. Musiał uchodzić z Królestwa Polskiego, zagrożony aresztowaniem przez Rosjan. W Galicji uwięzili go Austriacy. W listopadzie 1918 r. brał udział w rozbrajaniu Niemców. Nie porzucił sympatii socjalistycznych, gdyż został zastępcą szefa sztabu milicji ludowej PPS. Wziął udział w wojnie z bolszewicką Rosją

i wówczas został – z polecenia Walerego Sławka, jednego z najbardziej zaufanych ludzi Józefa Piłsudskiego – współpracownikiem II Oddziału Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego i w tym charakterze działał na rzecz idei federacyjnej na odcinku białoruskim.

Bolszewizujący lewicowiec

Jako zaufany człowiek Piłsudskiego został skierowany do pracy politycznej w PSL-Wyzwolenie, partii chłopskiej o lewicowym nastawieniu. Tak jak Bogusław Miedziński, który po przewrocie majowym stanie się ważną postacią w obozie rządzącym, on też był jednym z czołowych publicystów, ministrem, a swoją karierę uwieńczył stanowiskiem marszałka Senatu. PSL-Wyzwolenie także za sprawą Wojewódzkiego i Miedzińskiego sympatyzowało z marszałkiem Piłsudskim. Wojewódzki nawiązał jednak kontakty z komunistami i w końcu 1924 r. dokonał rozłamu, współtworząc prokomunistyczną Niezależną Partię Chłopską, działającą głównie w województwach centralnych i wschodnich. Miała na sztandarach hasło władzy dla ludu pracującego, dyktatury proletariatu sojuszu robotniczo-chłopskiego, reformy rolnej bez odszkodowania dla ziemian, oddzielenie Kościoła od państwa, szkolnictwo świeckie. Domagała się prawa do samookreślenia dla Białorusinów i Ukraińców, by mogli zdecydować „o własnym ustroju państwowym”.

Klub NPCh liczył sześciu posłów. Oceniano, że partia miała na początku tysięcy członków i kilka tysięcy sympatyków, nie była więc specjalnie liczna. Co prawda NPCh poparła przewrót majowy, ale błyskawicznie wycofała się ze wspierania marszałka Piłsudskiego.



Odznaka OGPU – Zjednoczonego Państwowego Zarządu Politycznego FOT. ARCHIWUM

Maciej Rataj, marszałek Sejmu, uważał Wojewódzkiego za polityka „ambitnego i bezwzględnie” do tego stopnia, iż „mówiono o nim, że mógłby być Dzierżyńskim”, a działacze Niezależnej Partii Chłopskiej określali jako „bolszewizujących lewicowców”.

Kwity z Oddziału II

Trzy lata później władze zdelegalizowały prokomunistyczną białoruską partię Hromada. Wojewódzki protestował głośno.

A wtedy Maciej Rataj, jeden z liderów PSL-Piast, które uważało Niezależną Partię Chłopską za konkurenta na wsi, przypomniał sobie – jak twierdził – pewną rozmowę z gen. Władysławem Sikorskim. Były i przyszły premier powiedział Ratajowi, że Wojewódzki jako członek PSL-Wyzwolenie, a zara-

zem współpracownik II Oddziału, pisał raporty, w których informował o swoich radykalnych kolegach partyjnych. I brał za to pieniądze.

Rataj sugerował we wspomnieniach, że był zniesmaczony odgrywaniem przez Sylwestra Wojewódzkiego roli ideowego działacza, podczas gdy był płatnym donosicielem. Czy był to jednak jedyny powód, by go zdemaskować? Rataj chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. A drugą było uderzenie w konkurencyjną partię. Jednak nad interesem jego partii był przecież także interes państwowy – rozprawa z ugrupowaniami komunistycznymi, prokomunistycznymi i kryptokomunistycznymi.

„Zaprosiłem p. Świtalskiego, dyrektora departamentu politycznego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych – relacjonował Rataj swoje kroki – i zakomunikowałem mu, co wiedziałem o Wojewódzkim”. Poprosił Kazimierza, by zbadał sprawę, a jeśli informacje o Wojewódzkim uzyskane od gen. Sikorskiego okażą się prawdziwe, to „trzeba go wreszcie zdemaskować, zdechrzcić z niego aureolę bojownika ideowego”.

Niewiele dni później, 27 stycznia 1927 r., Bogusław Miedziński i Kazimierz Bartel przyszli do Rataja z teczką Wojewódzkiego, którą posiadał II Oddział. A w niej znajdowały się zarówno raporty, jak i pokwitowania odbioru pieniędzy za nie. Co prawda kwity były podpisane pseudonimem, ale Rataj był przekonany – a raczej przekonano go – że pisała je ta sama ręka co raporty. Ręka Sylwestra Wojewódzkiego.

Powstał jednak problem. Ujawnienie nawet byłego współpracownika II Oddziału mogło przecież zniechęcić innych ludzi do pracy dla polskiego wywiadu i kontrwywiadu w organizacjach wywrotowych. Mogli się obawiać, że jeśli staną się niewygodni, zbędni, nieposłuszni, to ich współpraca z Oddziałem II zostanie upubliczniona.

Maciej Rataj utrzymywał we wspomnieniach, że w związku z tym chciał sprawę załatwić bardzo dyskretnie, bez ujawniania kompromitującej w oczach partyjnych współtowarzyszy współpracy Wojewódzkiego ze służbami specjalnymi. Zamierzał zaprosić go i pokazać teczkę z raportami i kwitami. Powinno to skłonić Wojewódzkiego do wycofania



■ się z działalności politycznej. Odejście czolowego działacza byłoby poważnym ciosem w Niezależną Partię Chłopską.

Nieoczekiwany zwrot

Sprawy potoczyły się jednak inaczej. Zaledwie dzień po wizycie Miedzińskiego u Rataja w piśsudczykowski „Głosie Prawdy” – Miedziński był związany z tą gazetą – ukazał się demaskatorski artykuł zatytułowany: „Poseł Wojewódzki w roli nowego Azefa”. Robiono analogię do Jewna Azefa, agenta carskiej ochrony i jednocześnie lidera rewolucyjnej partii eserów, zdemaskowanego w 1908 r. Rataj wyraźnie sugeruje czytelnikom swoich wspomnień, że nic nie wiedział o tym, iż artykuł o Wojewódzkiem ma się ukazać. A przecież jest nieprawdopodobne, by Rataj i Miedziński skończyli spotkanie bez konkluzji, co dalej robić z teczką Wojewódzkiego. Musiała zapaść wówczas jakaś decyzja. Chociaż właśnie Rataj temu zaprzeczał. I twierdził:

„Zdaje się, że zdecydowano się na tę drogę [opublikowania artykułu o Wojewódzkiem – przyp. T.S.] w interesie »Głosu Prawdy«, bo wystąpić z taką sensacją dla pisma to gratka”.

Marszałek Sejmu, utrzymując, że artykuł ukazał się dla spodziewanego wzrostu nakładu gazety, zaciemniał istotny powód „likwidacji” Wojewódzkiego.

Ciekawym wątkiem w artykule o liderze Niezależnej Partii Chłopskiej było twierdzenie, że sowieckie służby wiedziały o współpracy Wojewódzkiego z Oddziałem II i szantażując go, wymusiły współpracę. Wojewódzki byłby więc nie tylko byłym agentem polskich służb, lecz także agentem sowieckim.

Podczas posiedzenia Sejmu poseł Juliusz Poniatowski z PSL-Wyzwolenie domagał się wyjaśnień w związku z artykułem o Wojewódzkiem. „Odpowiedziałam mu – wspomniał Rataj – że oskarżenie jest mi znane z »Głosu Prawdy«”. Oczywiście marszałek Sejmu nie powiedział prawdy, wiedział o sprawie wcześniej.

Nie mógł jednak ujawniać tego, co nie powinno dziwić. Tak samo zachowywał się interpelowany wicepremier Bartel, choć przecież to on i Miedziński mieli w rękę teczkę Wojewódzkiego.

Rataj skłamała, bo w przeciwnym wypadku zaczęłyby się niewygodne dla niego pytania, dlaczego dowiadując się o podwójnej roli Sylwestra Wojewódzkiego, przez trzy lata nic z tym nie zrobił. Lecz w rozgrywkach politycznych i działaniach służb specjalnych nie należało do rzadkości przypadki, gdy „kwity”, kompromitujące materiały, ujawnia się i publikuje wcale nie od razu po ich odkryciu czy uzyskaniu, ale wykorzystuje się je do szantażu albo kładzie na stół w odpowiedniej chwili. Na szczytach władzy uznano, widać, że Wojewódzki przekroczył pewne granice i trzeba go wyeliminować przez skompromitowanie go.

A potem nastąpiła nader niemiła niespodzianka dla Rataja, Świtalskiego i Miedzińskiego, a także dla „Głosu Prawdy”. Maciej Rataj tak ją streścił: „Wszystko strasznie ładnie, tylko zapomniano w II Oddziale zbadać, czy te raporty i pokwitowania pisane są jedną ręką”. Owszem, były, tyle że... nie pisał ich Sylwester Wojewódzki. Oczywiście, jeśli zaufać Stanisławowi

Swianiewiczowi, asystentowi z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie (za kilkanaście lat Swianiewicz nie podzieli losu oficerów zamordowanych w Lesie Katyńskim). Otóż Swianiewicz oświadczył, że to on pisał raporty i brał pieniądze, kwitując je. Miały one jednak dotyczyć nie polityków PSL-Wyzwolenie, lecz spraw narodowościowych na Kresach Wschodnich. Robił to na propozycję Wojewódzkiego i pod jego firmą, nie chcąc samemu być zarejestrowanym jako współpracownik II Oddziału. Wojewódzki ze swojej strony nie wypierał się, że brał pieniądze, lecz miał je – jak utrzymywał – przeznaczać na działalność PSL-Wyzwolenie.

Sąd Marszałkowski wydał w marcu 1927 r. następujące orzeczenie: nie stwierdzono, że Wojewódzki był współpracownikiem II Oddziału. Nie donosił na kolegów z PSL-Wyzwolenie. Natomiast do stycznia 1924 r. był „mężem zaufania” II Oddziału i w takiej roli informował o postach i działaniach Klubu Białoruskiego w Sejmie. A branymi pieniędzmi opłacał swoich informatorów i wykorzystywał na akcję wyborczą w swoim okręgu.

„Zrobił się prawdziwy bałagan – podsumowywał Rataj. – Rząd przez oświadczenie Bartla skompromitował się, twierdząc: »Mamy dowody Wojewódz-

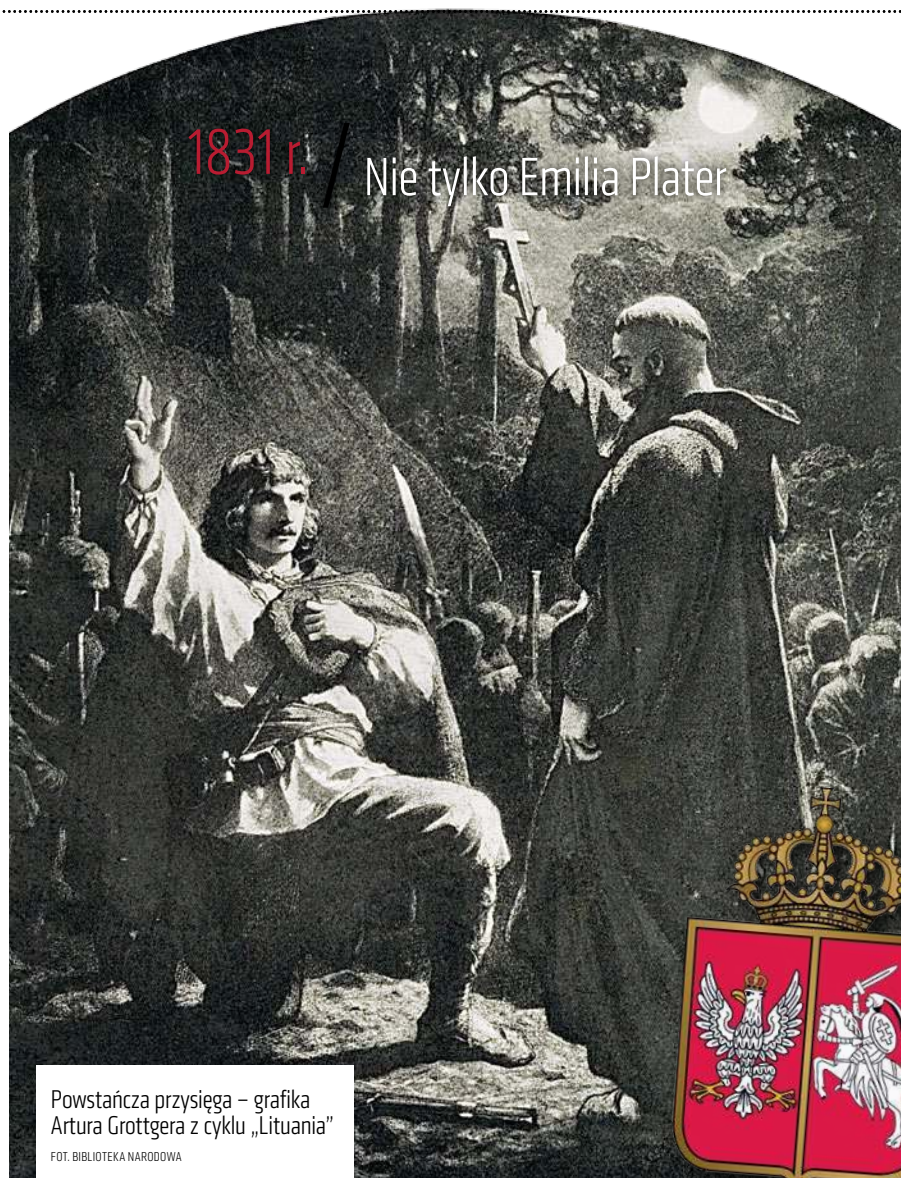
kiego«, a nie miał ich. Wyzwolenie stanęło pod pręgierzem. Oddział II popadł w podejrzenie, że subwencjonuje stronnictwo”.

Narodowa Partia Chłopska została zdelegalizowana w marcu 1927 r. Wojewódzki zaangażował się w działalność Komunistycznej Partii Polski, wyjechał do Wolnego Miasta Gdańska, a potem – w 1931 r. – popłynął do Związku Sowieckiego. Tam czekała go dramatyczna niespodzianka. Po zejściu ze statku został aresztowany. W 1933 r. oskarżono go, że był prowokatorem i agentem piśsudczyckim. Otrzymał wyrok 10 lat więzienia. Nie odsiedział go do końca, gdyż w 1938 r., w kolejnym procesie za rzekome uczestnictwo w antysowieckiej organizacji terrorystycznej, został skazany na śmierć i niezwłocznie rozstrzelany. W 1956 r. Sylwester Wojewódzki został zrehabilitowany przez władze sowieckie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



1831 r. / Nie tylko Emilia Plater



Powstańcza przysięga – grafika Artura Grottgera z cyklu „Lituania”

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Powstanie na Litwie



Marek Gałęzowski

Litewska insurekcja to przykład patriotyzmu kresowego społeczeństwa dawnej Rzeczypospolitej. Tym smutniejszy, że tak bezrozumnie zmarnowany

Odważcie się być wolnymi! – ujrzycie wkrótce powiewające chorągwie nasze, i na nich białego Orła z Pogonią; wtenczas śpieszcie, poświęcając majątki i życie, i walczcie wspólnie z nami na smętarzach naddziadów naszych dla zbawienia wspólnej Ojczyzny” – tak na początku lutego 1831 r. z oswobodzonego Królestwa Polskiego zachęcano mieszkańców Litwy do podniesienia sztandaru powstańczego przeciw Rosji. Zachęta do walki nie była jednak potrzebna.

Już w styczniu Joachim Lelewel odczytał w Sejmie memoriał mieszkańców dawnego Wielkiego Księstwa, że tak Litwa, jak inne ziemie wschodnie Rzeczypospolitej wcielone do Rosji po rozbiorach Polski „były zawsze jednym z Polską narodem [...]”. Przeto obywatele ziem zabranych z tych racji domagają się od parlamentu polskiego traktowania ich jako członków tego samego narodu” (cyt. za: J. Ziółtek, „Powstanie listopadowe na Litwie”, [w:] „Powstanie listopadowe 1830–1831”, pod red. W. Zajewskiego).

Szlachta w boju

Władze rosyjskie na Litwie nie miały złudzeń co do nastrojów podbitej prowincji po wybuchu powstania w Królestwie Polskim. Dwa tygodnie później wywiozły przewencyjnie w głąb Rosji kilku wybitnych obywateli, typowanych na przywódców spodziewanej walki, na czele z byłym napoleończykiem gen. Józefem Giedroyciem. Nadzór policyjny nad młodzieżą gimnazjalną i akademicką roztoczył osławiony prześladowca filomatów i filaretów Nikołaj Nowosilcow. Powszechnie konfiskowano także broń palną. Nic to jednak nie dało. Przygotowania do wystąpienia powstańczego zaczęły się w lutym 1831 r. i jeszcze w końcu tego miesiąca Józef Borysewicz na czele niezbyt licznej oddziału kosynierów usiłował, co prawda bez powodzenia, zdobyć leżącą nad Bałtykiem Połęgę.

W następnym miesiącu do walki zaczęła przystępować szlachta w innych powiatach Wileńszczyzny i Żmudzi. Jednym z najznakomitszych dowódców okazał się Onufry Jacewicz, naczelnik powiatu telszewskiego, który potrafił utworzyć kilkutysięczny oddział, zorganizować



Emilia Plater podczas potyczki pod Szawlami, mal. Wojciech Kossak

FOT. ARCHIWUM

■ produkcję prochu, a nawet odlewnię dział w Worniach. W maju atakował Połagę. Odnosił kilka mniejszych zwycięstw i dotrwał do chwili przybycia na Litwę regularnych oddziałów z Królestwa.

Powstańcy w powiecie rosieńskim wyparli liczny oddział Rosjan za granicę pruską. W Kiejdanach oddział Maurycego Prozora bronił się cały dzień przed znacznie przeważającymi Moskalami, zadał im duże straty a ustąpił nocą, po wyczerpaniu amunicji. Na początku maja Prozor, do którego dołączyła ze swoim oddziałem Emilia Plater, stoczył nierozgraną bitwę pod Prestowianami. Powstańcy niepokoił także garnizon rosyjski w Wilnie. W końcu maja do bitwy ze zbiegłą z Wilna młodzieżą akademicką doszło w Puszczy Rudnickiej, a powstańcy, chociaż ponieśli znaczne straty, rozbić się nie dali.

Chociaż akces do powstania był liczny, to dawał się odczuwać brak broni palnej. Przykładowo w powiecie święciańskim na początku maja siły powstańcze dochodziły do 3 tys. ludzi, z czego jednak co 10. powstańców posiadał karabin lub strzelbę. Pozostałym musiały wystarczyć kosy i piki. Łącznie w powstaniu, którego liczba uczestników przekroczyła 26 tys., broń palną (wliczając w to myśliwską) posiadało mniej niż 5 tys. spośród nich. Partyzanci litewscy nie mieli większych szans w starciu z regularną armią w otwartym polu. Ważny był jednak przede wszystkim sam fakt solidarnego wystąpienia z Królestwem, a w wymiarze militarnym związanie dużych sił rosyjskich, które na początku kwietnia zostały powstańczym impetem zepchnięte do Kowna i Wilna. Pozostałe obszary Litwy kontrolowali powstańcy i Rosjanie dla ich odbicia musieli wysłać dodatkowe siły, łącznie przekraczające 30 tys. ludzi, których zabrakło na głównym froncie działań – w Królestwie.

Los powstania zależał od skutecznej odsieczy regularnej armii polskiej. Ta zaś została wysłana dopiero 18 maja, na czele z gen. Dezyderym Chłapowskim. Jej

dzieje pokazały, ile może uczynić odważny, energiczny, mający wiarę w zwycięstwo dowódca, nawet jeżeli dysponuje niewielkimi siłami. W ciągu dwóch tygodni kilkusetosobowy oddział Chłapowskiego przeszedł 400 km, docierając do Kiejdan. Po drodze stoczył zwycięskie walki z Rosjanami, zdobywając broń, w którą natychmiast uzbrajano przyłączających się partyzantów litewskich.

Rzeź w Oszmianie

Car Mikołaj I zareagował na wybuch powstania litewskiego dekretem, w którym zapowiadał surowe kary za udział w ruchu. Jego uczestnicy mieli być sądzeni zgodnie z prawem wojennym, wyroki śmierci wykonywane natychmiast, majątki konfiskowane, synowie powstańców odbierani rodzinie i przygotowywani do służby w armii rosyjskiej, co w praktyce miało na celu ich wynarodowienie. Nakaz cara zaczęto wcielać w życie – oficerów powstańczych, których wzięto do niewoli z bronią w rękę, rozstrzeliwano. Tak zginęli Stanisław Mickiewicz i ks. Hieronim Wojtkiewicz; wielu zesłano. Chłopów poddawano chłoscie, po czym zsyłano ich do pułków syberyjskich. Spalono miasteczko Dorbiany, gdzie wymordowano wielu mieszkańców. Najtragiczniejszy był jednak los Oszmiany.

Miasto, położone dziś na Białorusi w pobliżu granicy z Litwą, było jednym z ważniejszych ośrodków powstania, które rozpoczęło tam 4 kwietnia zaledwie dziewięciu insurgentów. Ruszyli oni ulicami, nawołując mieszkańców do broni. Pod kościołem dominikańskim czekał na nich z biało-czerwoną chorągwią dominikanin ks. Ludwik Jasiński. Był to bratanek gen. Jakuba Jasińskiego, dowódcy Litwy w powstaniu kościuszkowskim, poległego w czasie szturmie Pragi przez wojska feldmarszałka Suworowa. Gorące wezwanie Jasińskiego przełamało wahania innych, co pozwoliło na zdobycie koszar, a w koń-

cu całego miasta. Ten sukces wkrótce okupiono jednak ciężką ofiarą. Jedenaście dni później Oszmianę zaatakował wysłany z Wilna oddział płk. Wersylina. Po krótkiej walce powstańcy wycofali się do Puszczy Nalibockiej, ale Rosjanie, wtargnąwszy do miasta, spalili znaczną jego część i zamordowali kilkuset mieszkańców zgromadzonych w kościele dominikańskim, w tym kobiety i dzieci.

Mord w Oszmianie został upamiętniony przez Adama Mickiewicza w „Litanii pielgrzymkiej” (w „Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego”), a także w wierszu zaprzyjaźnionego z autorem „Pana Tadeusza” Konstantego Gaszyńskiego. Centralnym motywem wiersza Gaszyńskiego jest zbrodnia dokonana na mieszkańcach miasta w kościele dominikańskim. Brutalne postępowanie żołnierzy znalazło natomiast pochwałę w słowach cara Mikołaja I, który uznał, że sprawy na Litwie poprawiają się, gdyż „lekcja Oszmiany była skuteczna”.

Wyprawa Giełguda

Tymczasem w sukurs gen. Chłapowskiemu wyruszyły w końcu maja znacznie już większe siły – dywizja gen. Antoniego Giełguda. „Niestety, już sama geneza tej wyprawy była zapowiedzią jej katastrofy ostatecznej. Nie wyprawiono jej celowo, z określonym zadaniem” – pisał Wacław Tokarz w swojej „Wojnie polsko-rosyjskiej 1830 i 1831” (wszystkie cytaty, o ile nie zaznaczono inaczej, pochodzą z tej pracy). Decyzja wyruszenia na Litwę dywizji Giełguda zapadła po klęsce pod Ostrołęką, przypadkowo, kiedy okazało się, że nie można już dłużej oczekiwać powrotu tej jednostki do głównych sił. Giełgud, „osobiście odważny i zacny”, nie miał jednak za grosz samodzielności – „nie umiał nie tylko sam zorientować się w położeniu i powziąć decyzji, ale nawet dłużej trzymać się rady, którą uznał za słuszną; ustępował zawsze pod naciskiem ostatniego z kolei doradcy”.

A jednak szansa była. 29 maja wojsko Giełguda pobiło pod Rajgrodem w Augustowskim zagradzających mu drogę Rosjan. Ta bitwa podniosła słabe po Ostrołęce morale i pozwoliła wkroczyć na Litwę w chwałę. Teraz należało iść wprost na Wilno, tym bardziej że Giełgud i podlegli mu oficerowie na czele z gen. Henrykiem

Demiński wiedzieli o słabości rosyjskiego garnizonu i pewnym wsparciu osłabionych, ale nadal nie pobitych i gotowych do walki partyzantów z Wileńszczyzny. Demiński doradził jednak czekać pod Kiejdanami i blokować połączenie Żmudzi z Wilnem. Dwa dni później po tej kunktatorskiej decyzji do kwatery Giełguda przybył Chłapowski. Usilnie nalegał na jak najszybszy marsz na Wilno, a swoją argumentację wzmacniał tym, że dowódca rosyjskiego garnizonu wydał dyspozycje dotyczące przygotowania się na konieczność opuszczenia miasta.

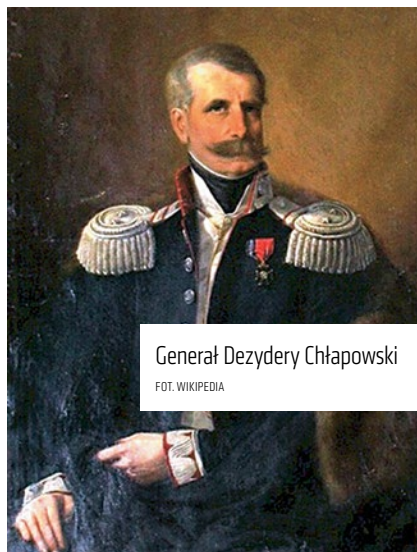
Gorące nalegania Chłapowskiego zrobiły wrażenie na Giełgudzie, niemniej nie przewidywał on uderzenia na miasto, lecz jedynie działania, które wymusiłyby ustąpienie Rosjan bez konieczności szturm. Jedną z takich demonstracji miał przeprowadzić Chłapowski. Ten, przekonany, że ma być to preludium ataku, przystąpił do działania z właściwą sobie energią, zajmując miejscowości w pobliżu miasta, 15 czerwca w walce zaś opanowując most na Wace niemal pod bramami Wilna. Miał z mieszkańcami stały kontakt – ci informowali o tym, że wojsko polskie może liczyć na ich wsparcie w chwili szturm, ale i o tym, że każdy dzień zwłoki działa na rzecz Rosjan, którzy wobec braku aktywności wojsk polskich zaczęli ściągać posiłki do miasta. Chłapowski słał gońca za gońcem do gen. Giełguda, domagając się wręcz, by ten przybył jak najszybciej, „jeśli bowiem nie znieśmy garnizonu wileńskiego, klęska nas wkrótce czeka nieuchronna”. Ten jednak zwlekał z decyzją...

Ostatecznie Rosjanie zdobili wzmocnić garnizon tak, że w przededniu pojawienia się głównych sił polskich mieli już nad nimi blisko dwukrotną przewagę liczebną – do miasta zdążyli dotrzeć nawet ci, którzy zostali pobici wcześniej pod Rajgrodem. „Jakośmy dziwili się, że ani 14, ani 15 [czerwca] nie byliśmy atakowani. Teraz Wilno było ocalone [...] Nie ulega jednak wątpliwości, iż trzy dni przedtem nie byliśmy w stanie utrzymać Wilna; byłoby natychmiast wzięte [...]” – pisał jeden z rosyjskich oficerów.

Mimo przewagi w ludziach i działach Rosjanie wcale nie byli pewni siebie, o czym świadczy to, że nie zdecydowali się przyjąć bitwy na przedpolach miasta, oczekując Polaków w jego murach. Szans na zdobycie Wilna już nie było i w sztabie Giełguda podniosły się głosy wskazujące,

że spóźnienie uniemożliwia jakikolwiek sukces planowanego ataku. Tym razem dawny napoleończyk wykazał determinację, której brakowało wcześniej, i rozpoczął bitwę. Jak pisał Tokarz, „na nieszczęście u Polaków nie dowodził nikt. Stary Giełgud stał mężnie pod kulami, jakby szukając śmierci, ale nie orientował się w położeniu i żadnych rozkazów nie wydawał”.

Nie jeden to zresztą w tym powstaniu przykład postępowania generała, który nie wierzył w zwycięstwo, nie podejmował decyzji, ale kiedy dochodziło do walki, dawał osobisty przykład męstwa. Nie wystarczyło to jednak, by przełamać pozycje rosyjskie. Po kilku próbach wojsko polskie zaczęło się cofać w dużym nieładzie. Rosjanie nie zdecydowali się



Generał Dezydery Chłapowski

FOT. WIKIPEDIA

jednak na natychmiastowy pościg. Dopiero później podjęli jego próbę, ale zostali pobici przez kryjących odwrót ułanów Chłapowskiego – którego zbawczych rad wcześniej nie posłuchano.

Zdemoralizowane oddziały gen. Giełguda cofały się teraz ku granicy pruskiej, bez specjalnego nacisku Rosjan. Próba podniesienia ducha atakiem na Szawle zakończyła się kompromitacją – 2,5 tys. Rosjan potrafiło się obronić przed blisko jeszcze 15 tys. Polaków, z których zresztą większość ograniczyła się do przyglądania się walce. Dalszy odwrót odbywał się w stanie całkowitego rozprężenia, a w chwili przejścia granicy oficerowie musieli wysłuchać wielu gorzkich słów będącej tego świadkiem Emilii Plater. Miarą rozpaczy, która ogarnęła świa-

domych katastrofy oficerów i żołnierzy, było zastrzelenie gen. Antoniego Giełguda przez kpt. Stefana Skulskiego.

Przekroczenie granicy pruskiej przez wojsko polskie było równoznaczne z klęską powstania na Litwie, które nie mogło już liczyć na żadne wsparcie. Oddziały powstańcze zaczęły się rozchodzić do domów. Dotyczyło to także tych najlepiej zorganizowanych, m.in. Onufrego Jacewicza. On sam, poszukiwany przez Rosjan, w połowie sierpnia 1831 r. przedostał się do Prus, a potem na emigrację do Francji. Za swoje zasługi otrzymał złoty krzyż *Virtuti Militari*. Zmarł przedwcześnie, w wieku zaledwie 36 lat. Pozostawił syna, również Onufrego. Urodzony w październiku 1831 r. na Litwie, wkrótce został wywieziony przez matkę do Francji. Był wychowankiem szkoły polskiej w Paryżu (tzw. batinolskiej). W 1863 r. wrócił do nieznanej sobie ojczyzny na wieść o powstaniu styczniowym i w nim poległ.

Polscy insurgenci zatrzymali znaczne siły rosyjskie i rację miał Tokarz, że „przez swe poświęcenie Litwa doprowadziła na terenie Królestwa do tej równowagi sił materialnych obu stron walczących [...], która zapewniła armii polskiej w tym okresie tak poważne widoki zwycięstwa”, co postawiło armię rosyjską w Królestwie „w położenie bardzo ciężkie”.

Ktoś zapytany dziś o powstanie listopadowe na Litwie odpowie co najwyżej – Emilia Plater. Dzielną dziewczyną, nie chciała kapitulować i wraz z bratem Cezarym usiłowała przedostać się do Warszawy. Nie powiodło się to – zachorowała i dzień przed Wigilią 1831 r. zmarła w majątku Justianów w powiecie sejneńskim. Upamiętniona wierszem Adama Mickiewicza „Śmierć pułkownika”, w minionych dziesiątkach lat jednej z pierwszych lektur dziecięcych (nie wyłączając autora tego artykułu), jest po dziś dzień symbolem zrywu Polaków przeciw niewoli moskiewskiej na Wileńszczyźnie i Żmudzi wiosną 1831 r.

Zrywu będącego jednym z przejmujących przykładów patriotyzmu kresowego społeczeństwa dawnej Rzeczypospolitej, tym smutniejszym, że tak zmarnowanym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.



Krzysztof Masłoń

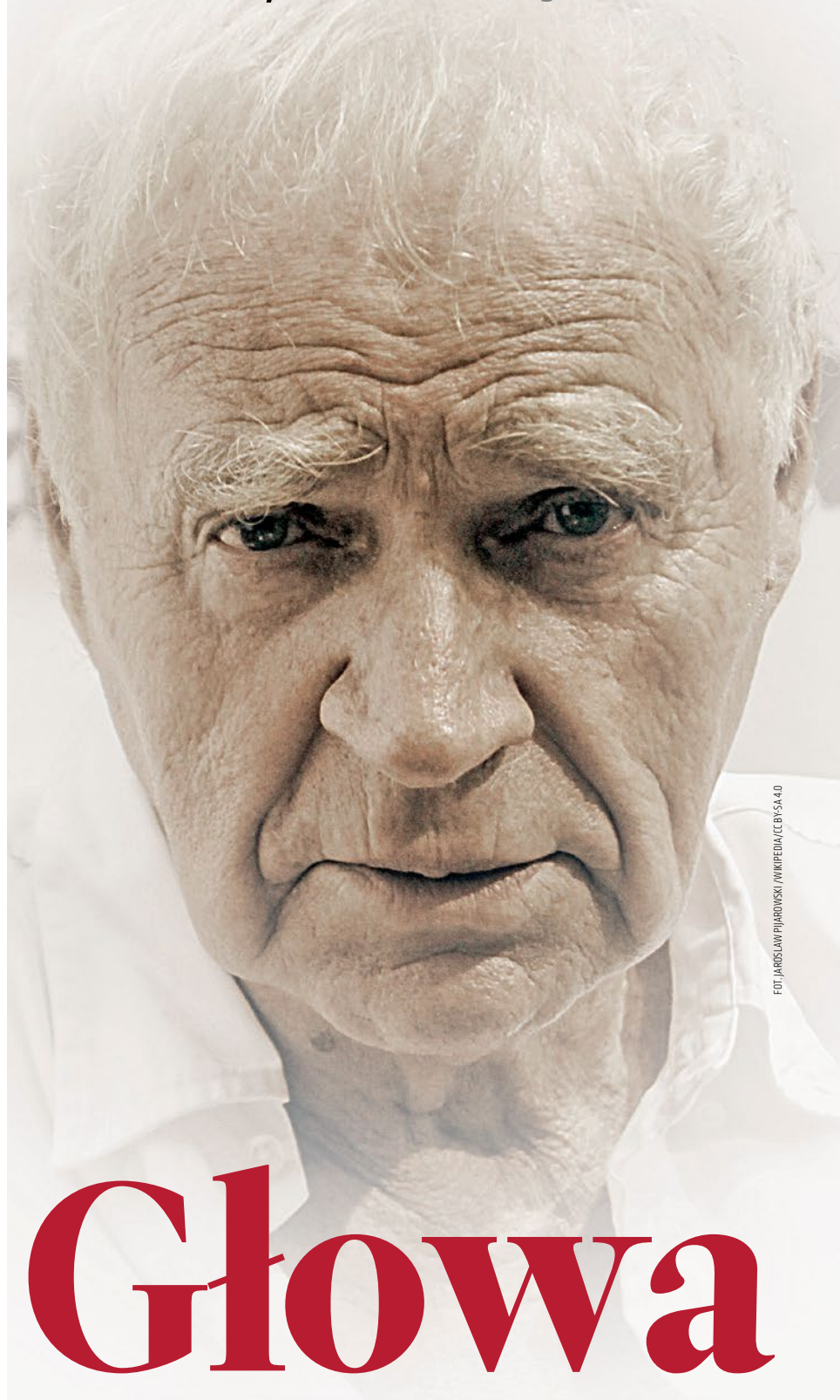
/ Nie umiem już pisać o Januszu Głowackim tak jak kiedyś, z ogromną przyjemnością i podziwem, czasem chyba bezkrytycznie. To był jednak w naszej warszawskiej rzeczywistości ktoś wyjątkowy

Właściwie do końca uchodził za playboya, z czym wybitnie było mu do twarzy. Jakby mimochodem napisał całą masę książek, scenariusze do kilku z całą pewnością ponadprzeciętnych filmów i sztuki teatralne, które przyniosły mu prawdziwą sławę. A na niej mu nie zależało, w równym stopniu jak Albertowi Camusowi, którego zdanie: „Jestem człowiekiem bardzo skromnym, chcę tylko, żeby wszyscy o tym wiedzieli” z lubością cytował.

O sobie najwięcej napisał w książce „Z głowy” (2004), z którą z czasem zaczął nazywać swoją autobiografią. A skoro tak, to może warto całkiem serio odczytać pomieszczone w niej wyznanie: „W sztuce »Polowanie na karaluchy« bohaterka emigrantka mówi, że w Ameryce »straciła wszystko poza akcentem«. W Nowym Jorku w jedną chwilę przestał istnieć Głowacki playboy, środowiskowy pisarz, przewrotny felietonista i ozdoba przyjęć. Narodził się za to przestraszony, źle mówiący po angielsku, nieznany pisarz bez pieniędzy. Emigracja to panika, gruntu się pali pod nogami i robi się mnóstwo rzeczy za szybko, bez namysłu i sensu. Na emigracji prosiłem o przysługę ludzi, których nigdy w życiu nie powinienem prosić. Oni oczywiście odmawiali, a ja czasem to sobie przypominam, tak jak teraz, kiedy to piszę. I czerwienieję ze wstydu, bo wiem, że oni to też pamiętają. Krótko mówiąc, skacze się w to nowe

1938–2017

/ Pisarz, dramaturg i felietonista



FOT. JAROSŁAW PIAROWSKI / WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

Głowa

życie z kołyszającego się pokładu może i tonącego statku. Nie jestem pewien, czy kiedy Lord Jim skoczył z »Patny«, to się przedtem długo zastanawiał. Może zaczął żałować już w powietrzu, a może skoczył w szoku i momencie skoku nie pamiętał w ogóle. A konsekwencje rosły, rosły, aż go dopadły”.

Urodził się rok przed wybuchem drugiej wojny światowej. Z dzieciństwa zapamiętał biegających po mokotowskim podwórku powstańców, do których Niemcy strzelali z okien koszar mieszczących się naprzeciwko. „To byli wtedy wszystko Niemcy, dopiero kiedy już byłem w szkole, Niemcy zniknęli zupełnie, a powstał tajemniczy naród – naziści. Z niego potem powstał neonaziści, neohitlerowcy i odwetowcy, którzy sąsadowali z naszymi przyjaciółmi zza rzeki Odry. Jedni i drudzy mówili po niemiecku”.

Jego rodzicami byli Lena Rudzka-Głowacka, redaktorka w Czytelniku i Iskrah, a ojcem Jerzy Głowacki, pisarz dziś już zapomniany, autor takich książek jak „O Warszawie z Dębicy i wiślanej rusałce” czy „Pułkownik z Szerokiego Dunaju”. Dziadkiem autora „Wirówki nonsensu” ze strony matki był Bronisław Rudzki, właściciel wydawnictwa nut, sklepu z instrumentami muzycznymi i, najważniejsze, wytwórni płytowej. Miał też „Głowa” sławnego wuja, brata mamy, Kazimierza Rudzkiego, aktora.

Posiadał więc korzenie polsko-żydowskie, a jeszcze ze strony ojca, po części, węgierskie. Jego babka z domu skomplikowanie nazywała się Berta Lechoczky de Kilary Lechota. „Część tej węgierskiej rodziny – pisał – sprowadziła się nawet do Polski i mamy wspólny grobowiec na cmentarzu augsbursko-ewangelijskim. Ja akurat za tą rodziną nie przepadałem. Napisałem o niej coś złośliwego w opowiadaniu »Kongo na Kubusia Puchatka«, w związku z czym zostałem karnie z grobowca usunięty i po śmierci będę bezdomny”.

Pośmiertna bezdomność go ominęła. Zmarł nagle, w Egipcie, podczas wakacji 19 sierpnia 2017 r. Po trzech tygodniach, 11 września, urna z jego prochami złożona została do grobu w Alei Zasłużonych Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie.

Usiłował zostać aktorem i historykiem, by w końcu skończyć polonistykę, po czym już zawodowo parał się piórem. Mołojęcką sławę zdobył jako felietonista

przezabawnych i mocno niepoprawnych politycznie felietonów drukowanych w warszawskiej „Kulturze”, które ze swoistym masochizmem puszczał mu do druku Janusz Wilhelmi. Zaczął też pisać opowiadania, publikowane potem w cieszących się dużym powodzeniem tomach: „Wirówka nonsensu” (1968), „Nowy taniec la-ba-da” (1970), „W nocy gorzej widać” (1972) i „Paradis” (1973). Robił też inne rzeczy, głównie związane z filmem, aż przyszedł pamiętny rok 1980.

„Prawdę mówiąc – wyznawał w »Z głowy« – kiedy się zaczął sierpniowy strajk, do Stoczni Gdańskiej pojechałem nie tyle w romantycznym porywie czy żeby walczyć z komuną, ale głównie z ciekawości. W powódzenie strajku nie wierzyłem nic a nic. W nawrócenie intelektualistów, pisarzy i poetów, co to ja uczyłem się z ich książek w szkole, też nie do końca. A tu proszę. Patos rewolucji, robotnicy dzielni, nawrócenia jak złoto. Wałęsa nieugięty. Słowem, jak to celnie napisał Kazimierz Brandys w 1954 roku w swej powieści »Obywatele«: »Wyobraźnia dała się prześcignąć swojemu urzeczywistnieniu“.

Zdażył wtedy napisać „Moc truchleje” (1981), która, oczywiście, nie mogła ukazać się legalnie, natomiast jej wydanie podziemne przyjęto wręcz z oburzeniem, a to z tego powodu, że – najdelikatniej mówiąc – klasa robotnicza przedstawiona została w tej książce bez zachowania jakiegokolwiek poprawności politycznej, a robotniczym przywódcom daleko było do późniejszych „ludzi z nadziei”. Wywiad, który po latach przeprowadziłem z pisarzem na temat właśnie tej w istocie jedynej w jego dorobku powieści, miał m.in. taki fragment:

„– Choć wszyscy pewnie widzieli to samo, to jednak nie zauważyłem, by poza panem ktoś zwrócił wtedy uwagę na znamieny fakt. Otóż, w trakcie strajku Lech Wałęsa nagle rozchorował się, miał 40 stopni gorączki, był niemal półprzytomny, ale pamiętał o jednym – by, nie daj Boże, nie wyznaczono mu następcy.

– No tak... Wydawało mi się też interesujące, że jakieś ważne posiedzenie Komitetu Strajkowego zostało przesunięte o godzinę, bo w telewizji nadawany był kolejny odcinek popularnego serialu »Pogoda dla bogaczy«. Sytuacje dramatyczne zawsze sąsiadują z komicznymi – przynajmniej tak to widzę. Nigdy nie ma samego patosu”.

W tym samym wywiadzie pozwoliłem sobie zauważyć: „– Jak się zdaje, czas działa na korzyść »Mocy...«. To, co w niej jest groteskowe, przesadne, przestało razić, a jedynie bawi. O żadnym szarganiu świętości także już nie ma mowy. Za to budzi uznanie, jak wiele, niekoniecznie pięknych, spraw zauważył pan w chwilach narodzin Solidarności.

– Na przykład konfidentów w kierownictwie strajku. Ale naprawdę to bardzo się wtedy wzruszyłem. Było to jedno z bardzo niewielu w moim życiu wzruszeń; kiedy zakończono strajk i podpisano porozumienie, a wszyscy zaśpiewali »Jeszcze Polska...«, poczułem, że oczy zaczynają mi łzawić. Drugi raz czułem się tak samo po 11 września 2000 roku w Nowym Jorku, gdy Amerykanie ze świecami i zdjęciami swoich zmarłych w rękach śpiewali swój hymn narodowy. Widać jestem wrażliwy na śpiew”.

Rozumiano go niekoniecznie

Tuż przed stanem wojennym wyjechał do Londynu na premierę swej sztuki „Kopciuch” w Royal Court Theatre. Po 13 grudnia pozostał na Zachodzie, od 1983 r. mieszkał w Nowym Jorku. Osiągnął tam sukces jako dramaturg. Nie od razu, bo czarno na białym przekonał się, że jest pisarzem prowincjonalnym.

„Czy przestaje się być prowincjonalnym, kiedy się sobie tę prowincjonalność uświadomi, czy trzeba mieć pięćset milionów na koncie, mieszkanie w Paryżu i dom na Sardynii? I kto decyduje o tym, jesteś czy nie jesteś prowincjonalny? A co, jeżeli decyduje o tym prowincja? A może kontekst się liczy? Wiadomo, że kobieta i latarnia osobno nic nie znaczą. Ale kobieta pod latarnią to już owszem”. W kraju ten kompleks prowincji mu mijał. W przeciwnym wypadku nie znalazłby się w honorowym Komitecie poparcia Bronisława Komorowskiego ani nie napisałby w swej ostatniej, wydanej już po śmierci książce – „Bezsensowności w czasie karnawału” – tego, co napisał.

Prowincjonalna perspektywa okazywała się czasem w Ameryce przydatna. „Raczej śmieszyło mnie, niż martwiło – wspominał – że w Nowym Jorku nie ma pieniędzy na czternastoosobową sztukę. Ponieważ w Polsce, gdzie jak wiadomo, ■

■ pieniędzy nie było w ogóle, dyrektor teatru nawet nie mrugnął okiem, kiedy mu się przyniosło sztukę na trzydziestu aktorów i dwudziestu statystów.

Ktoś chorobliwie nieufny mógłby zapytać, jak to jest możliwe. Odpowiedź jest oczywista. W Polsce na wszystko, włączając w to pieniądze, należało wtedy patrzeć zgodnie z marksistowską dialektyką jako na zjawisko niejednorodne. Jeżeli pieniędzy nie ma w ogóle, to jest tak samo, jakby ich była ilość nieograniczona. Spełniony zostać musiał tylko jeden warunek: sztuka miała bronić wartości

ni”), natomiast „Polowanie na karaluchy” (1986), nawiasem mówiąc powstałe przy współudziale Elżbiety Czyżewskiej, wyreżyserował Artur Penn, a zagrali w nim Dianne Wiest i Ron Silver. W 1992 r. swoją premierę miała inna sztuka Głowackiego, wyrosła z doświadczeń emigracyjnych – „Antygona w Nowym Jorku”, przełożona następnie na wszystkie ważniejsze języki i grana w teatrach całego świata. Dobrze przyjęta została również czechowowska „Czwarta siostra” (2001).

Nie spełniło się natomiast za wielką wodą największe zawodowe pragnienie pisarza: nie podbił Hollywood, mimo

strachu” Tomasza Lengrena (1982) i „Billboardu” Łukasza Zadrzyńskiego (1998) z Kukizem w jednej z ról. Największym jego osiągnięciem scenariopisarskim okazać się miała „Zimna wojna” (2018), ale niestety za późno i całe laury spłynęły na reżysera i współscenarzystę Pawła Pawlikowskiego.

Oczywiście, pisał też prozę. A jak pisał? Jak nikt. W „Z głowy” opowiedział na przykład rzewną historię niejakiej Paskudy, która – via SPATiF – „jak każdy uczywy Kopciuszek, wyszła za italiańskiego księcia i mieszkała w Wenecji. Ale nie była szczęśliwa.

– Nazywam się siniora Toczinelli, chodzę po pałacu, przeklinam, nikt mnie nie rozumie – powiedziała przez łyzy. – Powiem ci, Janek, uczciwie, ja się czasem boję, że tracę tożsamość – wyznała, kiedyśmy się już żegnali. Paskuda musiała wcześniej rano jechać do Wenecji. Obiecałem, że prześlę jej wszystkie książki Olgi Tokarczuk.

A potem długo jeszcze spacerowałem po Starówce. Przed moim domem handlarz choinkami patrzył smutno na niesprzedany towar i próbował namówić wracającego z pasterki sąsiada-agenta ubezpieczeniowego.

– Sprzedam tanio, za dwadzieścia złotych.

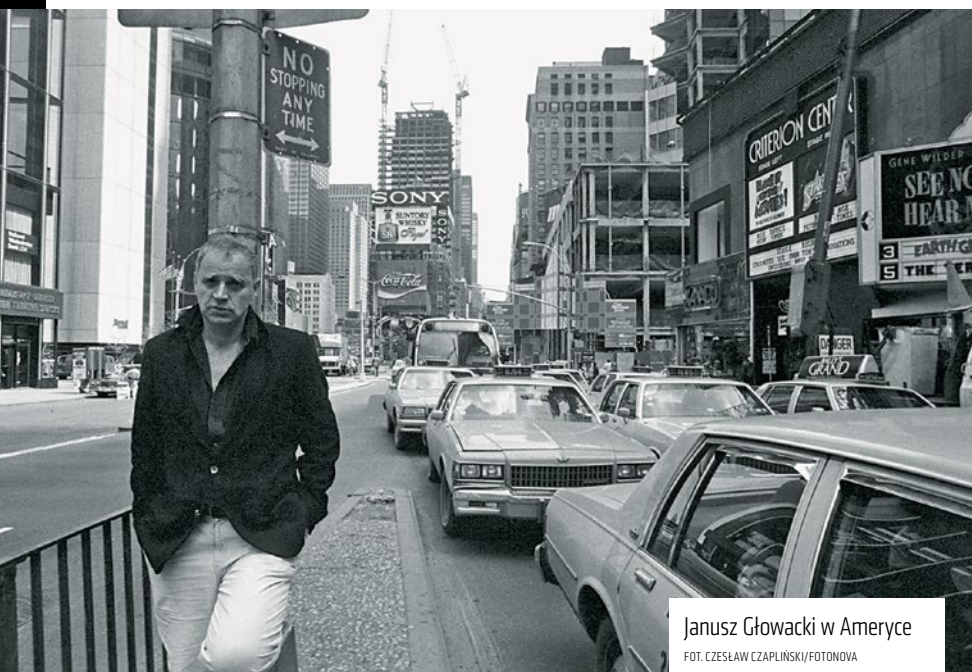
– Panie, za dwadzieścia złotych to ja mogę kupić pół litra.

– Ale pół litra kupuje pan codziennie, a choinkę raz na rok”.

Niekoniecznie go rozumiano. W „Z głowy” odniósł się między innymi do tego, jak przyjęto jego opowiadanie „My sweet Raskolnikow”: „Jak dotąd, to w felietonach robiłem sobie rozmaite zabawy, wymyślając nowe wersje Poloniusza, Attyli, Tyberiusza czy Karola Wielkiego. To teraz sobie pomyślałem: niby dlaczego w prozie nie spróbować? [...] Ponieważ w Polsce tylko pojedynczym krytykom się udaje zauważyć, że bohater literacki niekoniecznie jest identyczny z osobą autora, odkryto, że podniecają mnie stare kobiety i mam kompleks Edypa”.

Nic się nie stało

Po obaleniu komuny Głowacki zaczął dzielić swoje życie między Warszawę a Nowy Jork, z naciskiem na tę pierwszą. W końcu w pisarskiej autobiografii „Z głowy”, swojej najdojrzałszej i najlep-



Janusz Głowacki w Ameryce

FOT. CZESŁAW CZAPLIŃSKI/FOTONOVA

naszego gorącego humanizmu. Ktoś chorobliwie podejrzliwy mógłby zapytać o różnice pomiędzy naszym gorącym humanizmem a humanizmem zwykłym. Odpowiedź jest prosta: nasz był lepszy.

W związku z tym w czasach PRL-u w Polsce nie wystawiono niemal żadnej prawdziwej komedii. To, z czego wolno się było śmiać, nikogo nie śmieszyło. To, z czego ludzie się śmiali, nie przechodziło przez cenzurę. Sprawa z tragedią wyglądała jeszcze bardziej ponuro”.

W Ameryce było inaczej i wkrótce odnotowywać zaczął „Głowa” prawdziwe sukcesy, o których nad Wisłą mówiono z niekłamaną zawiścią. Pod koniec 1982 r. w jego „Kopciuchu” zagrał sam Christopher Walken (już po „Łowcy jele-

podpisywanych umów wstępnych nie zrealizowano w Ameryce żadnego z jego scenariuszy.

W Polsce – dokąd powrócił po upadku komuny, przez dłuższy czas mieszkając to tu, to tam – uchodził za to w tej dziedzinie za mistrza, nieco chimerycznego wprawdzie, ale mistrza. Przede wszystkim zasłynął jako scenarzysta kultowego polskiego filmu wszech czasów – „Rejsu” (1970), wyreżyserowanego przez kolegę „Głowy”, Marka Piwowskiego. Ale też był Głowacki autorem literackiego tworzywa do świetnego filmu Janusza Morgensterna „Trzeba zabić tę miłość” (1972) i jakby mniej świetnych obrazów Andrzeja Wajdy: „Polowanie na muchy” (1969) i „Waleśa. Człowiek z nadziei” (2013). Napisał również scenariusze „Choinki

szej książce, porównywalnej z „Pięknymi dwudziestoltnimi” Marka Hłaski, wyznał: „Zanim postanowiłem zostać pisarzem, uczyniłem jedną rzecz, która mi się wydawała mądra. Poszedłem na ulicę Mokotowską do baru Przechodniego”.

W tej samej książce rozdział dotyczący Jerzego Kosińskiego zaczął Głowacki od pytań: „Gdzie się u Jerzego Kosińskiego kalkulacja kończy, a prawda zaczyna? Z bliska oglądałem wiatrak, na którego skrzydłach świetnie sobie radził, więc kiedy i dlaczego się poślizgnął? Bo przecież szło tak dobrze. No i czy ten upadek i straszny koniec był w jego historię wpisany z góry? Więc jednak tragedia?”.

Z pytań tych zrodziła się później, w 2010 r., książka „Good night, Dżerzi”. Bodaj najgorsza w całym dorobku pisarskim „Głowy”, bo usiłująca pospolitemu łgarstwu i plagiatorstwu uprawianemu przez autora „Malowanego ptaka” przydać znamion wyjątkowości. A to się udało nie mogło.

Za to nie w pełni doceniono „Ostatniego ciecia”, niewielką powieść z 2001 r., którą można uznać za profetyczną w stosunku do zamachu na World Trade Center. Jest jednak ta książka – mówił mi Janusz Głowacki w wywiadzie z października 2001 r. – „i o nieszczęściu, i strachu Ameryki, i całej kultury zachodniej. Tak to sobie wymyśliłem, żeby pojawił się Chagall w całym tym koszmarnie z jego latającymi poetycko-dramatycznymi rybo-ludźmi, które na początku książki zdobią Lincoln Center. Na końcu mojej książki ludzie lecą z nieba jak pociski. W życiu prawdziwym przed World Trade Center ci, którzy uciekli z wieży, uchylali się przed tymi, którzy spadali na nich z góry”.

„Ostatni cieć” – powiadał „Głowa” – to także „reakcja na straszliwe zidiocenie mediów, które prześladowały z powodu pani Moniki jednego z największych prezydentów Stanów Zjednoczonych i obchodziły śmierć księżny Diany i zabójstwo Gianni Versace jako największe katastrofy dwudziestego wieku”. W kontekście tego peanu na cześć Billa Clintona i późniejszego poparcia Głowackiego dla Bronisława Komorowskiego zastanawiają inne jego słowa: „Pisze się dużo o fundamentalizmie islamskim. Dzieli talibów na lepszych i gorszych. Mnie wszyscy wydają się dość okropni. Po arabskiej stronie po tym, co się stało, jakoś nie widzę żadnej skruchy. Ja już nie

mówię o potępieniu. Tak jakby w ogóle się nic nie stało”.

Pisarsko pożegnał się z nami, wydaną już pośmiertnie, w 2018 r. „Bezsennością w czasie karnawału”. Wspomnienia Głowackiego są, jak można było się spodziewać, odpowiednio nasycone barwami, zdziwiła mnie wszakże następująca refleksja: „W dwudziestym pierwszym wieku, mimo że to początek, u nas same wątpliwości. To znaczy to, jak pić denaturat, żeby nie oślepnąć, wie każde dziecko, ale kto spalił kogo w Jedwabnem – Polacy Żydów czy Żydzi Polaków – to już niekoniecznie, żeby nie wpuszczać uchodźców, bo roznoszą wszystko, co najgorsze, to wiadomo, ale gdzie i jak umarł Mickiewicz, i na co, to już nie”.

No cóż, w sławnym poemacie „Moskwa-Pietuszki” Wieniedikta Jerofiejewa podobne przemyślenia brzmiały tak (w przekładzie Andrzeja Drawicza): „Sposobu oczyszczania polityury nie będę wam przypominać, bo zna go każde dziecko. W Rosji nikt dłużej nie zna przyczyny śmierci Puszkina, natomiast sekret oczyszczania polityury znają wszyscy”.

Nie ukrywam, że wersja rosyjska, nie tylko dlatego, że wcześniejsza, podoba mi się bardziej, zwłaszcza w oryginale, w którym mowa jest – jeśli dobrze pamiętam – nie o denaturacie, nie o politurze, ale o zwieroboju.

Głowacki przez lata przyzwyczaił nas, że swoim niepowtarzalnym poczuciem humoru potrafił zrównoważyć nawet swoje najbardziej ryzykowne pomysły.

Pamiętają państwo, jeśli nie z opowiadania, to z filmu Wajdy „Polowanie na muchy”, brawurową scenę, w której synek bohatera opowiada o tym, jak dziadzius pierdnięciem uratował armię Andersa. No, był w tym cały beznadziejny antypatrio-

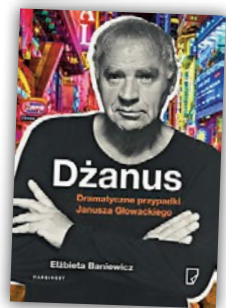
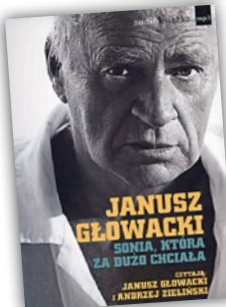
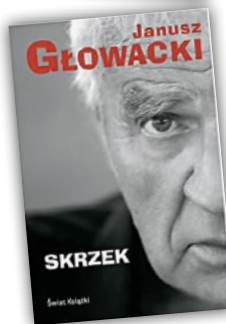
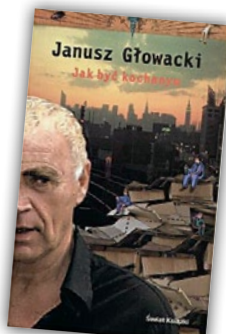
tyzm tzw. szkoły polskiej, ale można było tę scenę odebrać jako parodystyczną, a wreszcie była nieodparcie śmieszna, a śmiech jak nic innego potrafi rozładować nawet najbardziej stężoną atmosferę.

W „Bezsenności w czasie karnawału” nie jest już śmiesznie, wręcz przeciwnie. Jakoś dziwnie nie śmieszają kpinki z prezydenta (nie tego, którego popierał) przetykane po raz tysięczny cytowanym Himilbachem, a na koniec opis snu z jakże wdzięcznymi dwuwierszami: „Dziś są Żydów imieniny, niech się palą skurwysyni!”, „Jarosław, Polskę zbaw!”, „Cała Polska śpiewa z nami, wypierdalać z uchodźcami!”, „Żydzi, zwróćcie pieniądze za gaz!”.

I już nie umiem po tej książce pisać o „Głowie” tak jak kiedyś, z ogromną przyjemnością i podziwem, czasem chyba bezkrytycznie, ale to był w naszej warszawskiej rzeczywistości ktoś wyjątkowy.

Dlatego dalej przykro mi słuchać, a i czasem czytać, o jego nie za pięknych czynach. I dlatego też nie piszę o nich, na koniec raz jeszcze oddając głos samemu pisarzowi, który w 2007 r. wydany przez Świat Książki tom swoich sztuk poprzedził wstępem zatytułowanym „Ściągawka”, z takim oto finałem: „[...] chciałem zwrócić uwagę, że zebrane tu sztuki są całkiem dobrze rozumiane i grane w kilkudziesięciu krajach. Także w tych, w których nie zawsze cała widownia ma pewność, gdzie leży kraj nasz. Można więc odnieść wrażenie, że ja niekoniecznie piszę tylko i wyłącznie na przykład o Polakach, Rosjanach czy Portorykańczykach, ale trochę bardziej ogólnie, o ludziach. A Warszawa, Moskwa czy

Nowy Jork to tylko dekoracje, między którymi ktoś sobie chodzi”.



Polska w 1939 r. nie mogła wygrać wojny z Niemcami. Wynikało to z czterech podstawowych przyczyn.

1. Polska posiadała słabszą, mniej zmotoryzowaną armię.
2. Polska była otoczona przez Niemców z północy, południa i zachodu.
3. Sojusze, które zawarł minister Józef Beck, zawiodły.

4. Cios w plecy zadali nam bolszewicy. Nie zmienia to faktu, że nawet w tak tragicznej sytuacji Wojsko Polskie na wrześnieowych polach bitew mogło osiągnąć więcej, niż osiągnęło. W książce „Fall Weiss” pisze o tym znany amerykański historyk i były oficer US Army Robert Forczyk:

„Gdyby Rydz-Śmigły rozkazał każdej z armii polowych przeznaczyć po jednej dywizji czynnej i jednej rezerwowej do obrony głównych miast – Modlina, Bydgoszczy, Poznania, Łodzi, Częstochowy, Katowic i Krakowa – Niemcy musieliby wydzielić znaczną część piechoty i artylerii do ich oblężenia, przez co znacznie mniejsze siły mogliby skierować w głąb Polski. Niemieckie metody operacyjne nie nadawały się do walk miejskich, ich siła ognia była mniej skuteczna, którą to słabość Polacy mogli przewidzieć i wykorzystać.

Reszta polskich sił, około 20 dywizji, mogła zostać skoncentrowana wokół Warszawy, Lublina i Lwowa, wykorzystując Wisłę jako osłonę – co rekomendowali Francuzi. Koncentrując armie, Polacy mogliby uzyskiwać lokalną przewagę liczebną, tak jak nad Bzurą, w celu odniesienia sukcesów taktycznych. Gdyby Polacy skoncentrowali wszystkie dostępne czołgi, zmotoryzowane brygady kawalerii i lotnictwo od początku w Armii »Warszawa«, zapewne udało by im się uniemożliwić Niemcom okrążenie i bombardowanie miasta przez dłuższy czas”.

Bez wątpienia są to uwagi w dużej mierze słuszne. Pomysł obrony całej granicy polsko-niemieckiej był z góry skazany na klęskę. Linia Wisły była jedyną linią, której można było próbować bronić przed Niemcami. Z wojskowego punktu widzenia alternatywny plan przedstawiony przez Forczyka jest więc bez zarzutu. Wątpliwości budzi jednak wizja polskich jednostek toczących zacięte boje uliczne z Wehrmachtem na ulicach Modlina, Bydgoszczy, Poznania,



Adolf Hitler na froncie w Polsce.
Wrzesień 1939 FOT. WIKIPEDIA

Książka miesiąca / Polska kontra Niemcy

Wojna '39

Łodzi, Częstochowy, Katowic i Krakowa. Rzeczywiście spowolniłoby to marsz Niemców ku Wiśle. Ale co z cywilami? Miasta te zostałyby przecież obrócone w gruzy wraz z ludnością. A jedynym zyskiem było przedłużenie kampanii o kilka tygodni. Nie zmienia to jednak jej ostatecznego wyniku.

„Silniejszy polski opór zapewne opóźniłby wkroczenie Sowietów – pisze dalej amerykański historyk – jako że Stalin nie był zainteresowany prowadzeniem długotrwałej kampanii w Polsce. Lepsi dowódcy, na przykład Sosnkowski zamiast Dęba-Biernackiego, i wcześniejsza mobilizacja zapewne także zwiększyłyby skuteczność sił polskich w kampanii. Wreszcie polski Sztab Główny powinien był przewidzieć potrzebę tworzenia oddziałów partyzanckich na terenach okupowanych, utworzyć rozproszone, dobrze ukryte składy uzbrojenia oraz wyznaczyć oficerów rezerwy na dowódców tych oddziałów”.

W swojej znakomicie udokumentowanej i – przede wszystkim – bezstronnej i obiektywnej książce Forczyk przedstawia również poważne błędy strony niemieckiej. Wbrew tezom propagandy Goebbelsa, powtarzanym często bezwiednie przez zachodnich historyków, kampania w Polsce nie była wcale dla Wehrmachtu spacerkiem.

Wojsko Polskie stawiało zacięty opór, zadając Niemcom niemałe straty. „Kampania polska, mimo że krótka, była niezwykle brutalna i ciężka. Choć Niemcy mieli inicjatywę, Polacy kontratakowali przy każdej nadarzającej się okazji” – pisze Forczyk.

Jakby tego było mało, Wehrmacht dopiero uczył się wojny błyskawicznej. Zawiodły logistyka i rozpoznanie. Zarówno siły pancerne, jak i Luftwaffe nie wykorzystwały swoich możliwości. Niemieccy generałowie podejmowali złe decyzje operacyjne. Co ciekawe, bardzo kiepsko biły się formacje SS, które – jak pisze Forczyk – znacznie lepiej radziły sobie w pastwieniu się na ludnością cywilną niż w konfrontacji z regularnymi jednostkami Wojska Polskiego.

Książka „Fall Weiss” potwierdza starą prawdę, że ciekawie jest spojrzeć na – wydawałoby się – dobrze znane sprawy z perspektywy bezstronnego obserwatora. ©

Piotr Zychowicz



ROBERT FORCZYK
„FALL WEISS. NAJAZD NA
POLSKĘ 1939”

REBIS

Windsor polskim królem

Generałem w tytule książki jest premier emigracyjnego rządu RP i naczelny wódz PSZ gen. Władysław Sikorski, natomiast diukiem – brytyjski książę Kentu Jerzy Windsor. Sprawą przewijającą się przez całą książkę jest możliwość objęcia przez tego członka panującej w Wielkiej Brytanii rodziny królewskiej... tronu w państwie polsko-czechosłowackim, które planowano utworzyć po wygranej wojnie z III Rzeszą. Kwestia doprawdy fascynująca.

Autor drobiazgowo i wnikliwie wyszukuje oraz zbiera wszelkie ślady mające do wiodzić, że sprawa istotnie znajdowała się na stole (czy raczej pod stołem...) politycznych rozgrywek w okresie premierostwa Sikorskiego. Efekty poszukiwań Golca są ciekawe, choć swoich zamierzeń wobec diuka polski przywódca nigdy oficjalnie nie wysunął, a po rozpoczęciu wojny Hitlera ze Stalinem plan zawarcia unii z Czechosłowakami również przestał być aktualny. Przyczyną było sowietofilstwo czechosłowackiego przywódcy Edwarda Benesa i jego błyskawicznie zawarte z bolszewikami porozumienie.

To jeden z wielu czynników, które rzutowały na sytuację polskiego rządu na uchodźstwie i w ogóle sprawę polską podczas drugiej wojny światowej. W miarę rozwoju sytuacji wojennej stawała się ona coraz bardziej dramatyczna. Od lata

1941 r. Polska przestała być dla Churchilla „jedynym sojusznikiem”, a stawała się coraz bardziej niechcianym balastem. Przy okazji Golec stara się wyjaśniać liczne tajemnice emigracyjnych władz polskich i rozszyfrowuje rolę dziwnych postaci, które pojawiały się w otoczeniu Sikorskiego. Na przykład Józefa Retingera, poważanego przez Londyn i Moskwę, a u Polaków budzącego zasadne wątpliwości, czy rzeczywiście służy polskiej sprawie.

Przy wszystkich zasługach Władysława Sikorskiego dla Polski autor słusznie przypomina jego niezbyt chlubne poczynania i cechy charakteru. Okazał np. małostkowość i mściwość wobec licznych sanacyjnych oficerów, którym nie pozwolił na emigracji wstąpić w szeregi wojska i których odizolował na Wyspie Węży. Przejawiał też, co dyskwalifikuje go jako męża stanu, uległość wobec Churchilla, naiwność wobec Roosevelta, brak stanowczości w obronie kresów przed Stalinem. Smutne to, ale warto o tym wszystkim wiedzieć... ©©

Maciej Rosalak



RADOSŁAW GOLEC
„**GENERAŁ I DIUK**”
Z PRZEDMOWĄ PIOTRA
ZYCHOWICZA

FRONDA.PL

Traumy rodzin katyńskich

Część członków rodzin zamordowanych oficerów była także ofiarami zbrodni katyńskiej. Zalicza się bowiem do ofiar tej zbrodni również aresztowanych i straconych w latach 1940–1941. Autorka pisze o losach poszczególnych osób, a także całych rodzin, deportowanych w 1940 r., oraz o tych, którym udało się pozostać w domach. „We wspomnieniach i relacjach widoczne są syndromy patologii procesu żałoby, która nierzadko trwała do końca życia wdów” – stwierdza Joanna Kurczab. Autorka pisze o tym, jak emocjonalna trauma wpływała na

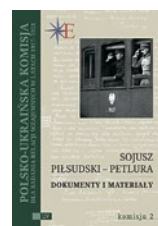
postawy życiowe rodzin katyńskich. A jedną z nich była dławiąca psychikę konieczność zachowania milczenia o losie zamordowanych mężów, ojców i braci. Pielęgowano jednak w ukryciu pamięć o nich. ©©

(t.s.)



JOANNA KURCZAB
„**OFIARY DWÓCH
TOTALITARYZMÓW. LOSY
RODZIN KATYŃSKICH POD
OKUPACJĄ SOWIECKĄ
I NIEMIECKĄ**”

INSTYTUT PIŁECKIEGO



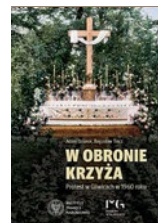
**RED. JAN PISUŁIŃSKI,
WITALIJ SKALSKI**
„**SOJUSZ
PIŁSUDSKI-PETLURA**”

IPN

PETLURA BYŁ Z NAMI!

Warto pamiętać, że podczas wojny 1920 r. nie byliśmy sami. U boku Wojska Polskiego dzielnie walczyli nasi wschodni sojusznicy. Między innymi armia Ukraińskiej Republiki Ludowej. W książce pod redakcją J. Pisułińskiego i W. Skalskiego „Sojusz Piłsudski-Petlura” znalazły się ciekawe dokumenty dotyczące tego przymierza. Historia piękna, ale z paskudnym, ryskim zakończeniem. ©©

(p.z.)



**ADAM DZIUROK,
BOGUSŁAW TRACZ**
„**W OBRONIE KRZYŻA**”

IPN

GLIWICE – OBRONA KRZYŻA

Autorzy piszą o walce komunistów z religią – w tym o usuwaniu krzyży z przestrzeni publicznej. W 1960 r., w obronie krzyża w dzielnicy hutniczej Gliwic, przy kościele i klasztorze franciszkanów stanęło tysiąc katolików. Milicja zaatakowała ich i niemal 40 aresztowała. Opis protestu i represji wzbogacony został o listy parafian, homilie, relacje świadków, sentencję wyroku. ©©

(t.s.)



ADAM ZAMOYSKI
„**WARSZAWA 1920**”

WYDAWNICTWO LITERACKIE

ZAMOYSKI O ROKU 1920

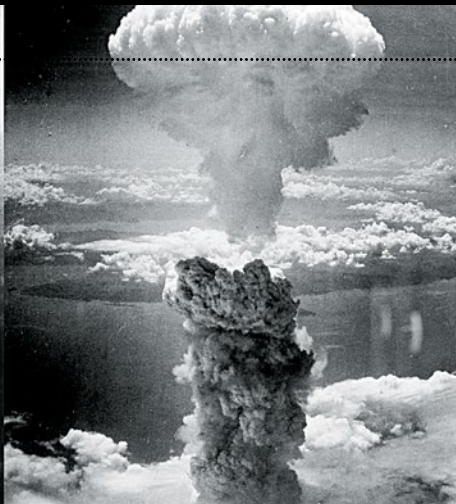
Opowieść znanego historyka o wojnie 1920 r. jest OK. W angielskim oryginale uzmysławiała cudzoziemcom, co się wtedy naprawdę wydarzyło. Już na okładce Zamoyski zapowiada „nieudany podbój Europy i klęskę Lenina”, a w zakończeniu pisze o „dwóch dziesięcioleciach wolności wywalczonych przez Piłsudskiego i jego armie” dla „demokratycznego i państwowego instynktu” dzisiejszej Europy Środkowo-Wschodniej. ©©

(m.r.)



Amerykański atak atomowy na Japonię

FOT. WIKIPEDIA



Fenomen Japonii

Przez pół wieku Japonia znajdowała się w gronie światowych mocarstw. O fascynująco szybkim wzlocie i równie szybkim upadku tego kraju opowiada w zajmujący sposób klarownie napisana książka Jakuba Polita.

Jak zauważa autor, Japończycy w przeciwieństwie do Chińczyków nie koncentrowali się na rozpatrywaniu własnych cnót oraz barbarzyństwa i niegodziwości ludzi Zachodu. Stu młodych ludzi określanych jako „oligarchia Meiji” (od imienia cesarza) spowodowało, że Kraj Kwitnącej Wiśni dokonał gigantycznego skoku cywilizacyjnego.

Modernizacja i westernizacja Japonii pozwoliła na osiągnięcie sukcesów w ekspansji na kontynent azjatycki.

W 1894 r. równowaga wpływów chińskich i japońskich w Korei załamała się. „Działania wojenne stały się wkrótce – ku niejakiemu zdumieniu państw zachodnich i szokowi samych Chińczyków – pasmem druzgocących japońskich sukcesów”. Odtąd „egzotyczni wyspiarze” zaczęli być postrzegani jako liczący się gracz. Apetyt na Koreę i wpływy w Chinach miała także Rosja. Prowadziło to ku wojnie. Tymczasem Japonia zawarła sojusz z Wielką Brytanią. „Nie bez racji widziano w tym pasowanie Japonii do roli mocarstwa” – stwierdza Jakub Polit.

O zwycięstwie w wojnie Japonii z Rosją

zdecydowała w wielkiej mierze różnica wykształcenia i mentalności żołnierzy walczących stron. Żołnierze japońscy mieli za sobą szkołę podstawową i byli świadomi, iż walczą za ojczyznę. Nie można tego było powiedzieć o żołnierzach rosyjskich.

Jakub Polit pokazuje kolejne odłony rywalizacji Japonii o Chiny. Doprowadziła ona do tego, że zamknął się rozdział „Japonia wśród mocarstw”, a otworzył nowy: „Japonia przeciw mocarstwom”. Japonia wkroczyła na równię zsuwać, ale wcale nie musiała się po niej zsuwać. Autor zauważa, że zachowałaby swój status mocarstwa azjatyckiego oraz światowego gracza, gdyby w 1941 r. przyłączyła się do ataku III Rzeszy na Związek Sowiecki. Los imperium Stalina byłby wtedy przesądzony. Zwolennicy wojny wtedy przegrali. Prawdziwą katastrofą była jednak przegrana w tym samym roku zwolenników pokoju ze Stanami Zjednoczonymi. Zlekceważono tych, którzy wskazywali na różnice potencjałów obu państw i niemożliwość wygrania z Ameryką wojny na morzu. Japonia przegrała i skapitulowała. Zdaniem auto-

ra zachowała jednak twarz. „Utrata twarzy oznacza na Dalekim Wchodzie utratę wszystkiego. Utrata wszystkiego nie musi oznaczać bynajmniej utraty twarzy”. ©©

Tomasz Stańczyk

JAKUB POLIT
„JAPONSKA
POLITYKA
ZAGRANICZNA
1895–1945”

ARCA



Polacy kontra Luftwaffe

Podniebne pojedynki pilotów myśliwców przypominają rycerskie potyczki podczas średniowiecznych turniejów. Tyle że zamiast koni są samoloty. A zamiast kopii – karabiny maszynowe. No i jeszcze jedna różnica – w powietrzu wszystko dzieje się tysiąc razy szybciej.

„Olbrzymi cień przesłonił miabinę – wspominał polski pilot myśliwski Marian Duryasz. – Nad głową w odległości metra zauważyłem brzuch samolotu, a obok kabiny przelatujące smugi świetlne. Mentalnie kopnąłem maszynę w prawo, dając również w tę samą stronę drążek. Samolot wpadł w korkociąg. Gdy po

dwóch zwitkach wyprowadziłem go, zauważyłem w pobliżu otwarty spadochron, wiszącego na nim kolegę oraz lecące w jego kierunku dwa messerschmitty. Dalej w lewo zobaczyłem drugi spadochron i idący w dół dymiący samolot. Nie namyślając się, skierowałem swego hurricane’a przeciwko messerschmittom”.

Dawno nie czytałem tak dynamicznych opisów podniebnych walk. Duryasz przedstawia swoje dokonania podczas bitwy o Anglię oraz późniejsze loty nad okupowaną Europę. Pisze o swoich zwycięstwach, ale również o porażkach. Książka kończy się gorzko. Cały wysiłek, cała krew przelana u boku Brytyjczyków

na nic się nie zdały. Nasz „sojusznik” nas zdradził i przegraliśmy wojnę.

Minusem książki jest to, że była pisana dla czytelnika w PRL. Część zawartych w niej stwierdzeń jest więc zgodna z tezami komunistycznej propagandy. ©© (p.z.)



MARIAN DURYASZ
„MOJE PODNIEBNE BOJE.
WSPOMNIENIA DOWÓDCY
DYWIZJONU 302”

BELLONA

Żelazny gwardzista

Lata 20. były w Europie okresem intensywnego rozwoju organizacji o charakterze narodo-radykalnym. Do takich należał utworzony w Rumunii 24 czerwca 1927 r. Legion Michała Archanioła. Wodzem tej organizacji został Corneliu Zelea Codreanu, którego dotychczasowa, radykalnie antysemicka działalność powodowała zdecydowane reakcje rumuńskich władz policyjnych. Brutalności ze strony organów porządku publicznego doświadczyli bliscy współpracownicy Codreanu. W odwiecie przyszedł lider legionu dokonał 25 października 1924 r. zabójstwa policyjnego prefekta Constantina Maniu. I choć został za ten czyn aresztowany i postawiony przed obliczem Temidy, to szybko go uniewinniono. Od tego momentu zaczęła wzrastać jego popularność. On sam czynił w tej materii starania, jeżdżąc po kraju i zdobywając coraz większą rzeszę zwolenników. Legioniści organizowali manifestacje, pochody, zbierali datki na ubogich, wzywali do służenia Bogu i ojczyźnie. Kapitan – jak go nazywano – głosił konieczność stworzenia tzw. nowego człowieka, skromnego patrioty-nacjonalisty, religijnie uduchowionego.

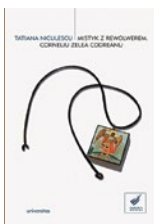
Wzrost aktywności legionu zbiegł się z momentem wstąpienia na tron króla Karola II. Był on zwolennikiem sprawowania władzy dyktatorskiej, uważając organizację i partię polityczną za rozsądną anarchię i destabilizację. Tak też oceniał powstałą na podstawie legionu Żelazną Gwardię. Zamachy przeprowadzone przez gwardzistów na osobach uznawanych za wrogów narodu oraz rywalizacja z dworem królewskim o rząd dusz Rumunów wzmagały napięcie między władzą a gwardzistami. Minister spraw zagranicznych Nicolae Titulescu zasugerował królowi, że rozwiązanie gwardii pomoże w negocjacjach w sprawie układu o nieagresji z ZSRS. Karol II postanowił więc polecić nowo mianowanemu premierowi

Ionowi Duce'owi zablokowanie możliwości startu gwardzistów w wyborach parlamentarnych roku 1933. W odpowiedzi na ten krok połączony z masowymi aresztowaniami 29 grudnia 1933 r. na dworcu w Sinaia gwardzista Nicu Constantinescu dokonał śmiertelnego zamachu na premiera. Zabójcę i jego dwóch pomocników sąd skazał na kary dożywotniego pozbawienia wolności.

Rosnące poparcie gwardzistów uświadomiło królowi, że Żelazna Gwardia jest przeciwnikiem, którego nie należy lekceważyć. Stąd rumuński władca postanowił politycznie zneutralizować kapitana, proponując mu objęcie funkcji premiera.

Codreanu odrzucił tę propozycję. W zorganizowanych w 1937 r. wyborach jego ugrupowanie występujące pod nazwą Wszystko dla Kraju zdobyło 15-procentowe poparcie. Na stanowisko prezesa rady ministrów mianowano bliskiego ideowo legionistom Octaviana Gogę. Rząd przez niego kierowany wprowadził w życie pierwsze w Rumunii ustawodawstwo antysemickie. Elementem codzienności stały się też napady na przedstawicieli społeczności żydowskiej. Antyżydowskie regulacje i ekscesy poddane zostały krytycznemu osądowi ze strony Francji i Wielkiej Brytanii. Tymczasem dwór, dzieląc opinię ministra spraw wewnętrznych Armanda Călinescu, zaczął się obawiać, że w sytuacji podjęcia przez III Rzeszę nacisków na Rumunię w sprawie zwiększenia współpracy gospodarczej gwardziści propagujący konieczność sojuszu z Niemcami staną się środkiem nacisku Berlina na Bukareszt. Aby uniknąć takiej sytuacji, Karol II podjął decyzję o fizycznej eliminacji Codreanu. Początkowo aresztowano i po sfinansowanym procesie skazano go na 10 lat więzienia. W nocy z 29 na 30 listopada 1938 r. rozkaz królewski wykonała grupa specjalnie dobranych żandarmów, dusząc kapitana i 13 innych odbywających karę pozbawienia wolności legionistów. ©

Arkadiusz Karbowiak



TATIANA NICULESCU
„MISTYK
Z REWOLWEREM.
CORNELIU ZELEA
CODREANU”

UNIVERSITAS

Führer w obiektywie

Fotografa Heinricha Hoffmanna (1885–1957) ceniono już przed pierwszą wojną światową, gdy robił czasem zdjęcia koronowanym głowom, podczas wojny utrwał sceny z okopów, a po wojnie przystąpił do NSDAP Adolfa Hitlera (1919). Został nie tylko jego osobistym fotografem, lecz także źródłem informacji o nastrojach wśród Niemców, czymś w rodzaju nadwornego wesołka, a nawet współnika zysków czerpanych z wielonakładowych albumów zdjęciowych. W jego zakładzie fotograficznym Hitler poznał też Ewę Braun. Zaiste, piękne to były czasy...

Zażyłość z Hitlerem naraziła Hoffmanna na zawiść i wrogość najwyżej postawionych nazistów – Goebbelsa, Ribbentropa, a w końcu wszechwładnego Bormanna, którego intryga (oskarżenie o nosicielstwo tyfusu) mogła się skończyć śmiercią fotografa. W kwietniu 1945 r. uciekał on z Kancelarii Rzeszy – jak pisał – nie ze strachu przed upadkiem Berlina i czerwonoarmistami, ale przed gniewem przegranego w osobistych porachunkach Bormanna. Ulżyło mu świadectwo esesmana, który widział i dotykał jego trupa przed mostem nad Sprewą.

Hoffmann wykonał ponad 2 mln zdjęć z epoki hitlerowskiej. Wódz był zeń zadowolony, ale nie spodobało mu się, że na każdym zdjęciu z Kremla (podpisanie paktu 1939 r.) Stalin jest z papierosem. Zdaniem Hitlera uwłaczało to jego nowemu, sowieckiemu przyjacielowi. Kazał papierosy zamazać. I tak Józef Wissarionowicz okazał się niepalącym akurat dnia, w którym wraz z niemieckim współnikiem podpalali świat... ©

Maciej Rosalak



HEINRICH HOFFMANN
MÓJ PRZYJACIEL HITLER.
WSPOMNIENIA FOTOGRAFA
HITLERA

WYDAWNICTWO RM

Strategia A.D. 2020 / Wschodnia flanka NATO

Grodno FOT. ADBESTOCK

Niemeński bastion



Jacek Bartosiak

Mamy znów problemy Napoleona w 1812 r. i Piłsudskiego w 1920 r.

Można by powiedzieć, że w naszej kulturze strategicznej bardzo wiele spraw sprowadza się do Niemna. Rzeki, która jest wszechobecna w polskiej historii, kulturze i literaturze. Również, oczywiście, w historii wojen w naszej części świata. Jeśli chodzi o ewentualną wojnę w obronie państw bałtyckich, to nie jest inaczej.

15 sierpnia to nasze wielkie święto, jednak szczególnie jest to święto Wojska Polskiego. Setna rocznica w obecnym roku 2020 to wyjątkowo stosowny moment, żeby nie tylko pochylić się nad dokonaniem z przeszłości, lecz także by pomyśleć o przyszłości i zastanowić się, na czym powinna polegać służba w nadchodzących czasach. Bardzo możliwe, że będą to czasy burzliwe. A na pewno inne niż ostatnie 30 lat.

Bitwa Warszawska, prowadzona własnymi siłami, w wojnie manewrowej, czę-

sto z otwartymi flankami, wykorzystująca polską geografie wojenną, manewr strategiczny i inicjatywę operacyjną, zatrzymała ofensywę wroga na Warszawę, by w rezultacie przeciąć jego linie komunikacyjne ciągnące się z kierunku brzeskiego. Natomiast nie zakończyła ta bitwa wojny.

Potrzebna była o miesiąc późniejsza bitwa niemeńska, gdy Józef Piłsudski uznał, że trzeba pobić przeciwnika również na linii Niemna i odsunąć zagrożenie od obszaru rdzeniowego państwa, jak najdalej się da na wschód.

Zabrakło wówczas jeszcze jednej, być może ostatecznej, bitwy, gdzieś hen za Berezyną, pod Witebskiem, Orszą lub Połockiem, która odsunęłaby Rosję od Wisły, Warty i Niemna i osłoniła tworzenie konstruktów federacyjnego Polski z Białorusią oraz Ukrainą. Zabrakło także wielu innych rzeczy, ale to opowieść na kiedy indziej. Rzeczpospolita była po prostu bardzo zmęczona czteroletnią wielką wojną, a potem bardzo ciężkimi zmaganiem w latach 1918–1921. Nadszedł czas, by wojnę zakończyć.

Polska wygrała wojnę i odniosła wielki sukces militarny, który będzie pamiętany przez następne pokolenia. Sukces ten zasługuje na wspaniały łuk triumfalny w stołecznej Warszawie oraz pomniki. Możemy czuć dumę z wysiłku żołnierskiego tamtego czasu: odwagi

i pomysłowości naszego żołnierza, naturalnej dla niego wytrzymałości, inicjatywy taktycznej i operacyjnej, kreatywności czy skłonności ofensywnych, na które zawsze mógł liczyć Wódz Naczelny, o czym zaświadczały liczne wspomnienia, pamiątki i raporty.

Pomimo sukcesów bitewnych nie wygrała niestety Polska pokoju na poziomie strategicznym, nie udało się bowiem utworzyć trwałego konstruktów federacyjnego z Ukrainą ani z Białorusią, z obronnymi liniami strategicznymi co najmniej na Dźwinie i Dnieprze. Taki organizm federacyjny miałby szansę stać się przeciwwagą dla tradycyjnej w nowoczesnych czasach przewagi Niemiec i Rosji w naszej części świata.

Piłsudski to wiedział, dlatego nie był – mówiąc delikatnie – kontent i stał się z czasem pesymistą co do przyszłości. Wiedział, że dobra pogoda geopolityczna po wielkiej wojnie kiedyś się skończy. Miał rację, przyszły kolejna wojna światowa i czasy utraty niepodległości.

Po 100 latach...

Dzisiaj także Niemen i jego przebieg spędzają sen z powiek polskim planistom chcącym sensownie zaplanować pomoc państwom bałtyckim w razie wojny z Rosją. Już na samym początku

ewentualnej kampanii temat Grodna nad Niemnem wisi nad prawą flanką polską, w obu poruszeniach: na Wilno trasą numer 16, ale też trasą S8 na Suwałki i Mariampol. Augustów jest zasłonięty skutecznie od wschodu lasami i jeziorami. Najbardziej zagraża mu więc zdobycie od południa, od strony Białegostoku, i od północy, od strony Raczek.

Grodno z powodu istnienia dogodnego do ataku terenu przez Sokółkę i Kuźnicę może od południa i wschodu odciąć Białystok, blokując nasze ruchy od prawej flanki i grożąc im non stop.

Do tego nie można oprzeć prawej flanki naszego ruchu na Niemnie, co jest naturalną potrzebą operacyjną. Teren oraz konieczność wykonania zadania przyjsia z pomocą Bałtom przez przesmyk suwalski „zapraszają” do wykonania manewru zabezpieczającego na Grodno z uchwyceniem mostów na Niemnie, aby wyeliminować grożący polskiej projekcji siły na Wilno i Kowno węzeł komunikacyjny Grodna.

To oczywiście pociąga za sobą polityczną i wojskową eskalację z Białorusią i Rosją, która stoi za Białorusią. Dlatego Grodno było kiedyś na linii komunikacji Warszawa–Wilno. Zresztą wzięcie Grodna pociąga za sobą konieczność zdobycia węzła w Wołkowysku oraz w miejscowości Mosty na Niemnie i stwarza pokusę osiągnięcia i zabezpieczenia całej linii Niemna, by móc się oprzeć na tej rzece i jej mostach. To oczywiście wciąga w wojnę Białoruś.

W związku z tym warto poczytać o bitwie niemeńskiej 1920 r., która nastąpiła po Bitwie Warszawskiej i przypieczętowała zwycięstwo wojskowe w wojnie 1919–1921. Głównym celem operacji niemeńskiej było Grodno, potem Lida w głębokim lewym ruchu flankującym oraz cała linia rzeki Niemien, przy czym ruch okrążający był wykonywany przez Druskienniki na północ od Grodna. Można sobie porównać, jak to teraz nie zgrywa się z granicami politycznymi pozostawionymi przez Stalina i po rozpadzie Sowietów.

To trudne zadanie dla naszych sił zbrojnych na wschodniej flance NATO i wyzwanie strategiczne dla państwa polskiego. Nawet bez poruszeń lądowych Grodno będzie musiało być rozpoznawane przez drony, siły

specjalne, nasłuch elektroniczny (polski system świadomości sytuacyjnej) i musimy mieć pewność dominacji w przestrzeni powietrznej (w tym nad śmigłowcami przeciwnika) na tym odcinku oraz zdolność reakcji na manewr ogniowy przeciwnika. Jednak i tak, modelowo, Grodno musiałoby zostać wyeliminowane dla prawidłowego ruchu na przesmyk suwalski i w głąb Litwy.

We współczesnych warunkach walka na polu boju zdominowana jest przez zwrotne, mobilne działania wojsk w rozszerzonym polu oddziaływania ze słabo osłoniętymi obszarami lub całkowicie nieosłoniętymi flankami. Kontrola flanki jest osiągana przez kontrolę świadomości sytuacyjnej, elastyczność manewrową oraz manewr ogniowy. I tak będzie w naszym poruszeniu na przesmyk. Głównymi metodami pokonania wojsk rosyjskich są ogień wyprzedzający i kontrola świadomości sytuacyjnej w trakcie poszczególnych faz konfrontacji ogniowej oraz w bitwie zwiadowczej o system świadomości sytuacyjnej.

Jak uderzy Rosja

Ze strony przeciwnika należy się liczyć z głębokimi wypadami za linię frontu i obejściami naszych zgromadzeń przez siły przeciwnika, przecinaniem naszych rozciągniętych linii komunikacyjnych, powodowaniem chaosu logistycznego, tworzeniem na naszych tyłach aktywnie działającego frontu walki z późniejszymi skoordynowanymi uderzeniami ze wszystkich kierunków. To niestety jest łatwe do przeprowadzenia na przesmyku suwalskim. Tak będzie wyglądała nowoczesna wojna.

Już na terytorium Litwy Niemien oraz Wilia, w Kownie formujące rozwidlenie, to ogromna przeszkoda operacyjna. Jeśli chodzi o Niemien, to mosty wychodzą ze wzgórz po obu stronach koryta rzeki; miasto rozrzucone jest po obu jego stronach, jakby w okowach rzek. Kowno musi być w NATO-wskich rękach. Historycznie zawsze było fortecą.

Gdyby Rosjanie za główny cel (punkt ciężkości) kampanii obrali Rygę, a myślę, że tak by było, to drugim ich, i następującym zaraz po zdobyciu Rygi, celem byłoby zneutralizowanie swojej jedynej słabości strategicznej w tym rejonie, któ-

rą jest odcięcie obwodu królewieckiego od własnego terytorium. Zdobycie Rygi mogłoby Rosjanom otworzyć drogę na południe przez zachodnią Litwę (przez Szawle i Taurogi) do mostu lądowego, bez konieczności zdobywania Wilna i Kowna. Przy jednoczesnym złamaniu Litwy od strony Dyneburga oraz uchwyceniu mostu na Niemnie w Jurborku zmieniałoby to cały obszar na północ od Niemna w rosyjską twierdzę – bastion oparty na Niemnie.

Gdyby Rosjanie zrobili to bardzo szybko, mogliby na linii Niemna stworzyć lądowy bastion antydostępowy, eliminując zaraz na początku kampanii swoją słabość w postaci strategicznej izolacji obwodu i zdobywając główne miasto regionu, czyli Rygę, podczas gdy wojsko polskie dopiero by się „kolebało” przez Warmię i Mazury oraz Suwalszczyznę na przesmyk suwalski i na Litwę, na linię Niemna, z flankowaniem rosyjskim od strony Grodna, Wołkowyska i Brześcia na wschodzie oraz z Gusiewa na zachodzie, w dogodnym dla Rosjan terenie, gdzie ruch polski musiałby być kanalizowany na Kowno.

Mogliby wówczas Rosjanie wydać bitwę w dogodnym dla siebie położeniu operacyjnym, działając z „niemeńskiego bastionu” i z obu flank naraz. To fatalne dla nas położenie. Jak kiedyś, w czerwcu 1812 r., Napoleon przekraczał Niemien będący granicą między strefą wpływów Rosji i Francji, tak teraz wojsko polskie musiałoby złamać „niemeński bastion”.

Generalnie rzecz biorąc, nie sposób dotrzeć do Rygi z Polski, a tym bardziej stworzyć stabilnej strategicznej linii komunikacyjnej w obliczu działania Rosjan i zważywszy na teren, który szczególnie na północ od Niemna „służy” Rosjanom. Linia Niemna sama w sobie jest dużą trudnością dla naszych sił zbrojnych. Ruszenie dalej na północ to dodatkowa operacja, wymagająca kontroli Kowna i jego przedpola, solidnego przygotowania, konsolidacji całej podstawy operacyjnej znajdującej się przed Niemnem w kierunku na Polskę, kontroli obu skrzydeł oraz zorganizowania zaplecza. Niczym kolejny skok na Pacyfiku z wyspy na wyspę, co znamy z drugiej wojny światowej.

Sprawa bardzo trudna, tak jak cała sytuacja bezpieczeństwa wschodniej flanki, na dawnych polskich kresach.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**Rafał A.
Ziembkiewicz**

/ Felieton

Podzwonne dla „Fantastyki”

/ **Młodzi z rodzin
AK-owskich zostawali
w PRL „inteligencją
techniczną”, choć czuli
się polską inteligencją,
po prostu**

jeden z przedstawicieli tej szczególnej odmiany polskiej inteligencji technicznej. Młodzi z rodzin AK-owskich, potomkowie „wyklętych” i innej „reakcji”, wszelkiego rodzaju „złe urodzeni”, zostawali w ten sposób w PRL „inteligencją techniczną”, choć czuli się polską inteligencją po prostu, bez żadnych przymiotników. Jej dzieje czekają na swego kronikarza. Gdyby się taki pojawił, podpowiem mu, zupełnie przyczynkarsko, jeden fakt – gdy w latach 90., w czasach największego triumfu i rozbezczelnienia

Kawał historii – i to nie tylko historii literatury – było mi dane widzieć od początku do końca. Dziwne uczucie.

Na początku tej historii był Janusz Zajdel. Najwybitniejszy przedstawiciel pewnej szczególnej formacji, którą nazwałbym „inżynierami z przymusu”. Pisał o tym kiedyś i mówił założyciel oraz wieloletni redaktor naczelny edukacyjnego czasopisma „Młody Technik”, Zbigniew Przyrowski. Otóż w późnych latach 40. i wczesnych 50. wielu młodych ludzi, którzy mieli zainteresowania i talenty humanistyczne, wbrew nim kierowało się na kierunki ścisłe. Nie dlatego, że chcieli, ale dlatego, że musieli – bo filologie, historię, filozofię i inne studia humanistyczne zmieniała komuna w jedno wielkie marksistowskie pranie mózgów.

„Synu, idziesz albo na matematykę, albo fizykę, nie ma innej możliwości – bo czerwony jest za głupi, żeby się tam kiedykolwiek wpięprzyć” – powtarzał mi kiedyś słowa swego ojca

technikowszczyzny, „Gazeta Polska” Piotra Wierzbickiego zamówiła badania czytelnictwa, okazało się, że zarówno ona, jak i inne niszowe wtedy gazety prawicowe istnieją wyłącznie dzięki „magistrom inżynierom”.

Tak się złożyło, że w latach 60. i 70. wielu z tych inżynierów i „ściśłowców” z historycznego przymusu dostrzegło możliwość hobbystycznego realizowania swych odłożonych na bok ciągów – pojawiła się na polskim rynku literatura science fiction. Z natury swojej adresowana do ludzi, którzy zainteresowanie naukami ścisłymi i politechnicznymi łączyli z zainteresowaniem literaturą.

Początkowo to było, ot, takie sobie pisanie – trochę popularyzacji nauki, trochę spekulacji o przyszłości, trochę zabawy. Nikt tego nie traktował poważnie, nawet Stanisława Lema; także wydział kultury KC i cenzura. Jednak już w latach 70., gdy za sprawą wydań zagranicznych i podziemnych uświadomiliśmy sobie, że SF to i „1984” Orwella, i „Hymn” Rand, i „My” Zamiatina, o „Nowym wspariałym świecie”

Huxleya nie wspominając, zaczęli polscy autorzy fantastyki tworzyć rzeczy bardzo poważne i odważne. Ludzie tacy jak Zajdel, jak o pokolenie młodszy Oramus i Parowski z tygodnika „Politechnik”, jak od zawsze zdeklarowany antykomunista Jęczynek, nadawali ton, i to był ton zdecydowanie anty. Nie tylko antywładza, lecz także antysalony.

Kiedy dziś czytam, jak niegodny spadkobierca Parowskiego na stanowisku naczelnego „Nowej Fantastyki” płaszcz się przed polityczną poprawnością i przeprasza za wydrukowanie opowiadania Jacka Komudy, w którym homoseksualista jest postacią negatywną... bredząc jeszcze przy tym o jakiejś rzekomej nagonce czy prześladowaniach homoseksualistów w Polsce, doświadczam takiego uczucia, jakby, bo ja wiem, Daszyński mógł słuchać wystąpienia „socjalisty” Cyraniewicz na „zjednoczeniowym” zjeździe PPS z PPR. ©©

W filmie „Iwan Groźny” Sergieja Eisensteina z 1944 r. tytułowy bohater, car Rusi Moskiewskiej, dławi protest bojarów sprzeciwiających się despotii Iwana. Gdy na naradzie ze swoimi podwładnymi pyta o kolejnych liderów buntu, co rusz pada odpowiedź: „Uciekli na Litwę”.

Tak czy inaczej nasi bracia zza Buga zostali sami.

Protesty trwają, a biorący w nich udział wykazują się niespodziewaną determinacją. Gdy piszę te słowa, mieszkańcy Mińska ubrani na biało ustawili się w centrum w łańcuchu w ramach milczącego protestu. Tyle że akcji przeciw Łukaszence brakuje już jakiegoś widocznego punktu odniesienia. Wybory



Piotr Semka

/ Felieton

Białoruś

„jakby przez Boga zapomniana”

I oto właśnie z Białorusi po sfałszowanych wyborach uciekła na Litwę główna kandydatka opozycji Swiałłana Cichanouska. Przed wyjazdem zdołała wprawić swoich zwolenników w konsternację, wzywając Białorusinów do zakończenia protestów i zaklinając się, że żadna wartość nie jest warta utraty życia. Jak władze zmusiły Cichanowską do takich deklaracji? Pojawiają się podejrzenia, że zagrożono torturami jej mężowi, przetrzymywanemu w więzieniu i że musiały to być bardzo wiarygodne groźby.

Cichanouska zastąpiła w kampanii zatrzymanego męża – opozycyjnego blogera – i skupiła wolnościowe nadzieje Białorusinów na sobie. Skończyła jako zastraszona kobieta.

minęły, a formalna opozycja nie jest zbyt popularna z racji skłócenia i przerostu prywatnych ambicji.

Najbardziej podejrzliwi zastanawiają się, czy cała akcja z Cichanowską nie była reżyserowana przez Kreml, aby nieco osłabić Łukaszenkę, ale nie na tyle, by stracił władzę. Czy los znów zakpił z niepodległościowych marzeń Białorusinów?

Przypomina się list Józefa Piłsudskiego z 22 kwietnia 1919 r. do mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego.

„Kraj Wasz od stu kilkudziesięciu lat nie ma swobody, uciskany przez wroga przemoc [...], przemoc, która, nie pytając ludności, narzucała jej obce wzory postępowania, krępujące wolę, często łamiące życie.

Ten stan ciągłej niewoli, dobrze mi znanej osobiście, jako urodzonemu na tej nieszczęśliwej ziemi, raz nareszcie musi być zniesiony i raz wreszcie na tej ziemi, jakby przez Boga zapomnianej, musi zapanować swoboda i prawo wolnego niczem nieskrępowanego wypowiedzenia się o dążeniach i potrzebach”.

Sto lat potem Białoruś – jako ostatni już kraj między morza – wciąż tkwi w martwym punkcie między niepodległością a jakimś stanem unii z Rosją. Estończycy, Łotysze i Litwini oraz Polacy wywalczyli sobie państwo już sto lat temu. Ukraińcy otarli się o to sto lat temu, ale zerwali w końcu pępowinę z Moskwą w 2014 r.

Cała nadzieja tylko w odważnych Białorusinach, którzy wychodzą na ulice. My, Polacy, widzimy w nich samych siebie z lat 70. i 80.

Białorusini wciąż płacą cenę za wyniszczenie greckokatolickich elit po rozbiorach Polski i powstaniu listopadowym. Takie same elity greckokatolickie w Galicji wytworzyły silną myśl niepodległościową Ukraińców, która z czasem objęła centralną i wschodnią część kraju.

Białorusini mają te elity nieporównanie słabsze. I – zamiast Majdanu – zdobyli się jedynie na zryw wieców pani Cichanouskiej oraz demonstracje przeciw jawnemu niemal sfałszowaniu wyborów.

Realisci będą teraz kazali nam się cieszyć, że w ogóle istnieje ten dziwny fenomen łukaszenkowszczyzny – niby-niepodległość, niby-partnerstwa z Rosją. Przypomną niektóre gesty „Bački” wobec tradycji Księstwa Litewskiego: odbudowę zamku Radziwiłłów w Nieświeżu, pomniki Gedyminowiczów w miastach białoruskich. Pesymiści zadadzą pytanie, czy Moskwa nie szykuje już aby jakiegoś „Łukaszenki 2.0”, aby zliftingować stan dziwnego protektoratu Rosji nad Białorusinami.

I cała nadzieja tylko w tych odważnych ludziach, którzy wychodzą na ulice białoruskich miast. My, Polacy, widzimy w nich samych siebie z lat 70. i 80. I stąd ta sympatia nad Wisłą dla ofiar satrapy z Mińska. ©©

Stanisław Kaczor
Batowski „Zadwórze”

FOT. WIKIPEDIA



17 sierpnia 1920 r. / Polskie Termopile

Zadwórze — walka do końca

Legenda greckich Termopil wpisała się w dzieje oręża polskiego jako swoisty symbol, gdy przy wielkiej dysproporcji sił podjęta zostaje walka desperacka, a pogarda śmierci wynika z etosu obrońców” – pisze prof. Wiesław Jan Wysocki w książce „Zadwórze 1920” (Fundacja Historia i Kultura).

Określenie „polskie Termopile” nie dotyczy jednego tylko boju pod Zadwórzem, stoczonego 17 sierpnia 1920 r. Autor przypomina, że pierwszy raz użył tego określenia Francuz, poeta Auguste Barbier, w wierszu opiewającym atak zwycięskiego oddziału kosynierów na rosyjskie armaty pod Żyżynem podczas powstania styczniowego, okupiony jednak wielkimi stratami. Autor porównał bohaterstwo Polaków do heroizmu Spar-



Tomasz Stańczyk

Ochotniczy batalion kpt. Bolesława Zajączkowskiego uległ w walce z kawalerią Budionnego, ale się nie poddał

tan. Także wcześniejsza bitwa w Hodo-
wie, gdy w 1694 r. oblężeni polscy ryce-
rze odparli szturm o wiele liczniejszych
oddziałów tatarskich, budziła skojarze-
nia z Termopilami. Wśród broniących się
byli także husarze, nie szarżowali jednak
na wroga, jak się powszechnie uważa.
Podczas wojny z bolszewicką Rosją „pol-
skimi Termopilami” nazwano też obronę
wzgórza pod Dytiatynem 16 września

1920 r. Obronę umocnień pod Wizną we
wrześniu 1939 r. także nazywano
„polskimi Termopilami”.

Do Lwowa w połowie sierpnia
1920 r. zbliżała się Armia Konna dowo-
dzona przez Budionnego, jedna z najlep-
szych jednostek, a może najlepsza, jaką
dysponowała Armia Czerwona.

„Bolszewicy łatwo przełamali słabą
obronę górnego Bugu i wyprzedzając

polskie dywizje piechoty, cofające się z Podola, rwali na Lwów, odległy tylko o 30 km” – pisze Wiesław Wysocki.

Budionny rozpoczął atak w kierunku miasta 16 sierpnia. A tak był pewny, że następnego dnia zdobędzie miasto, że nie zamierzał, zanim to nastąpi, iść na pomoc Tuchaczewskiemu.

Oddział Abrahama

Lwów, miasto „zawsze wierne” Rzeczypospolitej, wsławione obroną w listopadzie 1918 r. przed Ukraińcami i uhonorowane Orderem Virtuti Militari za dzielną, bohaterską postawę jego mieszkańców, nie zawiódł także podczas wojny w 1920 r.

Na czele okręgowego Inspektoratu Armii Ochotniczej stanął płk Czesław Mączyński, w listopadzie 1918 r. komendant obrony Lwowa. Powstały też Ochotnicza Legia Obywatelska, na czele z Witem Sulimirskim, inną czołową postacią listopadowej obrony, oraz Milicja Obywatelska Kobiet, której zwierzchniczką była Aleksandra Zagórska, również obrończyni Lwowa (i matka Jurka Bitschana, najsłynniejszego „orlecia lwowskiego”, który poległ), wówczas organizatorka służby kurierskiej.

10 lipca powstały Małopolskie Oddziały Armii Ochotniczej, którym podporządkowały się wyżej wymienione struktury. Do szeregów MOAO zgłosiło się 12 tys. ludzi.

Również rtm. Roman Abraham, dowódca zorganizowanego we Lwowie wydzielonego oddziału pościgowego, był obrońcą Lwowa w 1918 r., swego rodzinnego miasta. Do jego oddziału zgłaszali się ochotnicy, w tym jego niedawni podkomendni z listopadowych walk. U Abrahama znaleźli się zarówno skauci (Lwów był kolebką polskiego harcerstwa, o czym warto przypomnieć!), sieroty z zakładu fundacji Skarbka w Drohowyżu, głuchoniemi, jak i lwowscy batiarzy.

W końcu lipca 1920 r. oddział Abrahama, przydzielony do 54. Pułku Piechoty, wyruszył na front. Liczył prawie 1,5 tys. oficerów i żołnierzy. Składał się z batalionu piechoty, pododdziału ciężkich



Odznaka pamiątkowa oddziału rtm. Romana Abrahama
FOT. FUNDACJA HISTORIA I KULTURA

karabinów maszynowych, dywizjonu kawalerii i baterii artylerii. Abrahamczycy walczyli ze zmiennym szczęściem. Gdy podczas jednego z bojów rtm. Abraham został ranny, dowodzenie przejął kpt. Bolesław Zajączkowski, jego podkomendny z czasów listopadowej obrony Lwowa.

16 sierpnia 1920 r. doszło do rozdzielenia się sił oddziału Abrahama. Była to, niestety, decyzja tragiczna w skutkach, co się okazało następnego dnia. Licząca niemal tysiąc żołnierzy kawaleria skierowała się na Gliniany, natomiast batalion piechoty wraz z pododdziałem ciężkich karabinów maszynowych, pod dowództwem kpt. Zajączkowskiego, podjął marsz najkrótszą drogą – wzdłuż linii kolejowej – na Lwów.

Był upalny dzień 17 sierpnia, gdy batalion zbliżał się do stacji kolejowej w Zadwórzcu. Polskich żołnierzy dzieliło od Lwowa ok. 30 km. Zostali ostrzelani przez artylerię i ciężkie karabiny maszynowe wroga. Kapitan Zajączkowski uznał, że zaleganie pod nieprzyjacielskim ogniem i próba obrony z dystansu oznaczały prawie pewną klęskę. Zdecydował się na zaatakowanie pozycji bolszewickich. Grad pocisków i kul powodował jednak znaczne straty, groziło załamanie się natarcia.

„Widząc groźną sytuację, por. Dawidowicz wydaje rozkaz: »Chłopcy! Hurra na baterię!«. Animusz żołnierski Abrahamczyka nie zna wahań ni przeszkód – wspominał uczestnik boju Seweryn Faliński. – Zaślepienie bojowe i wzburzona krew porywa nas i niesie w szalonym impetem za dowódcą na baterie ustawio-

ne w stronę dworca, przed wsią. Okrzyk »hurrra!« wzniecony zapalem dowódcy rodzi w nas jakowyś potężny odruch zranionego lwa, rodzi wprost szaleńczy czyn”.

Abrahamczycy w brawurowym ataku zmusili bolszewickich żołnierzy do porzucenia armat i ucieczki, następnie zdobyli stację kolejową i wzgórze nad nią. Odparli szarżę jazdy bolszewickiej. Były to oddziały 6. Dywizji Kawalerii Armii Konnej.

„Z okrzykiem »hurra« rusza kawaleria wroga na siły zgrupowane na torze naokoło dworca – kontynuował Faliński swą dramatyczną relację. – Wali masa, błyszczą obnażone krzywe szablance w blasku słońca, chwije się na przedzie buńczuk komendanta, pochylają się wprzód Kozacy na kulbakach. A my wstrzymujemy się zupełnie, czołem odwróceniu ku nim i jeno strzelamy śmiercionośną stałą, strzelamy bez wytchnienia. Popłoch ogarnia ich szeregi, rozbijają się kupkami po równinie”.

To zwycięstwo zostało okupione fatalną stratą. Bolszewicka artyleria wstrzelała się w wózki amunicyjne, które zniszczyła. Polakom zostało więc tylko tyle naboju, ile mieli przy sobie.

Kapitan Zajączkowski był świadomy grozy sytuacji, wiedział też, że ma przed sobą przeciwnika znacznie silniejszego. Kilka kilometrów dalej był las barszczowski. Dałby ochronę przed kawalerzystami Budionnego i bolszewicką artylerią. Zajączkowski rozkazał ruszyć w stronę lasu. Od Lwowa nadleciały trzy polskie samoloty i ostrzelały bolszewickich żołnierzy. Był to, niestety, tylko jeden nalot. Tamtego dnia piloci 3. Eskadry uwijali się jak w ukropie i rozlatywali się po różnych odcinkach walk w pobliżu Lwowa.

Żołnierze batalionu kpt. Zajączkowskiego dotarli do budki dróżnika, uszli więc tylko jeden kilometr z trzech do zbawczego lasu.

„Polacy zostali okrążeni i bili się do końca – stwierdza prof. Wysocki. – Zostali rozbici w walce wręcz. Umierali z okrzykiem: Niech żyje Polska! Niech żyje Lwów! [...] Kapitan Zajączkowski odrzucił propozycję kapitulacji, a na powtórne żądanie złożenia broni wydał ostatni rozkaz: »Chłopcy, do ostatniego ładunku!«”.

Żołnierze Zajączkowskiego mieli odeprzeć sześć szarż, siódmej nie dali rady. Kapitan nie zamierzał iść do niewoli,

■ wybrał śmierć samobójczą, podobnie postąpiło kilku innych oficerów i żołnierzy.

Ostatnie chwile walki przedstawiła w opowiadaniu, powstałym jednakże na podstawie relacji naocznego świadka – dróżnika pisarka Zofia Kossak: „Na zrąbany stos trupów powstaje wysoki, barczysty Jasiek Bałyga. Z rozciętej głowy krew tryska, zalewa czoło i policzki. Z tą czerwoną twarzą, straszny jak upiór, krzyczy wprost w oczy dopadającym go zewsząd Mongołom, krzyczy śmiertelnie zachrypniętym głosem:

– Niech żyje Polska! Niech żyje Lwów!

I pada na ziemię pod ciosami dziesięciu szabel. Nie ma już nikogo żywego”.

Część polskich żołnierzy została zamordowana po tym, jak przestali strzelać z braku amunicji. Świadectwem zbrodni jest zapis w „Dzienniku 1920” pisarza Izaaka Babla, bolszewickiego korespondenta wojennego:

„Pobojowisko. Jeździłem z wojenkomem wzdłuż pierwszej linii, błagamy, żeby nie zabijać jeńców. Apanasenko umywa ręce, Szeko bąknął – dlaczego nie; odegrało to potworną rolę. Nie patrzyłem im w twarz, przebijali bagnetami, dostrzeliwali trupy na trupach, jednego jeszcze obdzierają, drugiego dobijają, jęki, krzyki, charkot [...]. Wyciągają z ukrycia. Apanasenko – nie trać ładunków, zarżnij go. Apanasenko zawsze tak mówi – siostrę zarżnąć, Polaków zarżnąć”.

Za zbrodnię wojenną odpowiedzialni byli więc dowódca bolszewickiej dywizji – Apanasenko i jego szef sztabu – Szeko.

Część bezbronných żołnierzy batalionu ratował przed masakrą jakiś bolszewicki oficer Polak. Z przytoczonej przez autora relacji sierz. Szulgina wynika, że krzyczał, by nie mordować jeńców. „Na najbardziej zapalczych najeżdżał koniem. Był widocznie jakąś wyższą szarżą, że mógł sobie pozwolić”. W 1923 r. ponad 25 abrahamczyków spod Zadwórzca wróciło z bolszewickiej niewoli.

Poległo i zostało zamordowanych ok. 318 polskich żołnierzy. Nieliczni tylko ocalili.

Według rzeszowskiego dziennikarza Zbigniewa Wawszczaka tych, do których uśmiechnęło się szczęście, było tylko 12. Walerego Szczepankiewicza – miał wówczas 17 lat – uratowała przed zarażaniem szablami bolszewicka sanitariuszka. Marian Kuźniewicz, gdy walczył



Kurhan w Zadwórzcu. FOT. NAC

pod Zadwórzem, miał 16 lat. Nie był to koniec jego szlaku bojowego. Kuźniewicz został żołnierzem 2. Korpusu Polskiego i walczył pod Monte Cassino. Bolesław Mirecki miał 17 lat, gdy dostał się do niewoli. Później został księdzem. UPA podczas drugiej wojny światowej wydała na niego wyrok śmierci. Ostatecznie spalili tylko plebanie, ale podczas napadu ks. Mirecki oświatał. Nie opuścił kresów. Zmarł w 1986 r.

Pamięć o poległych

Trzy dni po walce pociąg pancerny „Pionier” wjechał do Zadwórzca. „Znalezione 318 ciał w strasznym stanie – zmasakrowanych, zbezczeszczonych, odartych z ubrań i butów, obrabowanych [...] – pisze prof. Wysocki. – Niektóre zwłoki były już pogrzebane przez miejscową ludność, bowiem bolszewicy nakazali pochówek”.

Upalna pogoda sprawiała, że zwłoki – zarówno te pochowane, jak i niepochowane – były już w stanie znacznego rozkładu. Zidentyfikowano tylko 106 poległych.

Wśród poległych byli m.in.: pchor. Mieczysław Piniński, z hrabiowskiej rodziny, sierż. Jan Stefan Pilat, syn profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza, który zostanie zamordowany przez Niemców w egzekucji lwowskich profesorów w 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich, 15-letni harcerz Marian Piątkowski z lwowskiej chorągwi ZHP.

Już jesienią 1920 r. na rozkaz dowództwa Małopolskich Oddziałów Armii



Dyplom odznaki ochotniczego 240. Pułku Piechoty FOT. FUNDACJA HISTORIA I KULTURA

Ochotniczej usypany został na zbiorowej mogile w Zadwórzcu kopiec, siedem lat później stanął obelisk z krzyżem. Do mogił na Cmentarzu Obrońców Lwowa w 1920 r. doszły mogiły siedmiu poległych pod Zadwórzem. W tym kpt. Bolesława Zajączkowskiego, kpt. Krzysztofa Obertyńskiego, syna poetki Maryli Wolskiej i pchor. Władysława Marynowskiego.

Dwudziestoletni Marynowski, były żołnierz Legionów, student Politechniki Lwowskiej, był poetą. Wiesław Wysocki przypomina jego profetyczny wiersz „Dla ojczyzny”, mówiący o potrze-

bie walki za Polskę oraz zgodzie na to, że ceną może być śmierć:

*Wołasz mnie; idę, a idę bez trwogi,
A więc mi tylko błogosław zza świata.
Nie wiem, czy wrócę z tak dalekiej drogi,
Niech więc nade mną twój duch ulata.
Bo może mej krwi ofiara uboga
Twe zmartwychwstanie wyprosi u Boga.
Matką mi jesteś, bo dałaś mi życie,
Więc Ci je teraz oddaję w pokorze,
Aby Ci wkrótce w zmartwychwstania świecie
Krwą mą zrumienić powstające zorze.*

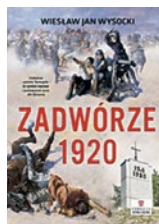
„Rocznice walki i męczeńskiej śmierci Orląt Lwowskich w Zadwórzcu obchodzono w latach międzywojennych bardzo uroczyście, z udziałem najwyższych władz państwowych” – stwierdza autor – dwa razy w roku docierały tam wielotysięczne pielgrzymki”. Brali w nich udział generałowie, biskupi i księża, wojewodowie, prezydenci miast, zwłaszcza Małopolski Wschodniej.

Od 1927 r. organizowane były w Zielone Świątki Marsze Zadwórzeńskie.

Kurhan-pomnik w Zadwórzcu przetrwał sowieckie czasy, choć zerwano z niego odznakę orderu Virtuti Militari, a cmentarz zamieniono w wysypisko śmieci. Jak wspominał miejscowy Polak: „Chcieli natomiast w pobliżu postawić pomnik Budionnemu, zrobili fundament, ale zaszły zmiany w Moskwie i tak zostało”.

„Krwawa walka ocalała miasto przed opanowaniem przez bolszewicki najazd – twierdzi Wiesław Jan Wysocki – a jednocześnie zadwórzacy wraz z broniącym się Lwowem skutecznie związali na południu siły bolszewickie, które nie mogły wesprzeć wojsk Tuchaczewskiego pod Warszawą”. Chociaż nie tylko batalion Zajęczkowski uratował Lwów, to jednak bój pod Zadwórzem jest symbolem walki do końca, poświęcenia życia w obronie ojczyzny. Przepojeni właśnie takim duchem polscy żołnierze pokonali w 1920 r. Armię Czerwoną.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



WIESŁAW JAN WYSOCKI
„ZADWÓRZE 1920”
FUNDACJA HISTORIA I KULTURA

D'Abernon i de Wiart



Tomasz Stańczyk

Brytyjski lord Edgar Vincent d'Abernon, przebywający w Warszawie latem 1920 roku, napisał o tamtym czasie wspomnienia. To, oczywiście, „Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata”. A była nią Bitwa Warszawska. Przypomnijmy raz jeszcze, co pisał Brytyjczyk: „Bitwa pod Tours ocaliła naszych przodków brytyjskich oraz ich galijskich sąsiadów od jarzma Koranu. Bitwa natomiast pod Warszawą, rzecz można śmiało, wybawiła Środkową, a także częściowo i Zachodnią Europę od jeszcze bardziej wywrotowego niebezpieczeństwa, to jest od fanatycznej tyranii Sowietów”. To nie my chwalimy się, że uratowaliśmy przynajmniej część Europy przed terrorem czerezwyczejki i łagami!

Opinię d'Abernona, członka Międzysojusznicy Misji do Polski, podzielał też brytyjski wojskowy, gen. Adrian Carton de Wiart. „Gdyby Warszawa upadła – twierdził – Polska, a także większa część Niemiec i Czechosłowacja stałyby się krajami komunistycznymi”.

A co robił w tym czasie przywódca Czechosłowacji, prezydent Masaryk? Misja międzyaliancka w drodze do Polski zatrzymała się w Pradze. Jak pisał lord d'Abernon, prezydent Czechosłowacji przekonywał ich, by nie pomagali Polsce, bo to już przegrana karta. A jeśli na nią postawią, to w związku z klęską naszego kraju ucierpi bardzo prestiż Francji i Anglii...

Stalin i komisarz polityczny Frontu Południowego dlatego starali się zdobyć Lwów i odwręcali pomoc dla Tuchaczewskiego, który rzucał swoje armie na Warszawę, by zmiażdżyć miasto zawsze wierne Rzeczypospolitej, runąć na Węgry. Jakże inaczej, świadomi tego niebezpieczeństwa, zachowali się Madziarzy – w przeciwieństwie do ślepych Czechów! Ułatwiali jak mogli kolejowe transporty wojenne dla Polski i przekazali cały swój zapas amunicji Wojsku Polskiemu.

Francja wysłała do Polski gen. Maxime'a Weyganda. I, choć nie miał on wpływu na decyzje i rozkazy marszałka Piłsudskiego i gen. Rozwadowskiego, szefa Sztabu Generalnego, to z pewnością miał swój udział w zwycięstwie. Aprobując plany Marszałka i generała, doradzając w konkretnych sprawach, wzmacniał ich poczucie pewności i wiarę w sukces. W sierpniu 1920 r., w krytycznym momencie wojny, było to ważne.

Na swój sposób bardzo pomagał Carton de Wiart, będąc niemal stale na linii frontu. Ten urodzony, nieustraszony wojownik promieniował bowiem siłą, determinacją i optymizmem, który udzielał się polskim oficerom. Robił to z przekonania i sympatii dla Polaków, starając się przy okazji zatrzeć fatalne wrażenie szokującego ultimatum rządu, który go wysłał. Wielka Brytania chciała, by Rzeczpospolita przyjęła haniebne dla warunków pokoju podyktowane przez bolszewicką Rosję, oznaczające faktycznie, że stracimy niepodległość... © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wrzesień 1920 r. / Jak Polacy ostatecznie pokonali Tuchaczewskiego

Wojciech Kossak, „Szarża ułanów nad Niemnem”

FOT. ARCHIWUM

Nokaut nad Niemnem



Maciej Rosalak

Prawy prosty z zachodu poprawił Piłsudski pod Grodnem lewym sierpowym z północy – oto główna przyczyna klęski Armii Czerwonej

W końcu września 1920 r. nad Niemnem było podobnie jak miesiąc wcześniej nad Wisłą. Tyle że w sierpniu marszałek Józef Piłsudski najpierw wyprowadził lewy prosty spod Warszawy i Modlina, a rozstrzygający cios zadał prawym sierpowym znad Wieprza. Pozostając przy bokserkich porównaniach, można też wynik bitwy sierpniowej porównać do ciężkiego nokdaunu, po którym przeciwnik słań się na nogach, jest liczony w narożniku, ale zgłasza chęć walki w następnej rundzie. Natomiast operacja nadniemeńska zakończyła się prawdziwym nokautem. Walka została przerwana. Tyle że napastnika po wyliczeniu ponieśli na reanimację, a nie wynieśli wprost do kostnicy...

Bitwę Warszawską ukoronował sławny 1. Pułk Piechoty Legionów, gdy zdobył i utrzymał Białystok przed napierającymi tłumami żołnierzy bolszewickich z rozbitych armii Tuchaczewskiego. W składzie 1. Dywizji Piechoty Legionów (dowódca – płk Stefan Dąb-Biernacki, 1890–1959) ścigał on uciekających spod Warszawy krasnoarmiejców i – aby zablokować im dalszą drogę na wschód – uderzył na stolicę Podlasia. Pułkiem dowodził wówczas kpt. Zygmunt Wenda (1896–1941), ale znajdował się też przy nim dowódca 1. Brygady Legionów płk Edmund Knoll-Kownacki (1891–1953). Do pułku przydzielono jeszcze batalion z 5. Pułku Piechoty Legionów oraz dywizjon artylerii polowej.

Zgrupowanie to, liczące 2 tys. żołnierzy i dysponujące 50 ckm-ami i 12 działami, nocą 22 sierpnia podeszło pod Białystok, a o świcie zaatakowało pozycje obronne sowieckiej brygady z 55. Dywizji Strzelców, wspieranej oddziałem

kawalerii baszkirskiej, pociągami pancernymi, 13 działami i 35 ckm-ami. Choć liczebnie Sowieci przewyższali nas o kilkuset ludzi, to cała ich brygada została szybko oraz doszczętnie rozbita i trafiła do niewoli. Kwadrans po godz. 8 od południowego zachodu zaatakowały oddziały przednie 16. Armii oraz części 3. Armii wroga. Rozpoczęła się walka, która trwała dwa dni i w której dzielnie walczyli także białostocczanie, pomni niedawnej okupacji bolszewickiej.

Niezlomna postawa legionistów, ich brawurowe kontrataki – niejednokrotnie przeprowadzane przez grupki kilkunastu żołnierzy w tłum wrogów – armaty ustawione do ognia na wprost u wylotów ulic, wszystko to zadecydowało o polskim zwycięstwie. Zdemoralizowani do cna krasnoarmiejcy z dziewięciu dywizji bali się w końcu nadal nacierać i nie słuchali już rozkazów. Wreszcie na Polaków ruszyła 27. Dywizja Strzelców Witowta Putny (1893–1937), mająca jeszcze dość licznych gotowych na wszystko bojów. Nasi tracili pozycje i odyskiwali je w brawurowych atakach. 1. Pułk Piechoty Legionów nie dał się złamać. Doczekał odsieczy. Przerażony motłoch, w który zamieniły się oddziały Armii Czerwonej, obchodził miasto bezdrożami, ale w stanie zorganizowanym – choć szczątkowym – wycofały się tylko dwie brygady strzelców, pułk kawalerii i artyleria jednej dywizji. Broń złożyło sześć brygad, resztki dwóch dywizji, szkoła podoficerska jednej dywizji i artyleria drugiej.

Na Grodno i Lidę

Kolejny pogrom wojsk komandarma Michaiła Tuchaczewskiego (1893–1937) był także jakby uwerturą do powtórnego rozbicia jego frontu nad Niemnem. Mając ogromne rezerwy i posiłki nadchodzące z głębi Rosji, potrafił on w ciągu niespełna miesiąca odtworzyć siły nie mniej liczne od tych, które doprowadził pod Warszawę. Jego front zachodni zajął pozycje na linii rzek Niemen, Szczara i Świsłocz. Znowś składał się z czterech armii. Były to: od granicy litewskiej do Polesia, z północy na południe: 3. – Władimira Łazariewicza (1883–1938), 15. – Augu-

sta Korka (1887–1937), 16. – Nikołaja Sołohuba (1883–1937), 4. – Aleksandra Szuujajewa (1896–1943) mające 73 tys. żołnierzy i 220 dział. Leninowi zameldował, że tym razem pobije Polaków. Chyba nie zauważył, jak mocny duch zwycięstwa ożywił „białopolaków” i jak marne morale wykazali jego żołnierze.

A Piłsudski dał odpocząć wojsku, zreorganizował je, przygotował dla niego rozkazy i poprowadził je do nowego zwycięstwa... Polacy uprzedzili natarcie bolszewików i sami zaatakowali 20 września 1920 r. Wedle planu Wodza Naczelnego siły 2. Armii pod dowództwem gen. Edwarda Śmigłego-Rydza (1886–1941) wykonały podwójną operację.

Grupa Frontowa składająca się z 3. Dywizji Piechoty Legionów, 21. Dywizji Górskiej i 22. Dywizji Ochotniczej, wspartych



Piłsudski i Śmigły-Rydz omawiają plan ofensywy

FOT. DOMENA PUBLICZNA

silnym, liczącym 107 dział zgrupowaniem artylerii, uderzyła czołowo na Grodno, wiążąc centrum sowieckiej obrony. Zaskoczony tym Tuchaczewski wysłał do kontrataku odwody, które wprawdzie nie potrafiły odeprzeć Polaków, ale ich zatrzymały. Jedynie ochotniczy 205. Pułk Piechoty przejściowo uchwycił nocą z 22 na 23 września przeprawę pod wioską Hoża, co pozwalałoby na atak w kierunku Grodna niedostrzeżonej dotąd wśród augustowskich lasów przez bolszewików lewoskrzydłowej Grupy Uderzeniowej.

Grupa Uderzeniowa (Manewrowa) 2. Armii, złożona z dwóch brygad kawalerii (2. i 4.) oraz dwóch dywizji piechoty – 1. DP Leg. oraz 1. Dywizji Litewsko-Białoruskiej – ruszyła 22 września przez tereny okupowane od lipca przez Li-



Oddział polskiej jazdy podczas operacji niemeńskiej FOT. ARCHIWUM

■ twinów. Idąca na czele 4. Brygada Jazdy zmiatała ich oddziały osłowne. Legionści w sześciogodzinny boju rozbili dwa litewskie pułki piechoty i weszli do Sejna, a następnego dnia – do Druskiennik. Druga z naszych dywizji wraz z 2. Brygadą Jazdy rozbiła trzeci ze stojących na drodze pułków litewskich. Gdy Grupa Uderzeniowa znalazła się tak blisko jego prawego skrzydła, Tuchaczewski musiał wysłać przeciw niej trzy dywizje z pięciu odpierających Polaków pod Grodnem. Bez rozpoznania trafiły one jednak w próżnię, a siły pozostawione nad Niemnem nie sprostały wznowionemu atakowi Grupy Frontowej 2. Armii.

W zamieszaniu, które wywołał „lewy wrześniowy” naszego Marszałka, Polacy gromili kolejne pułki wroga, zagrażali nawet sztabom armijnym, brali do niewoli setki jeńców. Tuchaczewski nakazał 25 września odwrót znad Niemna. Zdobyć Grodnę nastąpiło jednak po ciężkiej walce o forty i dopiero nocą z 25 na 26 września ostatecznie wyparto Sowieców z miasta. Korespondent „Tygodnika Ilustrowanego” pisał: „Wjeżdżamy do miasta. Znękanie i niepewność w spojrzeniach skołatanych mieszkańców. Zaczyna się żałosna litania opowiadań o rozstrzelanych i wywiezionych. Bolszewicy powlekli ze sobą około 400 osób, przeważnie spośród inteligencji miejscowej. Księża grodzieńscy wywiezieni. Rabunek bezwzględny ogołocił miasto z towarów i zapasów żywności”. Ów triumf przypisano ochotnikom z 22. DP, ale miasto zdobywali też Podhalanie z 21. G. Już wieczorem 26 września Piłsudski dekorował bohaterów walk krzyżami Virtuti Militari.

W zaistniałej sytuacji Wódz Naczelny – zgodnie zresztą z pierwotnym planem, który skorygowały walki o Grodnę – pchnął Grupę Uderzeniową na Lidę, aby odciąć wycofujące się wojska bolszewickie. 1. DL-B nie zdołała wprowadzić zablokować pod Krwawym Borem marszu zdesperowanej 3. Armii, ale dzięki jej walce 1. DP Leg. ubiegła bolszewików,

zajęła Lidę wspólnie z 4. Brygadą Jazdy i potrafiła 28 września obronić miasto mimo ponawianych przez wroga ataków. Armia Łazariewicza nie została wprowadzona okrążona i rozbita, ale jej oddziały poniosły dotkliwe straty i uchodziły wraz z 15. Armią. W pierwszej rundzie bitwy Polacy wzięli do niewoli 10 tys. jeńców, zdobyli 25 dział, 52 karabiny maszynowe, 2 tys. wozów taborowych i 137 koni.

Na Wołkowysk i dalej

W tych wrześniowych dniach 4. Armia dowodzona przez gen. Leonarda Skierskiego (1866–1940) walczyła na południe od 2. Armii. Lewe skrzydło 4. Armii – czyli Grupa gen. Władysława Junga (1870–1940), składająca się z jego 15. Dywizji Piechoty oraz brygady i pułku piechoty z innych jednostek (8,9 tys. żołnierzy, 44 działa lekkie, osiem dział ciężkich, 253 cekaemy, dwa pociągi pancerne) – natarło 23 września na Wołkowysk. Był to ważny węzeł kolejowy łączący Białystok z Lidą i Baranowiczami. Centrum i prawe skrzydło 4. Armii (14., 11. i 16. dywizje piechoty) miało zamknąć okrążenie sowieckiego frontu zachodniego od południa.

Wołkowyska broniły dwie dywizje sowieckie mające 7,5 tys. żołnierzy, 16 dział, 90 ckm-ów i pociąg pancerny. Jedną dywizję tworzyli żołnierze dopiero co wcieleni do wojska, drugą zaś ściągnięci znad granicy fińskiej. Jedni i drudzy źle wyszkoleni i niemający ochoty do boju. Wieczorem 23 września miasto i węzeł kolejowy były już zajęte przez dwa pułki polskie wraz z artylerią, które nie straciły ani jednego żołnierza, a wzięły tysiąc jeńców. Kiedy jednak kontratakowała wyborowa sowiecka 27. Dywizja Strzelców, toczyły się już walki zacięte, do których z obu stron przyłączały się kolejne oddziały. 24 września bolszewicy wdarli się do Wołkowyska, ale następ-

nego dnia uszli z miasta. Straty polskie wyniosły tu 53 poległych, 253 rannych, 60 zaginionych, cztery działa. Straty sowieckie: ok. 700 poległych i rannych, 1308 jeńców, trzy działa, siedem ckm-ów.

Gdy Wódz Naczelny stwierdził cofanie się czerwonego frontu zachodniego na całym froncie, wydał 26 września rozkazy zarówno dla 2. Armii, jak i 4. Armii, które zmierzały do okrążenia wrogich wojsk w rejonie Baranowicz. Nasze prawe skrzydło wsparła na Polesiu Grupa gen. Krajowskiego (1861–1932) z 3. Armii, który poza swą wielkopolską 18. Dywizją Piechoty miał pod komendą 7. DP, zgrupowanie Stanisława Bułaka-Bałachowicza (1883–1940), pułk ułanów i brygadę kozaków dońskich. Nocą z 26 na 27 września 18. DP przeprawiła się przez Prypeć wraz z innymi oddziałami grupy, osiągnęła Janów, a 28 września zajęła Pińsk. Pochwycono tam prawie cały sztab sowieckiej 4. Armii, wzięto do niewoli 8 tys. jeńców i zdobyto 400 wagonów ze sprzętem wojskowym, z amunicją oraz ze 100 nowymi karabinami maszynowymi.

Warto dodać, że 18. DP zwana była Żelazną Dywizją m.in. za czyny wojenne podczas szarpania Budionnego na Wołyniu, a następnie Gaj-chana na Mazowszu, kiedy to już następnego dnia po transporcie z południa ruszyła do natarcia. Szlak bojowy 1920 r. zakończyła chlubnie pod Połockiem. Jej doskonały dowódca, wcześniej wybitny generał austriacki, Czech ożeniony z Polką, w 1918 r. wstąpił do Wojska Polskiego i zmienił nazwisko z František Králíček na Franciszek Krajowski.

Natomiast do Baranowicz dotarły w walkach z końcem września zarówno trzy dywizje (14., 15. i 16.) armii gen. Skierskiego, jak i główne siły armii gen. Śmigłego-Rydza, zamykając w okrążeniu znaczną część wojsk frontu zachodniego. 30 września Polacy wkroczyli do miasta, a następnie ścigali oddziały wroga, którym udało się jednak uniknąć polskiej sieci. Warto zauważyć, że 11. DP z 4. Armii również 30 września zajęła Połonkę, pod którą w 1660 r. Stefan Czarniecki rozbił moskiewską armię Chowańskiego. 12 października 1920 r. Wojsko Polskie zajęło Mołodeczno, a 14 października – Mińsk. Komandarm Tuchaczewski przestał zagrażać Polsce. W rezultacie jesiennych walk z bolszewikami w ręce polskie dostało się 40 tys. jeńców i 140 dział. Nikt już nie mówił o granicy „Polski sowieckiej” na

Bugu. Granicę suwerennej Rzeczypospolitej w wyniku tego zwycięstwa oparto na Dźwinie, Deśnie i Zbruczu.

Na koniec przytoczę ocenę gen. Tadeusza Kutrzeby (1886–1947), znakomitego wojskowego, który podczas wojny z bolszewikami pełnił funkcję szefa sztabu kolejno: 3. Armii w marszu na Kijów; Frontu Południowo-Wschodniego podczas odwrotu; Frontu Środkowego podczas Bitwy Warszawskiej i wreszcie 2. Armii w bitwie niemeńskiej. Pisał on: „Bitwa nad Niemnem, rozpoczęta dnia 20 września, trwała nieomal bez przerwy do dnia 18 października, tj. do chwili zawieszenia broni. Był to jeden nieprzerwany łańcuch bojów, prowadzonych z jedną konsekwentną myślą przewodnią Naczelnego Wodza, który świadomie łączy warunki operacyjne z postulatami politycznymi: bije wroga, wykreśla granice Ojczyzny i zmusza nieprzyjaciela do podpisania zawieszenia broni, jako wstępu do zawarcia pokoju. W świetle późniejszych badań historycznych wykazać się może, że bitwę nad Niemnem należy



uważać za dalszy ciąg ofensywy sierpniowej, która trwała od dnia 14 sierpnia do dnia 23 sierpnia. Czterotygodniowa przerwa [...] nie wystarczyła na zupełną reorganizację pobitej pod Warszawą armii sowieckiej tak, że z tej właśnie przyczyny można by uważać ofensywę wrześniową, niemeńską, za wykorzystanie zwycięstwa sierpniowego. Z drugiej zaś strony [...] przeciwnik uważał siły polskie za tak wyczerpane, iż nie tylko nie będą one w stanie pójść naprzód, ale nawet obronić się nie potrafią i ponieważ zgodnie z tą oceną zamierzał ostatecznie, ponownie uderzyć na Polskę – ofensywa niemeńska nabiera charakteru samodzielnej bitwy w pełnym słowa znaczeniu”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Ospa i pedofilia

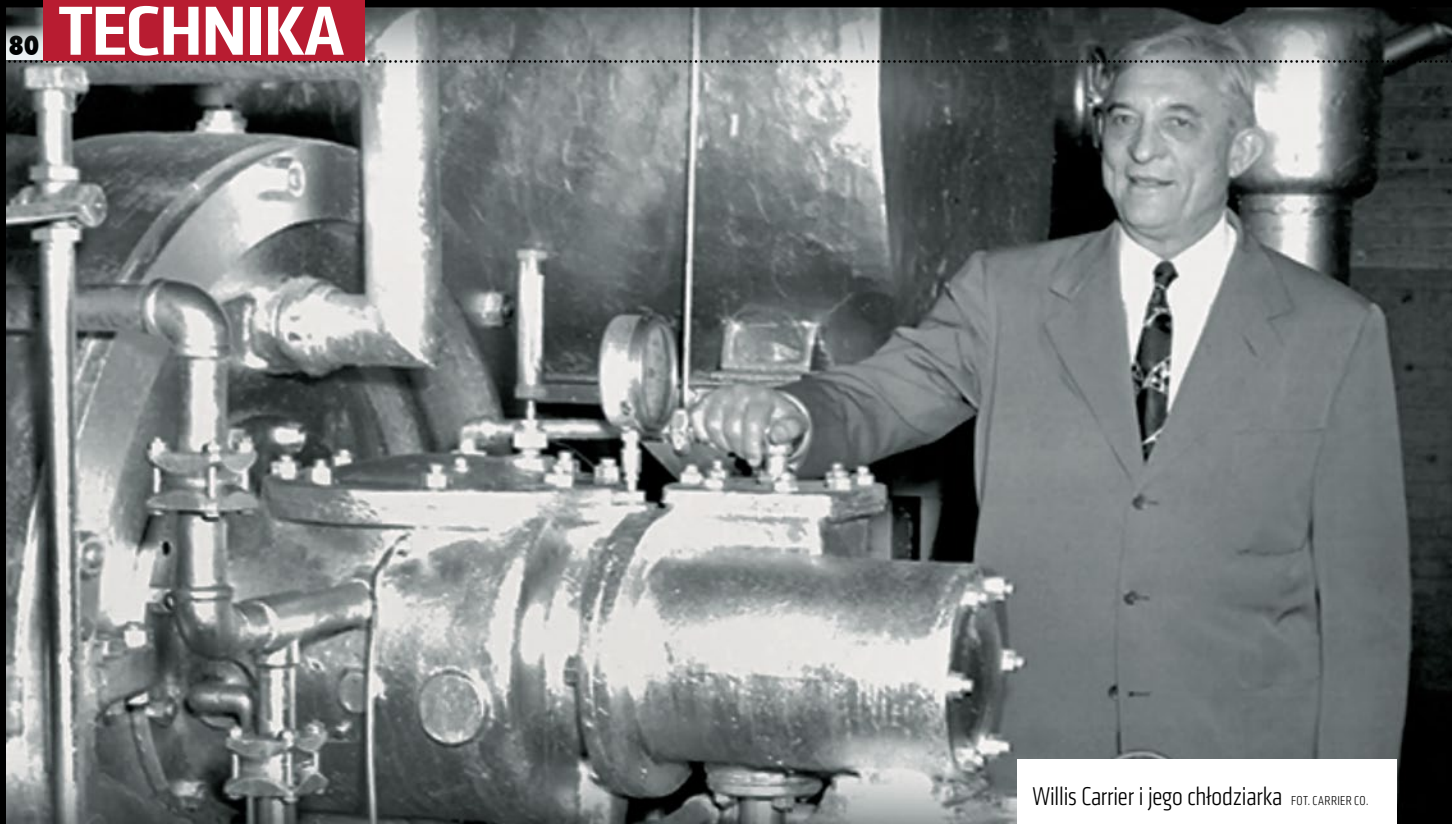


Maciej Rosalak

Historia szczepionki przeciw ospie mówi o mądrości prostych ludzi, o ryzykowaniu życia bezradnych dzieci, a wreszcie o możliwościach, które stąd wynikały dla walki z wirusami, i to nawet wtedy, kiedy nie wiadano, że one w ogóle istnieją. Słynny twórca szczepionki przeciw „czarnej” ospie dr Jenner też zresztą nie wiedział. Wiele lat przed nim nie wiedzieli również Chińczycy, którzy wdmuchiwali do nosa osoby zdrowej starte w pył strupy z ciała chorego na ospę prawdziwą i u pacjenta rozwijała się wtedy łagodna postać choroby, dzięki której nabywał odporności na postać groźną. Nie wiedzieli Turcy, którzy ową metodę zapożyczyli od Chińczyków, ani Mary Wortley Montagu – żona brytyjskiego ambasadora w Stambule, która z dobrym skutkiem zastosowała metodę u dwojga swych kilkuletnich dzieci. Kiedy ospa zaatakowała w 1721 r. Londyn, przestraszona rodzina królewska chwyciła się owej wiadomości jak ostatniej deski ratunku. Ma się rozumieć, że zanim takim leczeniu został poddany Ich Majestat, przeprowadzono próby na sześciu skazańcach i 11 sierotach, a gdy nikt nie umarł, wszyscy zaś wyzdrowieli, starte strupy wdmuchano z dobrym skutkiem w najczcigodniejsze w całej Brytanii nosy. Od tej pory chińsko-turecka metoda leczenia ospy, firmowana przez panią Montagu, zdobyła wielką popularność.

Edward Jenner już jako dziecko zauważył, że ludzie pracujący przy krowach nigdy nie chorują na ospę prawdziwą, tylko zapadają na znacznie lżejszą odmianę ospy – krowiankę. Nic, tylko się uodporniają – pomyślał. A kiedy skończył medycynę, miejscowa dojarka akurat zachorowała na krowiankę i zgłosiła się doń na leczenie. Jenner znalazł więc ośmioletniego syna ogrodnika, wszczepił mu krowiankę, a po jego szybkim wyzdrowieniu spróbował zarazić go ospą. Nie udało się. Królik – pardon! – chłopiec (ale przecież tylko syn ogrodnika...) został uodporniony. Aby do opatentowania w 1796 r. szczepionki przekonać niedowiarków z Royal Society, Jenner musiał – jakżeby inaczej – zarazić krowianką, a następnie spróbować zakazić ospą prawdziwą jeszcze pięcioro dzieci. Ponieważ jednak szczęśliwie żadne nie umarło, Jenner doszedł do pieniędzy oraz przeszedł do historii.

Jeśli kogoś razi takie wykorzystywanie dzieci do eksperymentów medycznych w XVIII w., to z naszych czasów nie musi przypominać sobie nawet potwora z Auschwitz, dr. Mengelego. Całkiem niedawno – bo od końca lat 60. XX w. do początku wieku XXI – władze Berlina celowo przekazywały opuszczonych, kilkuletnich chłopców pod opiekę pedofilów w ramach pseudonaukowych badań seksuologa Helmuta Kentlera. Otóż twierdził on, przy pełnym zrozumieniu i akceptacji władz oraz środowiska naukowego, że „trudne i opóźnione umysłowo” dzieci skorzystają z uwagi seksualnej dorosłych i pokochają swoich „nowych ojców”. Sześcioletnim chłopcem (występuje jako Marco), wcześniej wykorzystywanym przez rodzonoego ojca, zajął się w 1989 r. pedofil Fritz H. W ciągu następnych 10 lat wielokrotnie bił go i gwałcił. Takich pokrzywdzonych ujawniło się obecnie już dziesięć. Kentler zmarł w 2008 r. Uważano go za jednego z wiodących niemieckich seksuologów. Często pracował jako świadek – ekspert dumny, że pomógł uwolnić kilku pedofilów. Już 50 lat temu wezwał Bundestag do dekryminalizacji stosunków płciowych między dorosłymi i dziećmi... © ©



Willis Carrier i jego chłodziarka FOT. CARRIER CO.

Początek XX w. / Patent amerykańskiego inżyniera Willisa Carriera

Klimatyzacja



Tymoteusz Pawłowski

/ Gdyby nie klimatyzatory, nikt nie budowałby przeszklonych biurowców. Miasta wyglądałyby więc zupełnie inaczej

Choć w upalnych letnich miesiącach może się wydawać, że klimatyzacja została wymyślona dla naszego komfortu, prawda jest nieco bardziej skomplikowana. Pierwszy nowoczesny klimatyzator

zbudowano dla poprawienia wydajności pracy robotników i do dziś służą one przede wszystkim do celów przemysłowych.

Klimatyzator to urządzenie odmienne od wentylatora. Zadaniem tego drugiego jest – w gruncie rzeczy – jedynie przewietrzanie pomieszczeń. Zadanie klimatyzatora jest dużo poważniejsze i bardziej skomplikowane – musi utrzymać w pomieszczeniu atmosferę o założonym wcześniej charakterze. Ma zadbać o czystość powietrza, utrzymać stałą temperaturę i stałą wilgotność.

Względnie najłatwiej jest utrzymać stałą temperaturę. Do ogrzewania pomieszczeń – czym najprawdopodobniej ze względu na panującą pogodę P.T. Czytelnicy nie są zainteresowani – służą piece. Do ochładzania pomieszczeń najłatwiej wykorzystać wodę. Robili to już starożytni Egipcjanie, wieszając wil-

gotne trzciny w oknach. Parująca woda ochładza przepływające powietrze, co łatwo sprawdzić, a przy okazji ochłodzić gorący pokój, wieszając w oknie mokre prześcieradło...

W ramach domowych doświadczeń warto również sprawdzić, jak działa dezodorant w ciśnieniowym pojemniku. Mieści się w nim skroplony gaz – z reguły powietrze – który po naciśnięciu zaworu wydobywa się już w postaci gazowej. Gaz ten – co łatwo stwierdzić – jest dość zimny. To skutek przejścia z jednego stanu skupienia w drugi i rozprężenia. W ten właśnie sposób działają lodówki: zimny „czynniki chłodzący” w postaci gazowej oziębia zamrażarkę, a następnie jest sprężany i zamieniany w ciecz, która znów jest rozprężana i znów jest zimna. Bilans musi jednak wyjść na zero: we wnętrzu lodówki panuje chłód, ale z tyłu – tam, gdzie działa napędzana prądem

sprężarka – może panować całkiem wysoka temperatura.

Lodówka to dość skomplikowane urządzenie, dużo prostszym – i o wiele częściej spotykanym – jest komin. Mogłoby się wydawać, że skoro służy do odprowadzania dymu z pieca, to nie ma dla niego miejsca w wakacyjnym tekście. Tak jednak nie jest – kominy służą do wymuszania ruchu powietrza i chronologicznie pierwsze były kominy... chłodzące. Kominy odprowadzające dymy z pieców zaczęto stosować na szeroką skalę pod koniec średniowiecza, czyli jakieś tysiąc lat po tym, gdy wykorzystywano je do chłodzenia. Pomysł ten narodził się na terenach dzisiejszego Iranu, gdzie do dziś domy wyposażone są w kominy, poetycko zwane „łapaczami wiatrów”. W swojej wersji podstawowej „wyciągały” rozgrzane powietrze z wnętrza domu. W wersji nieco bardziej rozbudowanej zasysały również czyste powietrze wysoko znad domu, wdmuchiwały je do piwnicy, gdzie mieściły się zbiorniki z wodą studzienną, i dalej do pomieszczeń, które należało ochłodzić.

No właśnie... Rdzeń „stud” oznaczał „chłód”, stąd południowosłowiański zimny miesiąc listopad nazywa się „studeni”, stąd polskie „studzić” i „studnia” – źródło z zimną wodą.

Problem naukowy

Studzeniem powietrza naukowo zaczęto się zajmować w XVIII w. Znany z wynależenia piorunochronu Benjamin Franklin był w stanie – korzystając jedynie z parowania wody – obniżyć temperaturę o ponad 60 stopni. Ponad pół wieku później, w 1820 r., Michael Faraday – również znany z prac nad elektrycznością – zaczął eksperymentować z amoniakiem i innymi substancjami, osiągając jeszcze lepsze rezultaty. (Jak widać, nawet w czasach romantyzmu można było być człowiekiem renesansu).

Do utrzymania niskiej temperatury zaprzęgnięto naukę i uzyskiwano efektowne rezultaty. W 1836 r. założono w gmachu parlamentu w Londynie instalację dostarczającą ciepłe powietrze w zimie, a chłodne w lecie. Używano dużych ilości lodu, gazów zmieniających swój stan skupienia, wentylatorów i... pieców. Lód transportowano zimą z gór i do lata przechowywano w głębokich



Lodówka, na którą przed wojną niewielu z nas było stać FOT. WIKIMEDIA

piwnicach. Później nauczono się go wytwarzać – w 1853 r. powstała pierwsza fabryka lodu. W Australii...

Przechowywanie i wytwarzanie lodu miało dużo większe znaczenie niż dbanie o komfort polityków i produkcja deserów lodowych. Pozwalało bowiem na transport wrażliwych na ciepło produktów, wśród których oczywiście była wołowina z Ameryki i ryby z dalekich mórz, ale również banany. To właśnie banany – a właściwie jedna z ich odmian, która wytrzymywała długotrwały transport w chłodzonych ładowniach statków – stały się pierwszymi owocami egzotycznymi znanymi w Ameryce Północnej i Europie.

W fabrykach, samolotach i domach

Jednak dopiero w XX w. doświadczenie praktyczne i wyniki badań naukowych przyniosły sprawnie działającą klimatyzację. Wynalazł ją – jeśli w przypadku połączenia w jedną całość istniejących wcześniej elementów można mówić o wynalazku – młody amerykański inżynier Willis Carrier.

W 1902 r. odpowiedział na ogłoszenie pewnej drukarni, chcącej poprawić jakość powietrza w fabrycznych wnętrzach i zwiększyć wydajność pracowni-

ków. Zaprojektował dość skomplikowaną instalację, ale jego rozwiązanie znalazło akceptację właścicieli drukarni i zostało zainstalowane. Okazało się, że działa bardzo dobrze, toteż po kilku latach zostało opatentowane, a w 1915 r. Willis Carrier założył firmę sprzedającą komercyjne klimatyzatory.

Temperaturę można regulować dość łatwo – wystarczy powietrze przepuścić przez wymiennik ciepła, wypełniony nawet zwykłą wodą o odpowiedniej temperaturze. Ważniejsze jest utrzymanie odpowiedniej wilgotności. Podobno rozwiązanie tego problemu przyszło do głowy Willisowi Carrierowi, gdy oczekiwał pociągu na zamglonym dworcu kolejowym w Pittsburghu. Powietrze można osuszyć, przepuszczając je przez... wodę, tak aby uzyskać mgłę.

Początkowo klimatyzacji używano jedynie w zakładach przemysłowych, aby poprawić jakość pracy. Nie było w tym nic dziwnego, urządzenie było jednak wielkości tramwaju. Postępowała oczywiście miniaturyzacja, w początkach lat 30. XX w. udało się wyprodukować klimatyzator ważący raptem pół tony, nieco tylko większy od koncertowego pianina. Zaczęto reklamować je jako doskonałe urządzenie AGD, szczególnie przydatne w gorących stanach na południu USA. Po kolejnych 10 latach urządzenia takie ważyły raptem kilkadziesiąt kilogramów i miały wielkość dużej walizki.

Klimatyzatory trafiły pod strzechy przypadkiem. Miniaturyzacja była potrzebna, aby klimatyzatorów można było używać w transporcie samochodowym, kolejowym, a przede wszystkim samolotowym. W samolotach pasażerskich – mających hermetyczne kabiny – klimatyzatory są niezbędne. Na dużej wysokości powietrze jest bardzo rozrzedzone, a do kabin dostarczają je sprężarki silników – gdyby nie klimatyzatory, pasażerowie mieliby duże problemy z oddychaniem.

Gdyby nie klimatyzatory, duże problemy z oddychaniem mieliby także ludzie pracujący w modnych obecnie przeszklonych niemal w całości budynkach. A raczej: gdyby nie klimatyzatory, to nikt nie budowałby takich budynków. Miasta – z ich biurowcami i centrami handlowymi – wyglądałyby zupełnie inaczej. Budynki wciąż miałyby grube mury i małe okienka, pomocne w utrzymywaniu stałej temperatury...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

URODZONY W 1869 ROKU W ŁOWICZU ALEKSANDER KARNICKI UKOŃCZYŁ OFICERSKĄ SZKOŁĘ KAWALERII W TWERZE. SŁUŻĄC W CARSKIEJ ARMII BRAŁ UDZIAŁ W TŁUMIENIU POWSTANIA BOKSERÓW, A PÓŹNIEJ W WOJNIE ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ, BY W KOŃCU W 1916 ROKU W RANDZIE GENERAŁA MAJORA OBJĄC DOWÓDZTWO KAWKASKIEJ DYWIZJI KAWALERII W I KORPUSIE POLSKIM W ROSJI BYŁ ZASTĘPCĄ GENERAŁA JÓZEFA DOWBORA-MUSNICKIEGO. W STYCZNIU 1919 ROKU DOŁĄCZYŁ DO WOJSKA POLSKIEGO. NATOMIAST W LIPCU 1920 ROKU KARNICKI OBJĄŁ DOWÓDZTWO VIII BRIGADY JAZDY I GRUPY JAZDY PRZY 5. ARMII, W SKŁAD KTÓREJ WCHODZIŁ 203. OCHOTNICZY PUŁK ULANÓW.



OKOLICE CIECHANOWA, 15 SIERPNI 1920 ROKU.

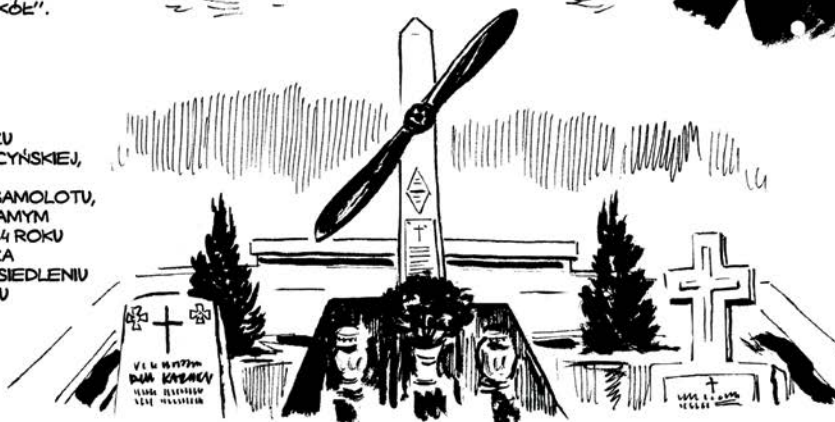


ZDOBYCIE RADIOSTACJI MIAŁO OGROMNE ZNACZENIE DLA LOSÓW WOJNY POLSKO-BOLSZEWICKIEJ, BOWIEM UDAŁO SIĘ W TEN SPOSÓB PRZERWAĆ ŁĄCZNOŚĆ POMIĘDZY SOWIECKIMI ARMIIAMI.

POMIMO WIELKICH SUKCESÓW MILITARNYCH I OGROMNEGO DOŚWIADCZENIA, KARNICKI ZOSTAŁ W ZMUSZONY W CZERWCU 1921 ROKU DO PRZEJŚCIA NA EMERYTURĘ, WRAZ Z RODZINĄ PRZEPROWADZIŁ SIĘ DO BYDGOSZCZY. JEJEGO SYNÓWIE POSZLI W JEJEGO ŚLADY. JERZY ZOSTAŁ PILOTEM I ZGINĄŁ W KATASTROFIE LOTNICZEJ W 1930 ROKU, NATOMIAST BORYS SŁUŻYŁ NA MORZU. W MOMENCIE WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ BYŁ ZASTĘPCĄ DOWÓDCY ORP „WILK”, A W STYCZNIU 1941 ROKU OBJĄŁ DOWÓDZTWO NAD ORP „SOKÓŁ”.



JERZEGO KARNICKIEGO POCHOWANO NA CMENTARZU W BYDGOSZCZY PRZY UL. KCYŃSKIEJ, A NA PŁYCE NAGROBNEJ ZAMONTOWANO ŚWIECZKO Z SAMOLOTU, W KTÓRYM ZGINĄŁ. W TYM SAMYM GROBOWCU ZŁOŻONO W 1964 ROKU RÓWNIEŻ PROCHY JEJEGO OJCA ALEKSANDRA, KTÓRY PO WYSIEDLENIU Z BYDGOSZCZY W 1939 ROKU ZAMIESZKAŁ W KUTNIE I TAM TEŻ ZMARŁ 13 LISTOPADA 1943 ROKU.



Z INICJATYWY KIBICÓW ZAWISZY BYDGOSZCZ POWSTAŁ W 2010 ROKU KOMITET SOLIDARNI Z ZAWISZĄ, KTÓRY DOPROWADZIŁ DO ODNOWIENIA GROBU RODZINNEGO KARNICKICH – PRACE UKOŃCZONO W 2013 ROKU.

16

sierpnia 1920 r. przebywający w Rykach pod Puławami Józef Piłsudski wyprowadził kontruderzeniowy manewr znad Wieprza na tyły frontu zachodniego Armii Czerwonej, zmieniając całkowicie sytuację wojenną na przedpolach Warszawy. Jeszcze tego samego dnia szef Sztabu Generalnego WP gen. Tadeusz Rozwadowski przekazał Piłsudskiemu „najposłuszniesze gratulacje”. Świadek tamtych zmagani i bliski współpracownik Marszałka Polski

W kalendarzu polskiej chwały na zawsze zapisała się data 16 sierpnia – roku 1920 i roku 1980!

będzie miał żalu i pretensji do mnie, jeśli ogłoszę, że strajk skończyliśmy? Czy mnie słychać? Czy kończyć? [brawa]. Stoczniowcy, delegaci i komitet strajkowy uważają, że mamy, co chcieliśmy. Dziękuję wam za wytrwanie. Ze stoczni, jak obiecałem,

/ Felieton



Sławomir Cenckiewicz

16 sierpnia: dwie bramy do Polski

w 1920 r. – płk Ignacy Matuszewski – napisze później w tekście zatytułowanym właśnie „16 VIII 1920” z 1931 r.: „Jeśli wojna na łąkach nadwieprzańskich toczyła się o niepodległość Polski – to owa druga, zawieszona na drutach telegraficznych między stolicami świata, toczyła się o Polski – wielkość. I jedną, i drugą rozstrzygnął ten sam człowiek”. Tak wygraliśmy wojnę z Sowietami!

I 16 sierpnia 1980 r. niedoceniana i wręcz wymazana z pamięci sobota w trzecim dniu wielkiego strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Komitet strajkowy przegłosował właśnie zakończenie strajku. O godz. 14.17 decyzję tę ogłosił publicznie Lech Wałęsa. Wstając od stołu w Sali BHP, zwrócił się do stoczniowców przez radiowęzeł: „Czy wszyscy mnie słyszają? Dajcie znać okłaskami [brawa]. Czy nikt nie

wyjdę ostatni. Ja ogłaszam, że podstawowe sprawy zostały rozwiązane. Nadszedł moment zakończenia zmagani. Pozwalam do osiemnastej wszystkim opuścić stocznnię”. Ktoś woła z tłumu przed budynkiem Sali BHP: „Komitet strajkowy »Lenina« zdradził ideały robotnicze!”.

Ludzie rozchodzą się, zdejmują kombinezony i powoli szykują się do wyjścia. Jest przecież sobota. Inni próbują protestować. Przede wszystkim delegaci strajkujących zakładów pracy. W tym czasie do Sali BHP wbiegła Henryka Krzywonos z Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Gdańsku i zwracając się w stronę Wałęsy, krzyknęła: „Sprzedaliście nas! Teraz wszystkie małe zakłady jak pluskwy wyduszają!”.

To najbardziej dramatyczny moment strajku. Doskonale zapamiętał go Lech

Wałęsa. W swoich wspomnieniach „Droga nadziei” Wałęsa przytacza relację jednego z robotników, z którą nawet nie próbuje polemizować: „Wałęsa wstaje od stołu. Ogłasza przez mikrofon zakończenie strajku, podchodzi do drzwi, unosząc w górę zaciśniętą pięść, mówi do kolegów z WZZ: Zwyciężyliśmy! – Ci zaś zupełnie inaczej to widzą. Stałem ze Zdzichem Złotkowskim w głównych drzwiach wyjściowych sali BHP na duży hall, gdzie jest szatnia. Kiedy było podpisywane porozumienie przy środkowym stole (były trzy rzędy stołów, cała grupa WZZ-etów i dyrekcji mieściła się przy jednym rzędzie stołów), sala była w połowie pusta. Lechu, widząc mnie i Zdzicha, podnosi ręce i mówi: Zwyciężyłem. – A ja mówię: – Ch... żeś zwyciężył. Ty żeś przegrał. Zobacz, co się robi na terenie stoczni, masz pocięte kable, nagłośnienie jest porabiane siekierami, na murach wypisują tobie zdrajca, szpicel i cię opluwają. A jak wyjedziesz za bramę, to cię ukamienują. – Lecha zamurowało i pyta: – Jezus, co ja zrobiłem? – A Zdzichu mu powiedział: – Co żeś zrobił, wszystkich nas sprzedałeś. Obroniłeś tylko siebie, swoją podwyżkę 1500 złotych. – A on mówi: – Co ja mam teraz zrobić? – Prawdziwy strajk w obronie małych zakładów, które dały ci poparcie, które stanęły w twojej obronie. – Lech wtedy mówi: – To pomóżcie”.

Na wieść o zakończeniu strajku w Stoczni Gdańskiej trzy dzielne działaczki Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża – Anna Walentynowicz, Alina Pienkowska i Ewa Ossowska – pobięły pod stoczniowe bramy, by zwracać robotników do stoczni. Pienkowska wymusiła nawet na straży zakładowej zamknięcie bram. Jeszcze tego samego wieczora ukonstytuował się Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który opracował listę 21 postulatów z tym pierwszym i najważniejszym: „akceptacja niezależnych od partii i pracodawców Wolnych Związków Zawodowych”. To właśnie wówczas narodziła się idea Solidarności jako ruchu narodowego walczącego z komunizmem.

Tak jak Piłsudski z Rozwadowskim zamknęli Sowietom bramę do wrót Warszawy, Berlina i Paryża..., tak dzielne kobiety ze Stoczni Gdańskiej zamknęły komunistom bramę do wygaszenia największego w dziejach PRL buntu przeciwko narzuconej przez Moskwę władzy.

Zwyciężyliśmy! ©©



Militaria.pl

Z DUMĄ WSPIERAMY



FUNDACJA IM.
CICHOCIEMNYCH
SPADOCHRONIARZY
ARMII KRAJOWEJ

WWW.FUNDACJACICHOCIEMNYCH.PL



GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POŚNANIA • SZCZECIN AL. PIASTÓW 53
WROCLAW OŁAWSKA 16 • WROCLAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK